

NORWESKA MISTRZYNI KRYMINAŁU

# ANNE HOLT

BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY PRAGNA...



Prószyński i S-ka

# ANNE HOLT

## BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY PRAGNĄ.

Przełożyła Iwona Zimnicka

*Evenowi, mojemu przyjacielowi i bratu  
Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości,  
albowiem oni będą nasyceni.  
Ewangelia św. Mateusza (5, 6)*

## Niedziela, 9 maja

Było tak wcześnie, że nawet diabeł nie zdążył jeszcze włożyć butów. Na zachodzie pojawiła się ta intensywna barwa, jaką bywa pobłogosławione jedynie skandynawskie niebo wiosną: królewski błękit rozjaśniający się ku zenitowi i zmieniający na wschodzie w różowe koldry, w których słońce dopiero się przeciąga. Powietrze, jeszcze nietknięte przez świtający dzień, miało w sobie ową przejrzystość właściwą tylko wiosennym porankom na prawie sześćdziesiątym stopniu szerokości geograficznej północnej. I choć temperatura była tylko kilka kresek wyższa od zera, wszystko zapowiadało kolejny ciepły majowy dzień w Oslo.

Sierżant policji Hanne Wilhelmsen nie myślała jednak o pogodzie. Stała nieruchomo i zastanawiała się, co robić. Krew była wszędzie: na podłodze, na ścianach, nawet na nierównym suficie, gdzie jej ciemne plamy przypominały abstrakcyjne obrazy z jakiegoś testu psychologicznego. Hanne zapatrzyła się w plamę tuż nad sobą, przypominającą purpurowo-czerwonego byka z trzema rogami i zdeformowaną tylną częścią ciała. Zamarła nie tylko z bezradności, ale też z obawy, że się poślizgnie na lepkiem podłożu.

- Nie dotykaj! - ostrzegła szybko, kiedy jej młodszy kolega o włosach w kolorze zlewającym się z niesamowitym otoczeniem wykonał ruch, jakby chciał oprzeć się o ścianę.

Przez szparę w groźącym zawaleniu dachu wpadała pełna drobin kurzu smuga światła, ukazując tylną ścianę pomieszczenia pokrytą krwią w takim stopniu, że nie było już mowy o abstrakcyjnych rysunkach, lecz raczej o źle wykonanej pracy malarza pokojowego.

- Wyjdź stąd - nakazała, powstrzymując się od westchnienia na widok śladów stóp, jakimi niedoświadczony posterunkowy pokrył większą część podłogi. - Tylko staraj się wracać tą samą drogą.

Po kilku minutach i ona niepewnie się wycofała. Zatrzymawszy

się w drzwiach, wysiała kolegę po latarkę.

- Chciałem się tylko wysikać - pisnął mężczyzna, który podniósł alarm. Posłusznie stał przed szopą, gorączkowo przestępując z nogi na nogę, i Hanne Wilhelmsen zaczęła przypuszczać, że nie załatwił swojej potrzeby przed godziną. - Kibel jest tam - wskazał, całkowicie zbytecznie, gdyż bijący zza drzwi z serduszkami - jak i z innych tego typu wychodków, wciąż jeszcze pozostających w Oslo - ciężki odór tłumiał słodkawy zapach krwi.

- Może pan teraz z niego skorzystać - powiedziała życzliwie, ale mężczyzna jej nie słuchał.

- Chciałem się tylko wysikać, ale zauważyłem, że te drzwi są otwarte. - Wskazał na drewnianą i zrobił krok w tył, jakby w środku kryło się straszne zwierzę, które mogło w każdej chwili odgryźć mu rękę. - Na ogół są zamknięte, nie na klucz, ale przymknięte. Tak ciężko się otwierają, że nie potrzeba zamka. Nie chcemy, żeby się tu zadomowiły bezdomne psy i koty, dlatego ich pilnujemy. - Na jego grubo ciosanej twarzy ukazał się dziwny uśmiech, jakby chciał przekonać policjantkę, że nawet w tej dzielnicy mieszkańcy umieją dbać o porządek i stosują się do zasad, choć ruina i tak pozostanie ruiną. - Całe życie mieszkam w tym domu - ciągnął nie bez dumy. - Od razu widzę, kiedy coś jest nie tak.

Zerknął na śliczną młodą kobietę, niepodobną do żadnej policjantki, z jaką dotychczas miał do czynienia, oczekując z jej strony odrobiny uznania.

- Świetnie - pochwaliła go Hanne. - Bardzo dobrze, że pan do nas zadzwonił.

Teraz mężczyzna uśmiechnął się naprawdę, lekko rozchylając usta i obnażając niemal bezzębne dziąsła. Zdumiewające, pomyślała Hanne, przecież nie był jeszcze taki stary. Mógł mieć kolo pięćdziesiątki.

- Aż mi się słabo zrobiło, jak to zobaczyłem. Tyle tej krwi...

- Kręcił głową, żeby policjantka zrozumiała, jaki przerażający musiał być ten widok.

Hanne Wilhelmsen rozumiała to świetnie.

Rudowłosy kolega wrócił z latarką i Hanne zaczęła systematycznie omiatać snopem światła ściany. Potem najdokładniej, jak tylko się to dało zrobić, stojąc w drzwiach, zbadła sufit, a następnie podłogę.

Drewutnia była całkiem pusta. Nie leżało w niej ani jedno polano, jedynie trociny i drzazgi świadczyły o tym, że kiedyś komórki używano zgodnie z jej przeznaczeniem, prawdopodobnie lata temu. Zbadawszy każdy dostępny metr kwadratowy, Hanne znów weszła do szopy, starając się stąpać po własnych śladach. Ruchem dłoni powstrzymała przed tym samym kolegę, a następnie przykucnęła na środku tego mniej więcej piętnastometrowego pomieszczenia i z tej pozycji oświetliła przeciwległą ścianę. Snop światła padł na wysokości około metra nad podłogą. Już wcześniej, stojąc w drzwiach, zauważyła coś, co przypominało niewyraźne litery namalowane krwią.

Ale to nie były litery. To była liczba. Ośmiocyfrowa, jeśli Hanne dobrze ją odczytała: 92043576. Zamazana dziewiątka właściwie mogła być czwórką, a ostatnia cyfra ledwie wyglądała na szóstkę - równie dobrze można było ją uznać za ósemkę.

Hanne wstała i wyszła na zewnątrz, na światło dnia, który zdecydowanie obwieszczał już swoje nadejście. Z otwartego okna na drugim piętrze dobiegał płacz niemowlęcia i policjantka zadrżała na myśl, że dziecko musi mieszkać w takiej dzielnicy. Z kamienicy wyszedł Pakistańczyk w uniformie motorniczego. Przez chwilę przyglądał im się zaciekawiony, ale zaraz przypomniał sobie, że się spieszy, i wybiegł przez bramę. Błyski w szybach okien na samej górze oznajmiały, że słońce wreszcie wstało. Szare ptaszki, którym wciąż udawało się przetrwać na tej jałowej pustyni w centrum miasta, zaczęły niepewnie ćwierkać z półżywej brzozy, na próżno wyciągającej się ku światłu.

- Jasna cholera, co tu się musiało dziać! - Młody policjant splunął, usiłując pozbyć się smaku kloaki. - Niezła jatka! - Wy-

dawał się wręcz uszczęśliwiony tą myślą.

- No tak - przyznała cicho Hanne Wilhelmsen. - Oczywiście mogło się tu zdarzyć coś poważnego, ale na razie... - urwała, odwracając się do kolegi - na razie nie ma mowy o zbrodni. Do zbrodni potrzebna jest ofiara. A jej ani widu, ani slychu. To, co się tutaj działo, można teraz zakwalifikować najwyżej jako akt wandalizmu. Chociaż... - znów zajrzała do środka - okoliczności mogą się zmienić. Wezwij techników, tak na wszelki wypadek.

Przeszedł ją dreszcz. Nie z powodu rzeźkości poranka, lecz raczej na myśl o tym, co mogło się zdarzyć w tej drewni. Szczelniej owinęła się kurtką i jeszcze raz podziękowawszy bezzębniemu mężczyźnie za powiadomienie policji, ruszyła pieszo do komendy, od której dzieliło ją trzysta metrów.

Na drugiej stronie ulicy znalazła się w zasięgu promieni słońca i od razu zrobiło się jej ciepłej. Między domami niesły się poranne okrzyki kobiet w urdu, języku pendzabskim i po arabsku. Właściciel kiosku, nie bacząc na przykazania religijne ani przepisy dotyczące godzin otwarcia sklepów, rozpoczął kolejny długi dzień pracy i już wystawiał swoje skrzynki i stojaki na chodnik. Uśmiechnął się przyjaźnie do Hanne, odsłaniając białe zęby, i podsunął jej pomarańczę, unosząc przy tym brwi z pytającą miną. Pokręciła głową, ale odpowiedziała uśmiechem. Grupka czternastolatków z hałasem ciągnęła niebieskie wózki wyładowane „Aftenposten”. Dwie zakwefione kobiety szły gdzieś pospiesznie ze spuszczonego wzrokiem. Ominęły ją szerokim łukiem, nieprzywykłe do widoku białej kobiety w tej okolicy o tak wczesnej porze. I choć poza tym ulicę były puste, to w słońcu nawet dzielnicę Tøyen wydawała się przyjazna, wręcz czarująca.

Zapowiadał się jeszcze jeden piękny dzień.

### **Poniedziałek, 10 maja**

- Co ty, na miłość boską, robiłaś w pracy w weekend? Nie

uważasz, że wystarczająco ciężko harujemy na co dzień?

W drzwiach stał młodszy prokurator policji Håkon Sand. Miał na sobie nowe dzinsy i wyjątkowo marynarkę oraz krawat. I choć marynarka była trochę za duża, a krawat - odrobinę zbyt szeroki, wyglądał całkiem nieźle. Tylko widok mankietów przy nogawkach drażnił Hanne Wilhelmsen na tyle, że nie mogła się powstrzymać i przykucnęła przed kolegą. Szybko schowała dziesięć zbędnych centymetrów pod spód, tak że stały się niewidoczne.

- Nie możesz wywijać spodni na wierzch - uśmiechnęła się życzliwie i wstała. Lekkim, niemal czułym ruchem pogładziła go po rękawie. - Teraz wyglądasz świetnie. Idziesz do sądu?

- Nie - odparł prokurator. Choć gest Hanne świadczył o popułałości, zawstydził się tak wyraźnego wytknięcia mu, że nie potrafił się odpowiednio ubrać. Mogła sobie tego oszczędzić, pomyślał, ale powiedział co innego: - Umówiłem się na kolację zaraz po pracy. Ale właściwie dlaczego byłaś w robocie w niedzielę?

Jasnozielona teczka spadła wprost na leżącą na biurku Hanne Wilhelmsen podkładkę do pisania.

- Właśnie to dostałem - ciągnął Håkon. - Dziwaczna sprawa. Nie ma żadnego zgłoszenia o poćwiartowanych zwłokach ludzkich czy zwierzęcych.

- Wzięłam dodatkową służbę w Dyżurze Kryminalnym - odpowiedziała Hanne, nie dotykając teczki. - Straszna u nich epidemia.

Ciemnowłosa i całkiem przystojny Håkon Sand, o skroniach bardziej siwych, niż można by się spodziewać po jego trzydziestu pięciu latach, ciężko usiadł na krześle dla gości. Zdjął okulary i zaczął je czyścić końcem krawata. Okularom niewiele to pomogło, za to krawat wyglądał zdecydowanie gorzej.

- Przydzielili do tej sprawy nas dwoje. Jeśli to w ogóle jakaś sprawa. Nie ma ofiary, nikt nic nie słyszał ani nie widział. Dziwne. W środku jest kilka zdjęć - wskazał na teczkę.

- Nie muszę ich oglądać. - Hanne machnęła ręką. - Przecież

tam byłam. Wyglądało naprawdę niepięknie. Ale wiesz... - nachyliła się w jego stronę - gdyby to miała być ludzka krew, musiałyby tam zginąć co najmniej dwie albo trzy osoby. Wydaje mi się, że to jakieś szczeniaki się z nami droczą.

Teoria ta nie była wcale wyssana z palca. Policja z Oslo przeżywała najgorszą wiosnę w historii. W ciągu sześciu tygodni w mieście doszło do trzech zabójstw - przy czym co najmniej jedna z tych spraw miała prawdopodobnie nigdy nie doczekać się rozwiązania - oraz aż szesnastu gwałtów, z których siedem zostało nagłośnionych przez media. Fakt, że jedną z pokrzywdzonych kobiet była parlamentarzystka z ramienia Chrześcijańskiej Partii Ludowej, napadnięta w parku Zamkowym podczas powrotu z nocnego posiedzenia komisji, dolał jeszcze oliwy do ognia i nasilił narzekania na brak postępów w działaniach policji. Mieszkańcy stolicy z wielką pomocą tabletek coraz głośniej protestowali przeciwko paraliżowi, jaki zdawał się ogarniać Grønlandsleiret 44, gdzie miała swoją siedzibę Komenda Okręgowa Policji w Oslo. Długi zakrzywiony budynek stał nieporuszony jak wcześniej, nic sobie nie robiąc z bezlitosnej krytyki, ale pracujący w nim funkcjonariusze każdego ranka przekraczali jego podwoje z głowami schowanymi w ramionach i ze spuszczoneym wzrokiem. Do domów wracali późno, zgarbieni, bo w podsumowaniu dnia mogli wymienić jedynie kolejne działania wiodące ślepych torem. Bogowie pogody igrali z nimi, przerzucając się wysokimi letnimi temperaturami, więc we wszystkich oknach w południowej ścianie ogromnego budynku spuszczone żaluzje, przez co wyglądał na głuchy i ślepy, ale w środku nadal było tak samo gorąco. Nic nie zapowiadało zmiany, a kolejne sprawy - wstukiwane w potężne systemy komputerowe, które miały być pomocne, ale zdawały się raczej z nich drwić, wypływając co rano nowe zestawienia nierozwiązanych przypadków - jeszcze bardziej utrudniały znalezienie wyjścia z tego impasu.

- Co za wiosna! - westchnęła Hanne demonstracyjnie.

Z rezygnacją uniosła brwi i popatrzyła na swojego zwierzch-



nika. Oczy miała nieduże, ale zdumiewająco niebieskie, z wyraźnymi czarnymi obwódkami wokół tęczówek, przez co wydawały się ciemne. Od czasu do czasu w roztargnieniu pociągała za brązowe kosmyki włosów, jakby chciała, żeby były dłuższe, i sądziła, że jeśli trochę im pomoże, będą rosły szybciej. Mocno zarysowany łuk amora nie tylko w górnej wardze, ale i w dolnej, która jakby zamierzała się rozszczepić, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie, przydawał jej zmysłowości. Nad lewym okiem widniała równoległa do brwi, jasnoróżowa i dość świeża blizna.

- Nigdy nie spotkałam się z czymś podobnym, a pracuję tu jedenaście lat. Ale Kaldbakken, który siedzi tu od trzydziestu, również nigdy czegoś podobnego nie przeżył. - Hanne odciągnęła koszulkę od ciała i kilkakrotnie nią poruszyła. - Ten upał też nie pomaga. Nocą całe miasto jest na nogach. Przydałaby nam się teraz pora deszczowa, wtedy przynajmniej ludzie siedzieliby w domach.

Trochę za długo rozmawiali o wszystkim i o niczym. Dobrze im się razem pracowało i nigdy nie brakowało im tematu do rozmowy, ale za dużo o sobie nie wiedzieli - tylko że oboje lubią swoje zajęcie, traktują je poważnie i że jedno z nich jest zdolniejsze od drugiego. Nie szkodziło to jednak ich relacjom. Hanne była dobrze wykształconą kompetentną policjantką, która po pewnej dramatycznej historii z zeszłej jesieni stała się niemal żywą legendą. Håkon zaś od ponad sześciu lat krążył po budynku jako średniej klasy prawnik - nigdy niczym nie zabłysnął, niczym nie olśnił, ale wyrobił sobie opinię pracowitego i obowiązkowego. Poza tym odegrał znaczącą rolę w tamtej dramatycznej sprawie, dzięki czemu trochę poprawił swój wizerunek: teraz mówiono o nim „solidny” i „godny zaufania” zamiast „niezbyt ciekawy”.

Może się nawzajem dopełniali, a może tak świetnie im się współpracowało, gdyż nigdy nie rywalizowali. Ich przyjaźń jednak ograniczała się do ścian komendy, czego prokurator Håkon Sand szczerze żałował i co wielokrotnie próbował

zmienić. Ale od ostatniej rzuconej mimochodem propozycji zjedzenia razem kolacji minęło już trochę czasu. Odmowa Hanne bowiem była tak stanowcza, że dużo wody musiało upłynąć, zanim Håkon zdecydowałby się znów podjąć temat.

- No dobrze, zostawmy tę krwawą drewnianą. Mam kilka innych spraw do załatwienia. - Hanne poklepała wielki stół tezek na niedużej komodzie pod oknem.

- Tak jak wszyscy - zauważył prokurator i wrócił do swojego pokoju, położonego dwadzieścia metrów dalej w głębi korytarza.

\*\*\*

- Dlaczego nigdy wcześniej mnie tu nie zabrałeś?

Kobieta po drugiej stronie dwuosobowego stolika uśmiechnęła się z wyrzutem i ujęła go za rękę.

- Nie wiedziałem, że lubisz takie jedzenie - odparł wyraźnie zadowolony z wieczoru.

Pakistańscy kelnerzy, nienagannie ubrani i mówiący z akcentem świadczącym o tym, że urodzili się w szpitalu Aker w Oslo, a nie w izbie położniczej w Karaczi, sprawnie przeprowadzili ich przez całą kolację.

- Niezbyt dogodnie położona - dodał - ale to jedna z moich ulubionych restauracji. Dobre jedzenie, świetna obsługa i ceny, na które może sobie pozwolić funkcjonariusz publiczny.

- To znaczy, że często tu bywasz - stwierdziła kobieta. - A z kim?

Nie odpowiedział, tylko uniósł kieliszek, żeby ukryć zawstydzenie. Przyprawiał tu wszystkie swoje kobiety - te, z którymi spotykał się krótko, a było ich zdecydowanie mniej, niżby sobie życzył, i te dwie czy trzy, z którymi wytrzymał dłużej niż kilka miesięcy. I zawsze myślał o niej. O tym, jak by to było siedzieć tu z Karen Borg. Wreszcie się to stało.

- Nie myśl o tych, które były przed tobą. Skup się raczej na tym, żeby być ostatnią - zaśmiał się.

- Bardzo elegancko powiedziane - stwierdziła Karen, lecz w jej głosie pojawił się cień tego chłodu, który zawsze do szaleństwa

go przerażał.

Czy on nigdy się nie nauczy? Karen Borg nie chciała rozmawiać o przyszłości. Od blisko czterech miesięcy regularnie się z nim spotykała, nawet kilka razy w tygodniu. Chodzili razem do restauracji i do teatru, wędrowali po lesie i kochali się, gdy tylko nadarzała się okazja. Czyli niezbyt często. Karen była mężatką, więc jej mieszkanie nie wchodziło w grę. Wprawdzie mąż wiedział o ich romansie, tak przynajmniej twierdziła, ale postanowili nie palić za sobą wszystkich mostów dopóty, dopóki nie będą pewni swoich pragnień. Oczywiście mogli iść do niego, proponował to zresztą niemal przy każdym spotkaniu, Karen jednak stanowczo odmawiała. „Jeśli zgodzę się pójść do ciebie, będzie to oznaczało, że podjęłam decyzję”, powtarzała bez cienia logiki. Håkon Sand natomiast uważał, że wybór kochanka ma o wiele większe znaczenie niż miejsca schadzek, ale tłumaczenia na nic się nie zdawały.

Kelner przyniósł rachunek dwadzieścia sekund po tym, jak go przywołali. Po staroświecku talerzyk z okładką postawił przed Håkonem. Gdy Karen wyciągnęła po niego rękę, Håkon nie miał siły protestować. To, że zarabiała pięć razy więcej niż on, to jedno, ale zupełnie czymś innym było stale przypominanie mu o tym. Kiedy złota karta American Express wróciła, wstał i odsunął Karen krzesło. Piękny jak z obrazka kelner zamówił im taksówkę. Na tylnym siedzeniu Karen przytuliła się do Håkona.

- Pewnie chcesz jechać prosto do domu? - spytał, chcąc uniknąć rozczarowania.

- No tak, jutro przecież idę do pracy - potwierdziła. - Zobaczymy się niedługo. Zadzwońię.

Kiedy wysiadła z taksówki, nachyliła się jeszcze do środka i lekko go pocałowała.

- Bardzo dziękuję za przemiły wieczór - powiedziała cicho, uśmiechnęła się i odeszła.

Håkon westchnął i podał taksówkarzowi adres na drugim końcu miasta. Miał więc dość czasu, by zgłębiać to leciutkie

ukłucie bólu, jakie towarzyszyło mu zawsze po wieczorach spędzonych z Karen Borg.

## **Niedziela, 16 maja**

- To rzeczywiście bardzo dziwne.

Håkon Sand i Hanne Wilhelmsen w pełni się zgadzali. Rzecz była naprawdę niezwykła.

Padał drobny deszcz. Nareszcie. Ludzie witali go z radością po nienormalnych tropikalnych upałach zeszłego tygodnia. Wielopoziomowy parking miał konstrukcję otwartą i ściany nie chroniły przed mżawką tych kilku samochodów, które stały zapomniane w dojmująco smutnym budynku. Mimo to krew wydawała się nietknięta przez wodę.

- Nic więcej? Żadnej broni ani innych przedmiotów? Nie zaginęła żadna młoda dziewczyna? - pytał prokurator.

Był w dresie i kurtce przeciwdeszczowej firmy Helly Hansen i cały czas ziewał, jakby okoliczności wyraźnie wskazujące na rzeź nie wystarczały, by go rozbudzić. Narożnik na drugim poziomie parkingu był zbryzgany krwią i chociaż Håkon z gorzkiego doświadczenia wiedział, że krew ma paskudną tendencję do potęgowania przerażającego wrażenia, to tu musiało jej trysnąć kilka ładnych litrów.

- Dobrze, że zadzwoniłaś - powiedział, tłumiąc kolejne ziewnięcia, i dyskretnie zerknął na zegarek.

Było wpół do szóstej. Ulicą z ogłuszającym koncertem na klakson przejechał wielki samochód pełen świętujących maturzystów i zaraz znów zapadła cisza jak wtedy, gdy nocni imprezowicze kładą się w końcu do łóżek w spokojnym przekonaniu, że nikt nie musi wcześniej wstawać.

- No tak, musiałaś to zobaczyć. Na szczęście dyżur w kryminalnym miała koleżanka z mojego roku i pamiętała, że wezwano mnie do tej pierwszej... - Hanne Wilhelmsen nie bardzo wiedziała, jak określić te absurdalne sprawy - ...sobotniej masakry - dokończyła po chwili. - Przyjechałam pół godziny temu.

Dwaj technicy sprawnie pobierali próbki i robili zdjęcia. Żaden się nie odzywał. Hanne i Håkon też przez dłuższą chwilę milczeli. Gdzieś w oddali samochód maturzystów spotkał znajomych i znów zaczął trąbić.

- Ale coś to musi znaczyć. Spójrz tam!

Håkon Sand spojrział w miejsce wskazywane przez Hanne. Światło było marne, ale cyfry, gdy już zwrócono mu na nie uwagę, mógł odczytać bez kłopotu.

- Dziewięć, dwa, sześć, cztery, siedem, osiem, trzy, pięć - przeczytał głośno. - Mówi ci to coś?

- Absolutnie nic. Oprócz tego, że tych cyfr jest tyle samo co ostatnio, a dwie pierwsze się powtarzają.

- To nie może być numer telefonu?

- Nie ma takiego prefiksu. Sama o tym myślałam.

- A czyjś numer osobisty?

Hanne westchnęła z rezygnacją.

- No tak, oczywiście - zreflektował się Håkon. - Żaden miesiąc nie ma dziewięćdziesięciu dni...

- Poza tym są albo o dwie cyfry za dużo, albo o trzy za mało.

- Ale za granicą numery osobiste układane są inaczej - stwierdził Håkon z ożywieniem. - Na przykład zaczynają się od roku!

- No to wobec tego mamy mordercę, który urodził się siedemdziesiątego ósmego dnia sześćdziesiątego czwartego miesiąca dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Zapadła nieprzyjemna cisza, ale Hanne Wilhelmsen nie miała serca jej przedłużać.

- Krew zostanie zbadana. Poza tym gdzieś tu muszą być jakieś odciski palców. Wracajmy do domu. Dużo więcej tu nie zdziałamy. Mam nadzieję, że nie jesteś zły, że zadzwoniłam. Widzimy się jutro.

- Jutro? Przecież jutro jest siedemnasty!

- Cholera, to prawda. - Hanne stłumiła ziewnięcie.

- Wprawdzie bojkotuję święta narodowe, ale wolny dzień się przyda.

- Bojkotujesz siedemnasty maja? - Håkon był szczerze wstrząśnięty.

- To dzień strojów ludowych, flag i innych nacjonalistycznych bzdur. Wolę zadbać o kwiatki na balkonie.

Nie bardzo wiedział, czy Hanne mówi poważnie. Jeśli tak, to końcu czegoś się o niej dowiedział. I cieszył się tym przez całą drogę do domu. Chociaż sam uwielbiał siedemnasty maja.

## **Wtorek, 18 maja**

Święto narodowe tradycyjnie było udane. Słońce zalało światłem Norwegię i wiosennie jaskrawozielone drzewa. Rodzina królewska wiernie machała poddanym ze swojego wielkiego balkonu, a w całym kraju rozkapryszone i zmęczone dzieci w poplamionych lodami strojach ludowych mimo entuzjastycznych okrzyków rodziców ciągnęły za sobą po ziemi malutkie flagi. Zachrypnięci od wrzasków pijani maturzyści rozrabiali, jakby były to ostatnie godziny ich życia i chcieli w drodze na tamten świat zgromadzić w sobie jak najwięcej promili. Naród norweski czcił konstytucję, bawiąc się przy koglu-moglu, i wszyscy jednomyślnie uznali ten dzień za naprawdę wspaniały.

Wszyscy z wyjątkiem policji, która widziała to, co zwykłych ludzi na szczęście ominęło. Mnóstwo przypadków zakłócania porządku, sporo pijanych osób, stanowczo za wielu zbyt śmiałych nastolatków, kilku kierowców jadących na podwójnym gazie i parę awantur domowych - tego akurat się spodziewano, ale brutalne zabójstwo i pięć zdarzeń z użyciem noża, choć nie tak fatalnych w skutkach, stanowiło bezwzględne przekroczenie normy. A należało jeszcze dodać do tego pięć kolejnych gwałtów. Siedemnasty maja tego roku miał się zapisać jako najtrudniejszy w historii.

- Nie pojmuję, co się stało temu miastu. Po prostu nie mogę tego zrozumieć.

Komisarz Kaldbakken z wydziału A 2.11 z Komendy Okręgowej

Policji w Oslo, grupy do spraw przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, miał dłuższe doświadczenie w pracy niż wszystkie pozostałe osoby obecne w pokoju zebrań. Zazwyczaj mówił niewiele i mało wyraźnie, te słowa jednak zrozumieli wszyscy.

- Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem.

Wszyscy patrzyli przed siebie w milczeniu, boleśnie świadomi tego, co oznacza taka fala przestępczości.

- Nadgodziny - mruknął w końcu jeden z funkcjonariuszy, spoglądając ponuro na wiszący na ścianie kolaż ze zdjęć z ubiegłorocznej letniej imprezy. - Znow nadgodziny. A żona już i tak się wścieka.

- Zostały jeszcze jakieś środki na tym koncercie? - spytała dziewczyna z krótko obciętymi jasnymi włosami, wciąż jeszcze optymistycznie patrząca na życie.

W odpowiedzi oczekiwała się jedynie pełnego wyrzutu spojrzenia szefa, które bardziej doświadczonym powiedziało to, co i tak już wiedzieli.

- Przykro mi, kochani, lecz jeśli tak będzie dalej, to i urlopy trzeba będzie przełożyć.

Troje funkcjonariuszy obecnych w pokoju zebrań zaplanowało wypoczynek na sierpień i wrzesień, teraz w duchu dziękowali za swoją zdolność przewidywania. Do jesieni wszystko powinno się uspokoić.

Podzielili się sprawami jak najrozsądniej, ale nawet nie próbowali uwzględnić liczby już prowadzonych. Sytuacja dla wszystkich była trudna.

Hanne Wilhelmsen ominęło zabójstwo, w zamian przypadły jej dwa gwałty i trzy uszkodzenia ciała. Pomagać jej miał Erik Henriksen, funkcjonariusz z płomiennie rudymi włosami. Sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, Hanne natomiast ciężko westchnęła, wstała i przez całą drogę do swojego pokoju zastanawiała się, od czego powinna zacząć.

**Sobota, 22 maja**

Wieczór dotarł zaledwie do *Sobotnich faktów*, kiedy Hanne Wilhelmsen już spała. Jej partnerka, różniąca się wiekiem zaledwie o trzy tygodnie, nie widziała jej w zasadzie od poprzedniego weekendu. Nawet w święto Wniebowstąpienia Pańskiego, w kolejny wolny dzień, Hanne zniknęła o świcie, a do domu wróciła o dziewiątej wieczorem i padła na łóżko. Dziś odrobiły trochę straconych chwil, długo spały, a potem wybrały się na czterogodzinną przejażdżkę motocyklem i trzy razy zatrzymały się w zajazdach na lody. Po raz pierwszy od wieków poczuły się jak świeżo zakochane. Chociaż Hanne przespała marny popołudniowy koncert w telewizji, to ledwie zjadła przygotowany przez Cecilie obiad i wypła niecałe dwa kieliszki wina, i zaraz znów wyciągnęła się na kanapie. Cecilie nie wiedziała, czy powinna się obrazić, czy być dumna. Zdecydowała się na to drugie. Nakryła Hanne kocem i szepnęła jej do ucha:

- Chyba naprawdę czujesz się przy mnie bezpiecznie.

Słodki zapach kobiecej skóry i lekkich perfum zatrzymał ją przy kanapie. Lekko pocałowała Hanne w policzek, czubkiem języka musnęła delikatne wioski na jej policzku i w końcu zdecydowała, że mimo wszystko ją obudzi.

Półtorej godziny później zabrzączał telefon Hanne. Od razu wiedziały, że to jej, bo telefon Cecilie dzwonił, a Hanne brzęczał. Aparatu Hanne nie wolno było dotknąć nikomu oprócz niej, bo nikt z komendy nie mógł się dowiedzieć, że mieszka z kobietą. Dwie linie telefoniczne z różnymi numerami raniły Cecilie, ale była to jedna z nielicznych niedyskutowalnych zasad, na jakich opierało się ich piętnastoletnie już wspólne życie.

Telefon nie ustępował. Gdyby to był aparat Cecilie, zignorowałyby go, ale natrętny dźwięk wskazywał, że może chodzić o coś ważnego. Hanne jęknęła, z trudem się podniosła i naga stanęła w drzwiach do przedpokoju.

- Słucham, Wilhelmsen.

- Mówi Iversen, z dyżuru. Przepraszam, że tak późno dzwonię...



Hanne zerknęła na ścienny zegar w kuchni, ledwie widoczny z tego miejsca. Było już dobrze po północy.

- Wszystko w porządku - ziewnęła, lekko drząc w przeciagu.  
- Irene Årsby uznała, że powinienem zadzwonić. Mamy dla ciebie kolejną sobotnią masakrę. To wygląda naprawdę strasznie.

Cecilie na palcach podeszła do Hanne i zarzuciła jej na ramię różowy szlafrok frotte z wielkim symbolem Harleya Davidsona.

- Gdzie?

- W baraku koło rzeki Loen. Był zamknięty na kłódkę i nawet dzieciak zdołałby się tam dostać, gdyby zechciał. Nie masz pojęcia, jak to wszystko wygląda.

- Owszem, mam. Znaleźliście coś interesującego?

- Nic, tylko krew. Wszędzie. Chcesz to zobaczyć?

Sierżant policji Wilhelmsen bardzo chciała. Krwawe miejsca fikcyjnych zbrodni naprawdę ją intrygowały. Ale choć cierpliwość Cecilie była ogromna, to jednak nie bez dna. W końcu musiała się wyczerpać.

- Nie, tym razem wystarczą mi zdjęcia. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

- Nie ma za co.

Już miała odłożyć słuchawkę, ale błyskawicznie zmieniła zdanie.

- Halo? Jesteś tam jeszcze?

- Jestem.

- Zauważyłaś, czy krwią czegoś nie napisano?

- Owszem, jakąś liczbę. Kilka cyfr. Są mało czytelne, ale obfotografowali je ze wszystkich stron.

- Świetnie, to akurat jest bardzo ważne. No to dobranoc. I bardzo ci dziękuję za telefon.

- Naprawdę nie ma za co.

Hanne pomknęła z powrotem do łóżka.

- Coś poważnego? - spytała Cecilie.

- Nie, tylko kolejna krwawa łaźnia. Nic ponadto.

Hanne była już gdzieś na granicy między jawą a snem i właśnie miała ją przekroczyć, zmierzając w stronę snu, kiedy Cecilie pociągnęła ją z powrotem.

- Jak długo będziemy utrzymywać ten nasz system telefoniczny? - rzuciła cicho w przestrzeń, jakby nie oczekiwała odpowiedzi.

Może i słusznie, bo Hanne bez słowa obróciła się do niej plecami. Kołdry, do tej pory zachodzące na siebie i okrywające dwie bliskie sobie osoby, nagle się rozsunęły. Hanne otuliła się szczelniej jedną.

- Nie pojmuję tego, Hanne. Od tylu lat toleruję tyle rzeczy, ale zawsze powtarzałaś, że któregoś dnia to się zmieni.

Hanne Wilhelmsen wciąż milczała, skulona w pozycji płodowej, a od jej pleców aż bił chłód odrzucenia.

- Dwa numery telefonów. Nigdy nie poznałam żadnego z twoich kolegów z pracy. Rodziców też. O siostrze opowiadasz tylko historie z dzieciństwa. Bożego Narodzenia również nie możemy razem spędzić.

Cecilie się nakręciła i aż uniosła się na łóżku. Ostatnio poruszyła ten temat ponad dwa lata temu i chociaż właściwie nie miała nadziei, że cokolwiek osiągnie, to poczuła absolutną konieczność powiedzenia na głos, że wciąż się do tego nie przyzwyczaiła. Że nigdy nie zaakceptuje grodzi oddzielających życie Hanne w tym mieszkaniu od całej reszty. Na próbę dotknęła ręką pleców partnerki, ale zaraz ją cofnęła.

- Dlaczego wszyscy nasi przyjaciele to lekarze i pielęgniarki? Dlaczego utrzymujemy kontakty tylko z moją rodziną i znajomymi? Na miłość boską, Hanne, przecież ja nigdy nie rozmawiałam z żadnym innym gliną oprócz ciebie!

- Nie mów tak o mnie - dobiegł ją zduszony głos spomiędzy poduszek.

Cecilie znów położyła jej rękę na plecach i tym razem już jej nie cofnęła. Hanne drżała, więc Cecilie tylko przysunęła się jak najbliżej do płaczącej partnerki i postanowiła, że nigdy więcej nie poruszy tego tematu. Przynajmniej przez ładnych kilka lat.

## Sobota, 29 maja

Później przyszło jej do głowy, że wcale nie wyglądał tak źle. Wysoki, jasnowłosy, szeroki w barach. Słaba brudna żarówka nad drzwiami do kamienicy ujawniła, że włosy na czole już się zaczęły cofać. Poza tym był niezwykle opalony jak na tę porę roku, nawet mimo ostatnich słonecznych dni, jakby właśnie wrócił z ferii wielkanocnych. Ona sama w tym bladym świetle miała skórę białą jak mleko.

Obróciła się, uciekając od własnego cienia, i w końcu wyciągnęła klucze z obszernej płóciennej torby. Z zainteresowaniem, które właściwie powinno ją zdziwić, obserwował jej ruchy, jakby się sam ze sobą założył, czy w ogóle uda jej się znaleźć cokolwiek w tym kłębowisku rzeczy.

- Pewien staruszek powiedział: „Kiedy zajrzysz do damskiej torebki, przekonasz się, że pieniądze to nie wszystko”. Możesz w niej coś znaleźć?

Obdarzyła go zmęczonym uśmiechem. Na nic więcej nie miała siły. Było za późno.

- Takie dziewczyny jak ty nie powinny się włóczyć o tej porze - ciągnął, gdy otwierała drzwi. Wszedł za nią na klatkę.

- Śpij dobrze - dodał i ruszył po schodach na górę.

Zajrzała do skrzynki pocztowej. Pusta. Rzeczywiście miał rację, czuła się nie najlepiej. Wprawdzie nie wypiła dużo, tylko dwa piwa, ale chyba nie służył jej pobyt w tak zadymionym lokalu. Oczy ją piekły, a szkła kontaktowe wydawały się przylepione do nich klejem. Cały dom już spał i jedynie dalekie basy z mocnej wieży stereo grającej w którejś z sąsiednich kamienic wprawiały ziemię w lekkie drżenie.

Drzwi do jej mieszkania miały dwa zamki. Ojciec uważał, że dla młodej kobiety w środku miasta nigdy dość zabezpieczeń, i sam je zamontował. Używała tylko jednego, wierząc, że muszą istnieć jakieś granice pesymizmu.

Otoczył ją ciepły, znajomy zapach. Lekko potknęła się na

progu i była już prawie za drzwiami, gdy on znalazł się tuż przy niej.

Shok wygrał z bólem, kiedy padała na podłogę. Za sobą usłyszała szcęk zamka. Twarda zimna dłoń na ustach całkowicie ją sparaliżowała. Kolano mocno naciskało na krzyż, a gdy odchyliła głowę, bo pociągnął ją za włosy, miała wrażenie, że złamie jej kark.

- Bądź grzeczna, to wszystko będzie dobrze.

Jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż zaledwie trzy minuty wcześniej, ale i tak wiedziała, że to on. Miała też świadomość, o co mu chodzi - dwudziestoczteroletnia dziewczyna mieszkająca w czynszowej kamienicy w centrum Oslo nie może mieć wartościowych rzeczy, na które warto by się połuszczyć. Wiedziała, po co przyszedł, ale tego się nie bała. Mógł z nią zrobić, co chciał, byle jej nie zabijał. Bała się śmierci. Tylko i wyłącznie śmierci.

Z bólu pociemniało jej w oczach. A może stało się tak dlatego, że przez długą chwilę nie oddychała? Mężczyzna powoli odsuwał rękę od jej ust, powtarzając, że ma być cicho. Całkiem zbyt cicho. Jej krtań zmieniła się w olbrzymi bolesny guz, który blokował wszystkie dźwięki.

Dobry Boże, nie pozwól mi umrzeć! Nie pozwól. Niech on już to zrobi. Byle szybko, jak najszybciej. Tylko ta jedna jedyna myśl krążyła jej po głowie niczym wielki, zasysający wszystko wir. Niech on robi, co chce, dobry Boże, żebyśmy tylko nie umarła.

Łzy popłynęły same, bezgłośny strumień, jakby oczy działały z własnej inicjatywy, płakały same z siebie, nie zważając na to, że ona przecież tak naprawdę wcale nie płacze. Mężczyzna nagle wstał. Plecy dziewczyny jęknęły, wracając do pierwotnej pozycji. Leżała teraz płasko na brzuchu. Nie trwało to jednak długo. Złapał ją za głowę, jedną ręką chwycił za prawe ucho, drugą za włosy i zaciągnął do salonu. Ból był nie do wytrzymania. Usiłowała sięczołgać, ale on poruszał się za szybko i jej ręce nie nadążały. Szyja wyciągała się do granic, by nie dać się

złamać. Znów pociemniało jej w oczach.

Najdroższy Boże, nie pozwól, żebym umarła.

Nie zapalił światła. Latarnia za oknem i tak zapewniała go dość. Na środku salonu ją puścił. Skulona, zwinięta w kłębek zaczęła płakać naprawdę. Z początku bardzo cicho, ale po chwili już szlochała w glos i cała się trzęsła. Twarz zasłaniała rękami, na próżno przekonując samą siebie, że gdy je odsunie, mężczyzny już nie będzie.

Nagle znów się na nią rzucił. Do ust wepchnął jej jakąś szmatę. Zmywak. Ostry zapach o mało jej nie udusił, wywołując gwałtowny odruch wymiotny, ale to, co chciało wydostać się z żołądka, nie miało wolnej drogi. Zemdląła.

Kiedy się ocknęła, zmywaka nie było. Leżała we własnym łóżku, naga. Czują, jak jego penis wchodzi w nią i się wysuwa, ale bardziej bolały ją kostki stóp przywiązane czymś do słupków łóżka. To coś było ostre, jakby drut.

Święty Boże, nie pozwól mi umrzeć. Nigdy na nic już nie będę się skarżyć.

Poddała się, nic nie mogła zrobić. Próbowwała krzyczeć, ale struny głosowe wciąż były sparaliżowane.

- Cudowna jesteś - syczał mężczyzna przez zęby. - Takiej ślicznej dziewczynie jak tobie sobotnia noc nie może minąć bez fiuta.

Jego pot ściekał jej na twarz, palił skórę. Próbowwała się odwrócić, żeby tego uniknąć, ale na moment puścił jej nadgarstek i wymierzył mocny policzek.

- Leż spokojnie!

Ile to trwało, nie wiedziała. Kiedy skończył, zwałił się na nią, dysząc, ciężki jak ołów. Nic nie powiedziała ani nic nie zrobiła. W ogóle ledwie istniała.

Mężczyzna powoli się podniósł i rozluźnił więzy krępujące jej stopy. To rzeczywiście był drut. Musiał go przynieść ze sobą, pomyślała półprzytomna. Ona nic takiego nie miała. Kiedy obracał ją na brzuch, nie stawiała oporu. Wprawdzie mogłaby teraz wstać, ale apatia nie pozwoliła jej się ruszyć.

Znów się na niej położył. Zorientowała się, że wciąż ma erekcję. Nie mogła pojąć, że kolejny raz jest gotów, zaledwie minutę po wytrysku.

Rozsunął jej pośladki i wziął ją od tyłu. Nie reagowała. Drugi raz zemdląła, ale w myślach zdążyła jeszcze powtórzyć błagalnie: Panie Boże w niebie, nie pozwól mi umrzeć. Mam dopiero dwadzieścia cztery lata. Nie pozwól mi umrzeć...

\*\*\*

Odszedł. Taką przynajmniej miała nadzieję. Ciągle leżała w tej samej pozycji, w jakiej zemdląła: naga, na brzuchu. Za oknami miasto zaczynało się budzić. Noc już minęła. Białe niedzielny poranek wcisnął się do pokoju, a jej skóra przybrała w tym świetle niebieskawy odcień. Bała się przekreślić nawet na tyle, żeby sprawdzić, którą godzinę wskazuje budzik na nocnym stoliku. Leżała nieruchomo, słuchając uderzeń własnego serca. Przez trzy godziny. Wtedy była już prawie pewna. Musiał sobie pójść.

Podniosła się zeszywniała i popatrzyła na swoje ciało. Piersi zwisały bez życia, jakby płakały nad własnym losem albo już umarły. Kostki u nóg spuchły. Na dole obu łydek biegi nierówny krwawy ślad. Odbyt gwałtownie palił, a silne pulsowanie w pochwie przenosiło się aż na brzuch. Spokojnie i zdecydowanie, wręcz machinalnie zdjęła pościel. Szybko się z tym uporała. Usiłowała wyrzucić ją do kosza na śmieci, ale okazał się za mały, chociaż z płaczem i narastającą złością z całych sił ją upychała. Musiała się poddać. W końcu naga i bezbronna usiadła na środku podłogi.

Dobry Boże, dlaczego nie pozwoliłeś mi umrzeć?

\*\*\*

Dzwonek brutalnie rozdarł ciszę. Drgnęła przestraszona i nie zdołała powstrzymać się od krzyku.

- Kristine?! - Głos dobiegał z daleka, ale nawet przez drzwi słychać było w nim lęk.

- Odejdź - szepnęła bez nadziei, że ją usłyszy.

- Kristine?! Jesteś tam?! - zabrzmiało to jeszcze głośniejsze, z

jeszcze większym strachem.

- IDŹ SOBIE!

Cala siła, której nie mogła wydobyć z siebie w nocy, kiedy naprawdę jej potrzebowała, skupiła się teraz w jednym przeciągłym krzyku.

Chwilę później stał przed nią ojciec, ciężko łapiąc oddech. Klucze wypadły mu z ręki na podłogę.

- Kristine! Córeczko!

Nachylił się i delikatnie objął nagie skulone ciało. Trząsł się, płakał, oddychał szybko jak królik. Chciała go pocieszyć, powiedzieć coś, co mogłoby wszystko naprawić, oświadczyć, że nic się nie stało, że wszystko w porządku, ale kiedy poczuła na twarzy materiał sportowej koszuli i znajomy bezpieczny zapach, poddała się.

Jej potężny ojciec zaczął kołysać ją w objęciach jak dziecko. Zrozumiał, co ją spotkało. Powiedział mu o tym kosz na śmieci z pościelą wystającą z worka, zakrwawione kostki u nóg, nagie, bezbronne ciało córki i ten rozpaczliwy płacz, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał. Delikatnie przeniósł Kristine na kanapę i owinął kocem. Szorstka wełna na pewno kłuła ją w skórę, ale nie chciał zostawiać córki nawet na moment potrzebny do przyniesienia prześcieradła. Nie przestając głaskać Kristine po włosach, złożył w duchu przysięgę. Ale głośno nic nie powiedział.

## **Poniedziałek, 31 maja**

Nie umiała się do tego przyzwyczaić. Dwudziestoczteroletnia kobieta, która siedziała przed nią ze wzrokiem wbitym w podłogę, była czterdziestą drugą ofiarą gwałtu, z jaką miała do czynienia sierżant Hanne Wilhelmsen. Liczyła je. Gwałty były najgorsze. Zabójstwa to coś innego, w pewnym sensie potrafiła je zrozumieć: moment szaleństwa, gwałtowny afekt, niekiedy latami magazynowa agresja. Prawie dawało się to pojąć. Ale nie gwałty.

Ofiara przyszła z ojcem, co nie należało do rzadkości. Ojciec, przyjaciółka, czasami chłopak. Prawie nigdy matka. Dziwne. Może matki są osobami zbyt bliskimi.

Potężny mężczyzna wyglądał dziwnie na biurowym krześle. Nie był otyły, tylko wielki, a nawet jeśli, to dodatkowe kilogramy do niego pasowały. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, kanciastą sylwetkę i był bardzo brzydki. Olbrzymia łapa nakrywała delikatną dłoń córki. Byli do siebie podobni w trudny do określenia sposób - dziewczyna mimo wzrostu odziedziczonego po ojcu wyglądała na niemal delikatną. Ale mieli coś w oczach, ten sam kształt, kolor. I ten sam wyraz. Bezradność i smutek, o dziwo, wyraźniejsze u wielkiego mężczyzny.

Sierżant Hanne Wilhelmsen czuła się zakłopotana. Do gwałtów nie umiała się przyzwyczaić. Ale była dobrą policjantką, a dobrzy policjanci nie okazują uczuć. Przynajmniej zakłopotania.

- Muszę ci zadać kilka pytań - zwróciła się cicho do dziewczyny. - Niektóre na pewno będą nieprzyjemne. Zgadzasz się mimo wszystko?

Ojciec poruszył się niespokojnie.

- Przecież wczoraj przesłuchiwaście ją przez kilka godzin - zaprotestował. - Czy koniecznie trzeba powtarzać to wszystko od początku?

- Niestety, tak. Samo złożenie zawiadomienia o przestępstwie nie wystarczy. - Hanne zawahała się i pociągnęła za włosy. - Możemy wprawdzie poczekać do jutra, ale... Ale trochę nam się spieszy. Przy takich śledztwach czas jest ważny.

- W porządku. - Tym razem dziewczyna odpowiedziała sama. Wprostowała się, zbrojąc się na kolejną powtórkę sobotniego wieczoru. - W porządku - powtórzyła, tym razem w stronę ojca.

To jemu jest najtrudniej, pomyślała Hanne i zaczęła przesłuchanie.

\*\*\*



- Lunch, Håkon?

- Nie, już jadłem.

Hanne Wilhelmsen spojrzała na zegarek. - Już jadłeś? Przecież dopiero jedenasta!

- Tak, ale wypiję z tobą kawę. Dotrzymam ci towarzystwa. W kantynie czy w pokoju?

- W pokoju.

Już w drzwiach zauważył nowe zasłonki. Niezbyt policyjne. Niebieskie w polne kwiatki.

- Jakie ładne! Jak to załatwiłaś?

Nie odpowiedziała, tylko z szafki wyjęła paczkę równiutko złożonego materiału.

- Dla ciebie też uszyłam.

Oniemiał.

- Kosztowały tylko siedem koron za metr. W Ikei. Siedem koron za metr! W każdym razie są przyjemniejsze i czystsze od tych państwowych szmat! - Wskazała brudnoszare zasłony upchnięte w koszu na śmieci. Wyglądały na głęboko urażone takim określeniem.

- Bardzo dziękuję!

Prokurator Håkon Sand z zachwytem wziął z jej rąk materiał i natychmiast wylał na niego filiżankę kawy. Wśród różowych i czerwonych kwiatków nagle wyrósł jeden duży, brązowy. Z ledwie słyszalnym westchnieniem rezygnacji Hanne zabrała mu zasłonki.

- Upiorę je.

- Ależ nie, nie. Sam to zrobię.

W pokoju Hanne czuć było zapach obcych perfum, nieznanomych, trochę za ciężkich. Wyjaśnienie znajdowało się w cienkiej zielonej okładce, która leżała między nimi na biurku.

- To nasza sprawa - powiedziała Hanne, uprzątnąwszy z grubsza ślady po wypadku. Podała mu dokumenty. - Gwałt. Naprawdę paskudny.

- Wszystkie gwałty są paskudne - mruknął Håkon, ale po kilku minutach czytania zgodził się z Hanne. Ten był naprawdę

paskudny.

- Jaka ona jest?

- Ładna, pod każdym względem porządna. Studentka medycyny. Bystra, odnosząca sukcesy. I bardzo zgwaltowana. - Hanne zadrżała. - One tu siedzą, skulone i bezradne, ze wzrokiem wbitym w podłogę i załamują ręce, jakby to była ich wina. Nie mogą na to patrzeć. Czasami czuję się bardziej bezradna od nich. Tak mi się wydaje.

- A jak myślisz, co ja czuję? - spytał Håkon. - Jesteś przynajmniej kobietą. Nie masz poczucia winy, bo to mężczyźni gwałcą. - Rzucił dwa przesłuchania studentki medycyny na stół.

- Ty też nie musisz się o to obwiniać - uśmiechnęła się Hanne.

- Wiem, ale i tak czuję się okropnie, kiedy muszę spojrzeć im w oczy. Biedne dziewczyny Chociaż... - wyciągnął ręce nad głowę, ziewnął i wypił ostatni łyk kawy - z reguły ich nie widuję. Tymi sprawami na szczęście zajmują się prokuratorzy okręgowi. Dla mnie ofiary gwałtu najczęściej pozostają tylko nazwiskami na papierze. Wyciągnęłaś już motocykl?

Hanne uśmiechnęła się szeroko i wstała.

- Chodź, zobaczysz. - Skinęła ręką, stając przy oknie.

- Tam. Ten różowy.

- Masz jasnoczerwony motocykl?

- On wcale nie jest jasnoczerwony, tylko różowy - odparła urażona. - *Pink*.

Håkon Sand zachichotał i mocno szturchnął ją w bok. - Jasnoczerwony harley davidson. Najgorsze, co w życiu widziałem! - Zmierzył Hanne wzrokiem od stóp do głów.

- Chociaż jesteś za ładna na to, żeby w ogóle jeździć motocyklem. Jeżeli już, to rzeczywiście jasnoczerwonym.

Pierwszy raz, odkąd się poznali, Håkon zobaczył, jak sierżant Hanne Wilhelmsen się rumieni. Triumfująco wskazał na jej twarz.

- Jasnoczerwonyjaktyü!

Butelka po oranżadzie uderzyła go w sam środek piersi. Na

szcześnie była plastikowa.

\*\*\*

Za nic nie potrafiła dokładnie opisać gwałciciela. Gdzieś w głowie utkwił jego wyraźny obraz, ale nie umiała go wydobyć. Rysownik okazywał wielką cierpliwość. Szkicował i wycierał, dokładał nowe kreski, proponował inny kształt brody. Dziewczyna przekrzywiła głowę, zmrużonymi oczami przyglądała się rysunkowi i prosiła, żeby trochę zmniejszył uszy. Nic nie pomagało. Portret nie był ani trochę podobny.

Próbowali przez trzy godziny, rysownik cztery razy zmieniał kartki. W końcu ułożył wszystkie niedokończone szkice przed dziewczyną.

- Który jest najbardziej podobny?

- Żaden...

Uznał, że najwyższa pora się poddać.

\*\*\*

Sierżant Hanne Wilhelmsen i prokurator Håkon Sand nie byli jedynymi osobami, które nie lubiły spraw o gwałt. Komisarz Kaldbakken, bezpośredni przełożony Hanne, też ich nie znosił. Jego końska twarz skrzywiła się, jakby podano mu worek spleśniałego owsa.

- Już szósty w ciągu niespełna dwóch tygodni - mruknął.

- Tylko że tu mamy trochę inny sposób działania. Tamtych pięć to sprowokowane gwałty, a ten nie.

Sprowokowane gwałty... To określenie niezmiernie oburzyło Hanne. Jej zdaniem o winie dziewczyn, które po zakrapianym wieczorze na mieście godziły się iść do domu z mniej lub bardziej obcymi facetami, a potem padały ofiarą tak zwanych gwałtów na randce, nie można było mówić, choć prawie nigdy z tych spraw nic nie wynikało. Słowo przeciwko słowu. Postanowiła jednak nie komentować wypowiedzi szefa. Nie dlatego, że się go bała, po prostu nie miała siły.

- Pokrzywdzona nie potrafi pomóc w sporządzeniu portretu pamięciowego - stwierdziła tylko. - Nie znalazła też faceta w naszych archiwach. Trudna sprawa.

Rzeczywiście. Ale nie dlatego, że zapewne nie uda im się jej rozwiązać, bo jeśli o to chodzi, nie byłiby w tym osamotnieni. Po prostu sam sposób działania napastnika budził niepokój.

- Tacy ludzie się nie poddają, dopóki nie zostaną ujęci.

Kaldbakken rozejrzał się po pokoju, ale na niczym nie zatrzymał wzroku. Wprawdzie jego stwierdzenie pozostało bez odpowiedzi, lecz w ten prześliczny majowy dzień, który kusił ich przez zakurzone okna, oboje poczuli niepokój. Chudy policjant zaczął stukać palcem w zieloną okładkę.

- Przez tego faceta będziemy mieć gorącą wiosnę - orzekł szczerze zatroskany. - W tamtych pięciu sprawach proponuję umorzenie, ale tej nadamy priorytet. Najwyższy priorytet, Wilhelmsen. Tak, tak, właśnie tak. Najwyższy priorytet.

\*\*\*

W pokoju było tak gorąco, że przeszkadzała jej nawet cienka sprana bluza z logo Washington Redskins z przodu. Ściągnęła ją przez głowę. Koszulka bez rękawów miała na środku wilgotną plamę, odsunęła ją więc lekko od ciała, niezbyt to jednak pomogło. Okno otworzyła na oścież, ale drzwi musiała zamknąć. Przeciąg nie posłużyłby tej odrobinie porządku, jaką zdołała zaprowadzić na biurku.

Niewiele mogła zdziałać, chociaż w miejscu zdarzenia znaleziono kilka śladów: dwa włosy, które mogły należeć do sprawcy, trochę krwi, najprawdopodobniej nie jego, i drobinę nasienia, z całą pewnością jego. Nie mieli złudzeń, że opublikowanie w mediach tak słabego portretu pamięciowego okaże się owocne, ale zamierzali próbować. Okazanie dziewczynie fotografii notowanych sprawców też do niczego nie doprowadziło.

Analiza skromnych śladów musiała trochę potrwać, nie pozostawało więc nic innego, jak spożytkować ten czas na rozmowę z sąsiadami, wypytywanie, czy nic nie widzieli albo nie słyszeli, chociaż wiedziała, że i to na pewno nic nie da. Nigdy nie dawało.

Wstukała czterocyfrowy numer interkomu.

- Erik?

- Słucham.

- Mówi Hanne. Masz czas, żeby się ze mną przejechać?

Miał. Był wiernym szczeniakiem Hanne Wilhelmsen. Służył w policji pierwszy rok, miał rude włosy i tyle piegów, że jeszcze jeden i zmieniłby się w Indianina. Trzydzieści sekund później już stal w drzwiach i merdał ogonem.

- Załatwić samochód?

Hanne wstała, uśmiechnęła się szeroko i rzuciła mu czarny kask. Złapał go i uśmiechnął się szerzej od niej.

Hanne Wilhelmsen pokręciła głową.

\*\*\*

Budynek pochodził prawdopodobnie z przełomu wieków. Stal w zachodniej dzielnicy i niedawno z pieczołowitością go odnowiono. Wyglądał zupełnie inaczej niż wschodnie stare robotnicze kamienice krzyczące na siebie fioletem, różem i innymi kolorami, których zapewne w czasach ich stawiania nawet nie wynaleziono. Był perłowszary, a okna i drzwi miały granatowe ramy.

Hanne Wilhelmsen zaparkowała motocykl na chodniku. Eryk Rudy z dumą zsiadł pierwszy, spocony i podniecony.

- Możemy wrócić okrężną drogą?

- Zobaczymy.

Na domofonie przy drzwiach znajdowały się dwa rzędy nazwisk, po pięć w każdym. Wynikało z nich, że ofiara zajmuje mieszkanie na pierwszym piętrze. Przy dzwonku widniało nazwisko K. Håverstad. Rozsądna bezplciowość, chociaż niewiele jej to pomogło. Na parter ktoś musiał się niedawno sprowadzić, bo tabliczka z nazwiskiem nie została jeszcze wsunięta jak trzeba pod szklaną płytkę, tylko przyklejona kawałkiem taśmy. Nazwisko brzmiało obco, wskazywało na cudzoziemskie pochodzenie jego właściciela - jedyne obcokrajowca w całej kamienicy. Sierżant Wilhelmsen zadzwoniła do sąsiada Kristine Håverstad z naprzeciwka.

- Słucham? - odezwał się męski głos. Bardzo stary męski głos.

Przedstawiła się. Staruszek wydawał się uradowany wizytą, bo przytrzymał przycisk tak długo, że zdążyli już wejść na schody, gdy go puścił. Na piętrze wyszedł im na spotkanie z wyciągniętymi rękami i szerokim uśmiechem, jakby witał ich na przyjęciu.

- Zapraszam, zapraszam - powiedział cienkim głosem, otwierając na oścież drzwi.

Musiał mieć około dziewięćdziesięciu lat i ledwie metr sześćdziesiąt wzrostu. Poza tym się garbił, dlatego jedynie na siedząco mogli mieć z nim kontakt wzrokowy.

Słoneczny salon był zadbane. Królowały w nim dwie ogromne klatki dla ptaków, w których niebywale hałasowały wielkie kolorowe papugi. Wszędzie stały rośliny doniczkowe, na ścianach wisały stare obrazy w złożonych ramach. Kanapa była twarda jak kamień i niewygodna. Erik, nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować, stanął przy papudze.

- Jedną chwileczkę, zaraz przyniosę kawę.

Staruszek nie posiadał się z radości. Hanne usiłowała wymówić się od poczęstunku, ale prędko zrozumiała, że nic to nie da. Na stole pojawiły się porcelanowe filiżanki i nieduża patera na nóżce. Hanne roztropnie podziękowała za ciasto migdałowe, ale odważyła się wypić pół filiżanki kawy. Posterunkowy Erik nie miał takiego doświadczenia i chciwie sięgnął po ciasto. Wystarczył jeden kęs i zaczął się rozpaczliwie rozglądać za miejscem, w którym mógłby się pozbyć dużego kawałka, jaki nieopatrznie sobie nałożył. Nie znalazł jednak wyjścia i całą wizytę spędził na zmaganiu się z przełknięciem ciasta.

- Wie pan może, dlaczego tu jesteśmy?

Mężczyzna nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko i dalej próbował namawiać Hanne na poczęstowanie się wypiekiem.

- Jesteśmy z policji - powtórzyła, tym razem głośniej.

- No tak, z policji - uśmiechnął się. - Policja, miłe dzieci. Miła dziewczyna.

Wysuszoną na wiór dłoń starego człowieka pokrywała zdu-

miewająco miękka skóra. Hanne przekonała się o tym, gdy kilka razy pogładził ją po grzbiecie dłoni. Spokojnie ujęła jego rękę i popatrzyła mu w oczy - jasnoniebieskie i tak wyblakłe, że prawie białe. Brwi miał gęste i krzaczaste, kształtem kojarzące się z różkami. I choć uniesione układały się w optymistyczny łuk, mężczyzna przypominał dzięki nim sympatycznego diabełka.

- W sąsiednim mieszkaniu popełniono przestępstwo! W nocy z soboty na niedzielę! - Drgnęła przestraszona, gdy z jednej klatki rozległo się jak echo:

- Na niedzielę! Na niedzielę!

Erik przeraził się jeszcze bardziej, bo papuzi dziób znajdował się tuż przy jego uchu. Ze strachu upuścił filiżankę. Zawstydzony zniszczeniami zaczął przepraszać, jękając się z pełnymi ustami, ale w głębi duszy był uradowany tym, że przynajmniej ostatni kawałek ciasta znalazł się wśród porcelanowych skorupki i nie nadawał się już do zjedzenia.

Staruszek wcale się nie zdenerwował. Pokuśtykał po szczotkę i szufelkę, a Erik poszedł za nim, ponieważ uparł się, że sam posprząta. Właściciel nakrył klatki dużymi czarnymi serwetami i nagle w salonie zrobiło się cicho.

- Tak będzie lepiej. Teraz możemy porozmawiać. Nie musicie mówić aż tak głośno, mam dobry słuch.

Znów siedzieli naprzeciwko siebie.

- Przestępstwo - mruknął cicho. - Przestępstwo. Dużo się teraz o tym słyszy. Piszą w gazetach. Codziennie. Ja głównie siedzę w domu.

- Tak pewnie najlepiej - przyznała policjantka. - Najbezpieczniej.

W mieszkaniu było gorąco. Stojący zegar cykał ciężko, jakby ze zmęczenia. Hanne, zorientowawszy się, że dochodzi czwarta, odczekała chwilę. Rozległy się cztery niepewne, przytłumione uderzenia.

- Rozmawiamy z sąsiadami. Sprawdzamy, czy nikt niczego nie zauważył.

Staruszek nie odpowiedział, tylko spokojnie pokręcił głową.

- Coś jest nie tak z tym zegarem. Wcześniej taki nie był. Dźwięk mu się zmienił. Wam też się tak wydaje?

Hanne Wilhelmsen westchnęła.

- Trochę trudno powiedzieć, pierwszy raz go słyszę. Ale zgadzam się, brzmi trochę... smutno. Może zegarmistrz powinien mu się przyjrzeć?

Możliwe, że gospodarz był innego zdania, ale nic nie powiedział, tylko dalej lekko kręcił głową.

- Nie słyszał pan nic z soboty na niedzielę? Przedwczoraj?

Mimo że staruszek podkreślał, że z jego słuchem wszystko w porządku, nie potrafiła się powstrzymać od podniesienia głosu.

- Czy coś słyszałem... Chyba nie. Chyba nic. Oczywiście nic oprócz tego, co słyszę co noc. Samochody, no i tramwaj, kiedy przejeżdża. Ale tramwaj w nocy nie jeździ, więc tramwaju nie słyszałem.

- Czy zwykle pan...

- Mam bardzo lekki sen - przerwał jej. - Trochę tak, jakbym w życiu już się wyspał. Mam osiemdziesiąt dziewięć lat. Żona przeżyła tylko sześćdziesiąt siedem. Proszę się poczęstować ciastem, córka upiekła. A zresztą nie, wnuczka. Czasami mi się to miesza. Córka nie żyje. Nie może więc piec.

Uśmiechnął się zawstydzony, jakby właśnie zrozumiał, że czas nie tylko go dogonił, lecz dawno już przegonił.

Niewypał. Zmarnowany czas. Sierżant Hanne Wilhelmsen dopiła kawę, grzecznie podziękowała i zakończyła rozmowę.

- A o jakie przestępstwo chodzi? - zainteresował się nagle staruszek, gdy policjanci w przedpokoju zabierali kurtki i kaski, szykując się do wyjścia.

Hanne odwróciła się do niego, nie wiedząc, czy powinna tego miłego starego człowieka niepokoić brutalną rzeczywistością stolicy. W końcu jednak pomyślała, że miał do czynienia z życiem trzy razy dłużej niż ona.

- Gwałt. To był gwałt.



Stary człowiek drgnął i pokręcił głową.

- A, to taka piękna dziewczyna. Straszne.

Zamknął drzwi za gośćmi i szurając nogami, wrócił do swoich pierzastych przyjaciół. Ściągnął nakrycia z klatek i w nagrodę usłyszał kakofonię podziękowań. Wsunął palec między druty i ara pieszczotliwie zaczęła skubać jego dłoń.

- Gwałt. To przecież straszne - zwrócił się do niej, a ona pokiwiała głową, całkowicie się z nim zgadzając. - Czy to możliwe, żeby ktoś z kamienicy coś takiego zrobił? Nie, to musiał być ktoś z zewnątrz. Może to ten człowiek w czerwonym samochodzie? Wcześniej go tu nie widziałem.

Wyjął palec z klatki i poczłapał do wysłużonego wygodnego fotela stojącego pod oknem. To tu zwykle przesiadywał, kiedy bezsenność wyciągała go z łóżka. Miasto było jego przyjacielem dopóty, dopóki bezpiecznie tkwił w mieszkaniu. Spędził w nim całe życie. Widział, jak wśród zaprzężonych w konie wozów pojawiają się hałaśliwe automobile, jak lampy gazowe ustępują miejsca elektrycznym, a bruk znika pod szaroczarnym asfaltem. Znal swoje sąsiedztwo, a przynajmniej ten jego fragment, który było widać z okna. Rozpoznawał przynależące do niego samochody i kojarzył ich właścicieli. Czerwonego auta nigdy wcześniej nie widział, podobnie jak potężnego młodego mężczyzny, który odjechał stąd o świcie. To musiał być on.

Posiedział tak jeszcze chwilę, może trochę przysnął. W końcu wstał, poszedł do kuchni i zaczął gotować zupę.

\*\*\*

Nikt z pozostałych sąsiadów niczego nie słyszał ani tym bardziej nie widział. Większość zauważyła pojawienie się policji w niedzielę rano. Po kamienicy krążyły plotki i wszyscy mieli więcej obserwacji niż miły staruszek z pierwszego piętra, ale nic z tego nie mogło zainteresować policji. Rozmawiając z ożywieniem na korytarzu i z niedowierzaniem kręcąc głowami, oddawali się spekulacjom i wzajemnym zapewnieniom, że od tej pory będą bardziej uważać na to, co się wokół nich dzieje.

Kristine Håverstad nie było w domu. Hanne Wilhelmsen

dobrze o tym wiedziała, mimo to na wszelki wypadek zadzwoniła i odczekała kilka sekund, zanim otworzyła drzwi. Klucze dostała od dziewczyny, która na razie postanowiła przeprowadzić się do ojca. Na jak długo, nie wiedziała.

Nieduże mieszkanie było zadbane i przytulne. Hanne i Erik prędko stwierdzili, że składało się z salonu z półotwartą kuchnią i sporej sypialni z biurkiem ustawionym w rogu. Do pokoju wchodziło się z wąskiego przedpokoju, który należało raczej nazwać korytarzem. W łazience - tak malej, że możliwe było chyba jednoczesne siedzenie na sedesie, branie prysznica i mycie zębów - unosił się lekki zapach sosnowych igieł.

Hanne Wilhelmsen wiedziała, że na pewno nie znajdzie tu nic więcej niż technicy. Zajrzała po prostu z ciekawości. Pościel zniknęła, ale kołdra, porządnie złożona, leżała na swoim miejscu. Sosnowe łóżko było pojedyncze, lecz nie tak wąskie, by nie zmieściło się na nim dwoje dobrych przyjaciół. Na każdym z czterech słupków znajdowały się nieduże gałki. W nogach, tuż pod każdą z nich widać było ciemną rysę. Hanne przykucnęła i dotknęła palcami śladów. Drobniotkie drzazgi zakłuły ją w palec. Westchnęła ciężko, wyszła z sypialni i stanęła w drzwiach do salonu.

- Czego szukamy? - spytał Erik niepewnie.

- Niczego - odpowiedziała sierżant Wilhelmsen, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, jakby dla podkreślenia swoich słów. - Niczego nie szukamy. Po prostu oglądam mieszkanie, do którego Kristine Håverstad nigdy nie będzie w stanie wrócić.

- To okropne - mruknął chłopak.

- Jeszcze gorsze. O wiele, wiele gorsze.

Zamknęli drzwi na oba zamki i zupełnie niepotrzebnie pojechali przez Store Ringvei z powrotem do komendy. Eryk Rudy był wniebowzięty. Po tej przejażdżce już nie wiedział, w kim bardziej się kocha: w Hanne Wilhelmsen czy w jej wielkim różowym harleyu.

**Wtorek, 1 czerwca**

Kristine Håverstad próbowała się nie denerwować, ale nie bardzo jej to wychodziło. Było jej wszystko jedno. Nie potrzebowała żadnego adwokata, właściwie nie potrzebowała niczego. Chciała jedynie być w domu, w domu u ojca. Pozamykać wszystkie drzwi na klucz i oglądać telewizję. A już na pewno nie chciała mieć do czynienia z adwokatem. Ale policjantka się uparła. Pokazała jej listę nazwisk prawników specjalizujących się w reprezentowaniu ofiar i delikatnie napomknęła, że Linda Løvstad to dobry wybór. Kiedy dziewczyna wzruszyła ramionami i kiwnęła głową, Hanne Wilhelmsen od razu do niej zatelefonowała. Kristine miała się pojawić w kancelarii Løvstad już

o                   dziesiątej trzydzieści następnego dnia.

Stała teraz pod podanym adresem i próbowała być spokojna. Szyld miał bliźny po wymianie nazwisk prawników, mimo to był czytelny: „Adwokaci Andreassen, Bugge, Hoel i Løvstad, 1                   piętro”. Czarne litery na zaśniedziałym mosiądzu.

Kiedy otworzyła szklane drzwi na piętrze, podbiegi do niej pies, merdając ogonem. Drgnęła przestraszona, ale uspokoił ją mężczyzna, który, sądząc po stroju, nie mógł być adwokatem.

Nosił wyświechtane dżinsy i adidasy. Uśmiechnął się, wziął zwierzaka na smycz i przyjaźnie go łajając, zaprowadził do jakiegoś gabinetu. W głębi długiego korytarza leżał inny pies, duży, ciemnoszary, z łbem ułożonym na łapach i smutnym spojrzeniem, jakby świetnie rozumiał, przez co przeszła Kristine. Chuda, dobrze ubrana dziewczyna w recepcji będącej jednocześnie centralką telefoniczną wskazała jej drzwi za szarym smutnym psikiem.

- Przedostatni pokój na lewo - powiedziała ściszym głosem i uśmiechnęła się.

- Proszę - usłyszała Kristine, zanim jeszcze zdążyła zapukać.

Może jednak tamten mężczyzna był adwokatem, bo kobieta zajmująca ten gabinet nie nosiła wprawdzie adidasów, ale mia-

ła na sobie klasyczne chińskie balerinki i dzinsy, a także bluzkę, jak uznała Kristine, z H&M. Pokój również nie nosił żadnych śladów luksusu, a na dodatek w kącie leżał trzeci pies, chudy i brzydki kruczo-czarny kundel z wielkimi pięknymi ślepiami. Może posiadanie psa stanowiło warunek otrzymania pracy w tej kancelarii?

Olbrzymie, lekko wygięte w łuk biurko zajmowało prawie cały gabinet. Półki z książkami były proste i częściowo puste, a na podłodze, oparty o regał, stał idiotyczny wielki pluszowy kot. Nieładny i wcale nie zabawny, ale razem z malutkim plastikowym policyjnym radiowozem, tanimi plakatami w antyramach i kwitnącym niecierpkim w białej osłonce oswajało to miejsce i czynił je mniej przerażającym.

Adwokatka wstała i wyciągnęła rękę do wchodzącej Kristine. Była chuda jak szczapa, płaska jak deska i miała rzadkie jasne włosy, którym na próżno starała się dodać objętości, upinając je w coś w rodzaju koka. Z jej twarzy jednak biła życzliwość, uśmiech był piękny, a uścisk dłoni mocny. Zaproponowała kawę, przyniosła beżowy pusty segregator i zaczęła od spisywania danych osobowych.

Kristine Håverstad nie miała pojęcia, po co tu przyszła. Za skarby świata nie znalazłaby w sobie siły na złożenie zeznań po raz kolejny.

Kobieta czytała jej w myślach.

- Nie musisz mi opowiadać o samym gwałcie - uspokoila ją.

- Dostanę dokumenty z policji.

Zapadła chwila ciszy, ale nie wydawała się kłopotliwa. Po prostu kojąca. Adwokatka z uśmiechem popatrzyła na Kristine i być może czekając, aż ta sama coś powie, zajrzała do jakichś dokumentów, które nie mogły dotyczyć jej. Ale Kristine siedziała wpatrzona w pluszowego kota, dłonią gładząc podłokiet- nik krzesła. Prawniczka wciąż się nie odzywała, więc młoda kobieta wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w podłogę.

- Korzystasz z czyjejś pomocy? Psychologa lub kogoś takiego?

- Tak. W zasadzie to osoba z opieki społecznej, ale to wszystko jedno.

- W czymś ci pomaga?

- Akurat w tej chwili chyba nie bardzo, ale wiem, że to ważne. Perspektywicznie. Byłam u niej dopiero raz, wczoraj.

Adwokat Løvstad zachęcająco pokiwała głową.

- Moje zadanie jest właściwie bardzo ograniczone. Mam być kimś w rodzaju ogniwa łączącego cię z policją. Jeśli będziesz chciała się czegoś dowiedzieć, musisz się po prostu kontaktować ze mną. Policja ma mnie informować na bieżąco. Z reguły to zaniedbują, ale miałaś szczęście co do osoby kierującej śledztwem. Ona zwykle się przejmuje.

Obie się uśmiechnęły.

- Tak. Rzeczywiście wydaje się w porządku - potwierdziła Kristine.

- No i mam ci pomóc w uzyskaniu odszkodowania.

- Odszkodowania? - zdziwiła się dziewczyna.

- Tak. Masz prawo do odszkodowania. Albo od sprawcy, albo od państwa. Wprowadzono specjalny system.

- Nie interesuje mnie żadne odszkodowanie!

Kristine Håverstad zdumiała własną reakcją. Odszkodowanie? Jakby ktokolwiek mógł zaoferować jej sumę zdolną naprawić całą tę krzywdę, zatrzeć tę straszną czarną noc, która przewróciła do góry nogami cały jej świat. Pieniądze?

- Ja nic nie chcę!

Gdyby jej kanaliki Izowe nie były wycięzione, zaczęłyby płakać. Nie chciała pieniędzy. Jeśli mogłaby wybierać, zażyczyłaby sobie odtwarzacz wideo z życiem nagrany na poręczną taśmę. Cofnęłaby wtedy czas i w tę ostatnią sobotę pojechałaby do ojca, zamiast dać się unicestwić we własnym mieszkaniu. Ale to było niemożliwe. Dolna warga, a zaraz za nią cała broda zaczęły jej się trząść.

- Chcę z powrotem swoje życie! Nie odszkodowanie! - Ostatnie słowa wypluła jak zepsute jedzenie.

- Uspokój się. - Adwokatka wychyliła się nad biurkiem i

pochwyciła jej spojrzenie. - O tym wszystkim możemy porozmawiać później. Możliwe, że dalej będziesz myśleć tak samo, wtedy oczywiście do niczego nie będziemy cię zmuszać. Ale może zmienisz zdanie. Na razie to zostawmy. Czy w tej chwili potrzebujesz jakiejś konkretnej pomocy? W czymkolwiek?

Wysoka, szczupła dziewczyna patrzyła na adwokatkę przez kilka zastygłych sekund. W końcu się poddała. Położyła głowę na biurku i zasłoniła ją rękami. Włosy zakryły jej twarz. Przez pół godziny płakała bez łez, a adwokatce nie pozostawało nic innego jak głaskanie klientki po plecach i szeptanie słów, które mogłyby ją uspokoić.

- Gdyby ktoś mógł mi pomóc - szlochała dziewczyna. - Gdyby ktoś mógł pomóc tacie! - Wreszcie podniosła głowę. - Właściwie nie chcę mieć do czynienia z policją. Nie obchodzi mnie, czy go złapią, czy nie. Chcę tylko... - Znów owładnął nią płacz, ale teraz przynajmniej siedziała prosto. - Chcę, żeby ktoś mi pomógł. Żeby ktoś pomógł ojcu. On się do mnie nie odzywa. Cały czas jest przy mnie, chciałby mi nieba przychylić, ale... Nic nie mówi. Boję się, że może...

Płacz znów odebrał jej głos. Po kolejnym kwadransie adwokat Linda Løvstad zrozumiała w końcu, że po raz pierwszy w swojej, co prawda niezbyt długiej, karierze musi wezwać do klientki karetkę.

\*\*\*

Nie mieli szczególnej wiary w przydatność portretu pamięciowego, lecz mimo wszystko go wydrukowali. Do czegoś w każdym razie doprowadził, bo otrzymali ponad pięćdziesiąt zgłoszeń dotyczących znanych z imienia i nazwiska osób, chociaż może było ich aż tyle właśnie z powodu braku wyraźnych rysów, nieokreślonego wizerunku cienia pozbawionego tożsamości.

Sierżant Hanne Wilhelmsen odsunęła gazetę od twarzy na odległość wyciągniętej ręki i z przekrzywioną głową przyglądała się rysunkowi.

- To może być każdy - stwierdziła. - Przy odrobinie dobrej woli

wskazałabym przynajmniej czterech albo pięciu mężczyzn spośród tych, których znam. - Zmrużyła oczy i przechyliła głowę w drugą stronę. - On jest podobny do ciebie, Håkon. Cholera, do ciebie też! - Roześmiała się i pozwoliła sobie wyrwać gazetę.

- Wcale nie! - zaprotestował urażony prokurator. - Ja nie mam takiej okrągłej twarzy. Ani tak blisko osadzonych oczu. Poza tym mam więcej włosów.

Zmięta z wściekłością gazeta trafiła do kosza.

- Jeśli w taki sposób zamierzasz prowadzić śledztwo, to rozumiem, dlaczego nikt nie wierzy w jego powodzenie - oświadczył ze złością.

- No, naprawdę... - Hanne się nie poddawała. Wyciągnęła z kosza gazetę i rozprostowała ją szczupłą dłonią z długimi palcami i paznokciami pomalowanymi bezbarwnym lakierem. - Przyjrzyj się temu szkicowi. Przecież to może być ktokolwiek. Takich rysunków nie powinno się publikować. Ofiary albo zwracają uwagę na jakiś szczegół, na przykład duży nos, i wtedy nie mamy żadnych zgłoszeń, albo sprawcy wyglądają na portretach tak jak on, po prostu jak mężczyzna. Jak Norweg.

- Skąd my właściwie wiemy, że on jest Norwegiem? - usłyszała Hanne po dłuższej chwili.

- Mówi płynnie po norwesku i wygląda na Norwega. Zakładamy więc, że to Norweg - wyjaśniła.

- Ale podobno był bardzo opalony...

- Przestań, Håkon! Dość mamy rasistów w policji, żebyś jeszcze ty uważał, że blondyn mówiący po norwesku dialektem z Oslo to Marokańczyk.

- Ale przecież oni gwałcą...

- Daj spokój, Håkon! - Głos Hanne zabrzmiał teraz wręcz agresywnie.

Rzeczywiście przybysze z północnej Afryki przodowali w statystykach zgwałceń, i to nadzwyczaj brutalnych. Rzeczywiście od czasu do czasu Hanne również ulegała podobnym uprzedzeniom, co było wynikiem częstych spotkań z tymi pięknymi

gnojkami o ciemnych kręconych włosach, którzy przyłapani ze ściągniętymi spodniami wypierali się wszystkiego w żywe oczy, a każdy Norweg w takiej sytuacji powiedziałby: „Pewnie, pieprzyliśmy się. Ale ona sama tego chciała”. Rzeczywiście, Hanne to wiedziała, lecz wyrażenie takiej opinii na głos to zupełnie inna sprawa.

- Jak myślisz, ile „norweskich” - mówiąc to, poruszyła w powietrzu palcami, podkreślając umowność tego określenia - gwałtów... na randkach, imprezach firmowych, w domu między małżonkami... nie jest zgłaszanych? To tam kryją się ciemne liczby. Dziewczyny wiedzą, że przychodząc na policję, nic nie osiągną. Jeśli natomiast chodzi o „prawdziwsze” gwałty... - Palce znów nakreśliły w powietrzu cudzysłów. - ...O paskudne napaści, wstrętnych ciemnoskórych sprawców, którzy nie są stąd, to wiadomo, że policja będzie ich szukać... I takie przypadki się zgłasza.

Håkon poczuł się trafiony. Uśmiechnął się przepraszająco.

- Nic takiego nie miałem na myśli.

- Zakładam, że mówisz prawdę. Ale nie powinieneś wygłaszać takich opinii nawet żartem. Jednego jestem pewna... - Spocona i zrezygnowana wstała i spróbowała szerzej otworzyć okno. Nowe zasłonki ledwie drgnęły, bardziej od jej ruchu niż od ciągu powietrza wpadającego do środka. - O Boże, ale gorąco!

Jej wysiłki nic nie dały. Okno z powrotem się przymknęło, zostawiając dziesięciocentymetrową szparę, która nie dawała żadnej ochłody. W pokoju musiało być ze trzydzieści stopni. - Jednego jestem pewna - powtórzyła Hanne. - Gdyby zgłaszano wszystkie gwałty popełniane w tym kraju, przeraziłyby nas dwie rzeczy.

Håkon Sand nie wiedział, dlaczego urwała. Może umożliwiła mu odgadnięcie przyczyn takiego przerażenia, ale zamiast wygłupić się kolejny raz, postanowił w milczeniu czekać na odpowiedź.

- Po pierwsze, przeraziłaby nas ich liczba. A po drugie, fakt, że



cudzoziemcy proporcjonalnie odpowiadają dokładnie za taką ich część, na jaką wskazywałyby ich odsetek wśród ludności naszego kraju. Ani mniej, ani więcej. - Znów westchnęła, myśląc o gorącu. - Jeśli ten upał się wreszcie nie skończy, oszaleję. Chyba się przejadę. Wybierzesz się ze mną?

Ze strachem w oczach natychmiast odrzucił propozycję. Wciąż miał w pamięci swoją pierwszą przejażdżkę na motocyklu. Lodowatą, śmiertelnie niebezpieczną, przez Vestfold, pół roku temu, późną jesienią, kiedy Hanne Wilhelmsen prowadziła, a on był przemoczonym do suchej nitki bezradnym pasażerem. Wtedy chodziło o czyjeś życie. Postanowił, że nigdy więcej tego nie powtórzy.

- Nie, dziękuję, raczej pójdę popływać - stwierdził.

Było wpół do czwartej, właściwie mogli już iść do domu.

- Powinnaś chyba przejrzeć te zgłoszenia - zauważył nieśmiało.

- Zajmę się tym jutro, Håkon. Jutro.

\*\*\*

Rozpacz zżerała go od środka. Jak paskudny szary szczur umiejscowiła się gdzieś za mostkiem i nieustannie podgryzała. Od niedzielnego poranka wypił dwie butelki balancidu, specyfiku na nadkwasotę o smaku pomarańczowym. Nic to nie dało. Szczurowi najwyraźniej przypadł do gustu pomarańczowy smak, bo dalej szarpał ze zdwojoną siłą. Wszystko jedno, co robił i co mówił, nic nie pomagało. Córnica nie chciała z nim rozmawiać. Wprawdzie była przy nim, w domu swojego dzieciństwa, w dawnym panińskim pokoju, ale świadomość, że przynajmniej czuje się przy nim stosunkowo bezpieczna, przynosiła mu niewielką pociechę.

Odebrał Kristine z pogotowia psychiatrycznego. Kiedy zobaczył ją skuloną, z pociemniałymi oczami i głową wciśniętą w ramiona, przypomniała mu się żona sprzed dwudziestu lat, która siedziała w taki sam sposób, z takim samym pustym spojrzeniem i ustami bez wyrazu, w pozycji wyrażającej beznadzieję. Właśnie się dowiedziała, że umrze, zostawiając męża i niespełna czteroletnią córeczkę. Wtedy wpadł we wściekłość.

Przeklinał i krzyczał, woził żonę po wszystkich ekspertach w całym kraju. W końcu pożyczył znaczną sumę od rodziców w próżnej nadziei na uzyskanie pomocy w Stanach Zjednoczonych, tej ziemi obiecanej wszystkich lekarzy. Liczył, że amerykańscy specjaliści zmienią ów okrutny werdykt, co do którego czternastu norweskich medyków tak straszliwie się ze sobą zgadzało. Efektem tej podróży była jedynie śmierć młodej kobiety z dala od domu. Wracała w chłodni, w luku bagażowym. Samotne życie z małą Kristine nie szczydziło mu trudów. Właśnie skończył stomatologię, gdy po dwudziestu latach socjaldemokratycznego leczenia zębów ludności tak lukratywne wcześniej zajęcie stało się mniej opłacalne. Ale jakoś sobie radził. Połowa lat siedemdziesiątych upływała pod znakiem walki o prawa kobiet, co paradoksalnie pomogło i jemu. Samotnego ojca, uparcie pragnącego zajmować się córką, wspierał na różne sposoby system państwowy, ale też znajomi, a także koleżanki i sąsiadki. I udało się.

Kobiet w jego życiu było niewiele. Miał jeden czy drugi roman, ale nigdy nie trwały one długo. Zadbła o to Kristine. Trzykrotnie ośmielił się przedstawić jej kandydatkę na żonę, lecz córka za każdym razem odrzucała wszelkie próby przypodobania się jej, podejmowane przez jego wybranki. I zawsze wygrywała.

Kochał córkę. Oczywiście wiedział, że wszyscy ojcowie kochają swoje dzieci, i rozsądek podpowiadał mu, że pod tym względem nie wyróżnia się na tle reszty norweskiego społeczeństwa, ale serce kazało mu twierdzić wszem i wobec, że jego związek z córką jest wyjątkowy.

Mieli tylko siebie. Był dla niej i ojcem, i matką. Czuwał nad nią, kiedy chorowała, troszczył się o czyste ubranie, pocieszał, gdy jej pierwszy związek z chłopakiem rozsypał się już po trzech tygodniach. Kiedy jako trzynastolatka z lękiem zmieszonym z radością pokazała mu zakrwawione majtki, to on zabrał ją do restauracji, by befsztykiem z polędwicy i rozcieńczonym wodą czerwonym winem uczcić jej przemianę w kobietę. To on

przez dwa lata musiał odrzucać uparte dopraszanie się o biustonosz, bo na dwóch śladach po ukąszeniu komara, które miałby zasłaniać, każdy stanik wyglądałby po prostu śmiesznie. Nikt nie dzielił z nim radości, gdy córka osiągała znakomite wyniki w szkole, i został sam ze swoim gorzkim bólem, kiedy w

pewien letni dzień przed czterema laty przyjęcie na studia medyczne w Oslo postanowiła uczcić z przyjaciółmi.

Kochał swoją córkę, ale nie umiał do niej dotrzeć. Kiedy po nią przyjechał, poszła z nim bez protestów. Sama zresztą poprosiła na pogotowiu, żeby po niego zadzwonili. A więc chciała do domu. Do niego. Tylko nic nie mówiła. W samochodzie w powrotnej drodze na próbę ujął ją za rękę. Pozwoliła na to, ale w żaden sposób nie odpowiedziała na dotyk. Po prostu jej bezwładna dłoń dała mu się ścisnąć. W domu zaczął kusić ją jedzeniem, świeżym chlebem z jej ulubionym rostbefem i sałatką z krewetek. I najlepszym czerwonym winem, jakie miał w zapasie. Kristine sięgnęła po wino, ale jedzenia nie tknęła. Po trzech kieliszkach zabrała butelkę, grzecznie go przeprosiła i poszła do siebie.

Od tego momentu minęły już trzy godziny. Z jej pokoju nie dochodził żaden dźwięk. Odrętwiały ojciec podniósł się z kanapy, amerykańskiej, głębokiej i zbyt miękkiej. Świece, które w jasny wiosenny wieczór paliły się bladym płomieniem, sykiem oznajmiały brak stearyny. Zatrzymał się przy drzwiach do jej pokoiku i przez kilka minut stał nieruchomo, nim wreszcie odważył się zapukać. Nie odpowiedziała. Zawahał się, ale w końcu zdecydował, że zostawi ją w spokoju.

Poszedł się położyć.

\*\*\*

W żółtym pokoju z kraciastymi zasłonkami Kristine Håverstad tuliła do siebie miśka. Butelka po czerwonym winie stała przed nią na białym lakierowanym stoliku. Łóżko było wąskie i złapała ją skurcz od długiego siedzenia po turecku. Przywitała go z radością. Ból stawał się coraz większy, a ona

skupiała się na tym, by go poczuć. Wszystko inne przestało się liczyć. Czuła jedynie mrowiący, bolesny protest kończyn, które od dłuższego czasu nie otrzymywały należnej porcji krwi. Wreszcie nie mogła już wytrzymać. Położyła się i wyprostowała nogi. Ból jeszcze się wzmógł, gdy do łydek wracało czucie. Obiema rękami złapała za udo i z całej siły wbiła w nie palce, aż do oczu napłynęły jej łzy. Starła się robić wszystko, by ten ból trwał, ale się nie dawało. Po chwili puściła. Wrócił ucisk w piersi. Miała tam pustkę, czarną dziurę wypełnioną niemożliwym do opisanego cierpieniem. Napływało i wirowało coraz szybciej, więc w końcu wstała po pudełeczko z tabletkami, które dostała na pogotowiu. Valium, pół miligrama. Maleńkie opakowanie, a każda pastylka zawierała nadzieję na odrobinę spokoju. Przynajmniej na jakiś czas. Z pudełeczkiem w lewej ręce stała, jak jej się wydawało, przez wieczność. W końcu zabrała je do łazienki, podniosła klapę od sedesu, otworzyła pojemniczek i całą jego zawartość wysypała do niebieskawej, pachnącej chlorem wody. Tabletki przez chwilę unosiły się na powierzchni, po czym zaczęły opadać na porcelanowe dno i znikać w kanalizacji. Na wszelki wypadek spuściła wodę. Dwa razy. Potem starannie umyła twarz lodowatą wodą i wyszła do salonu. Ściemniło się. Palila się tylko nieduża lampka nad telewizorem, rzucająca słabe żółte światło na miękki dywan przy kanapie. Kristine przyniosła z kuchni kolejną butelkę wina. Poruszała się po cichu, żeby nie zbudzić ojca. Jeśli rzeczywiście spał. Usiadła w najwygodniejszym fotelu i siedziała w nim, dopóki nie opróżniła również tej butelki.

Nagle stanął w drzwiach, potężny, ale ze zwieszonymi rękami i dłońmi odsuniętymi od okrytego piżamą ciała w geście bezradności. Żadne się nie odezwało. Ojciec długo się wahał, w końcu wszedł do pokoju i przykucnął przed nią.

- Kristine - wyszeptał bardziej po to, by przerwać ciszę. - Kristine, córeczko.

Tak bardzo chciała mu odpowiedzieć. Ponad wszystko na

świecie pragnęła wyjść mu na spotkanie, przytulić się do niego, pozwolić, by ją pocieszył, i pocieszać jego, wyznać mu, że przykro jej z powodu bólu, jaki mu sprawiła, że była taka głupia i pozwoliła się zgwałcić. Tak bardzo pragnęła wymazać to, co się wydarzyło, wymazać wszystko, znów mieć osiem lat i znów być szczęśliwa, pozwalać, by podrzucał ją w powietrze i bezpiecznie łapał. Ale po prostu nie była w stanie. Nic nie mogło już tego naprawić. Zniszczyła mu życie. Znalazła w sobie jedynie siłę, by wyciągnąć rękę i końcem palców musnąć jego twarz, od miękkiej skóry pod skronią przez nieogolony policzek do dołeczka w brodzie.

- Tato - powiedziała cicho, wstając.

Zachwiała się lekko, ale odzyskała równowagę i poszła z powrotem do swojego pokoju. Przy drzwiach lekko się obróciła. Zobaczyła, że ojciec wciąż siedzi w kucki z twarzą schowaną w dłoniach. Zamknęła za sobą drzwi i w ubraniu położyła się na łóżku. Po kilku minutach spała, mocno i bez snów.

### **Środa, 2 czerwca**

Na wybrukowanej alejce biegnącej pod górkę od Grønlandsleiret do Komendy Okręgowej Policji w Oslo panował ożywiony ruch. Ludzie przychodzili i wychodzili. Od czasu do czasu podjeżdżała taksówka z różnymi klientami - od mężczyzn w garniturach zmierzających na spotkanie z ważnymi personami z górnych pięter po oburzone starsze panie, z trudem stąpające na chudych nogach i roztropnie wspierające się na laskach, które przybyły tu, by zgłosić zaginięcie pudelka. Słońce stale świeciło, a mleczce na trawniku już zaczęły siwieć. Nawet budynek aresztu w głębi topolowej alei wyglądał przyjaźnie, jakby w każdej chwili w jego bramie miał się pojawić sam szef gangu Egon Olsen, gotów do kolejnych napadów. Wszędzie można było spotkać leżących i siedzących półnagich ludzi, niektórych korzystających z przerwy na lunch, innych bezrobotnych, chcących spędzić na

tej jedynej plamce zieleni w starej dzielnicy Oslo kilka chwil w słońcu. Wśród nich trafiały się też gospodynie domowe. Kilka ciemnoskórych dzieciaków grało w piłkę, co niepomiernie irytowało niektórych, zwłaszcza wyrwanych z leniwej drzemki przez piłkę lądującą na wysmarowanym

olejkiem brzuchu. Ale dzieciaki się śmiały, najwyraźniej nie mając zamiaru przenosić się z zabawą gdzie indziej.

Hanne Wilhelmsen i Håkon Sand siedzieli na ławce pod samą ścianą budynku. Hanne podwinęła spodnie nad kolana i zdjęła buty. Håkon zerknął ukradkiem na jej nogi i stwierdził, że Hanne nie goli łydek. Nie przeszkadzało mu to w niczym, bo pokrywał je jasny puch, z którym wyglądała jeszcze lepiej niż z nienaturalnie gładką skórą. Była już lekko opalona.

- Zwróciłaś uwagę na jedną rzecz? - spytał Håkon z pełnymi ustami. Przełknął, starannie złożył papier po kanapce i wlał w siebie resztkę mleka z kartonu. - Zauważyłaś, że w tym tygodniu nie było sobotniej masakry?

- Zauważyłam.

Hanne już dawno zjadła swój skromny lunch, który składał się z jogurtu i niedużego kawałka marchewki. Håkon ze zdumieniem spytał, czy się odchudza. Nie odpowiedziała.

- Tak, zastanawiałam się nad tym - powtórzyła. - Rzeczywiście dziwne. Może żartownisiowi już się znudziło. Udało nam się utrzymać media z dala od tych historii i pewnie mu to nie w smak. Tyle wysiłku jedynie po to, żeby się trochę z nami podrażnić. Prawdopodobnie liczył na coś więcej. Jeśli oczywiście teoria żartownisia jest cokolwiek warta.

- Może po prostu krew mu się skończyła...

- Może.

Mocno kopnięta piłka długim łukiem nadleciała w ich stronę. Hanne się poderwała i złapała ją uśmiechnięta. Odwróciła się do kolegi.

- Zagramy?

Gwałtowne wymachiwanie rękami zgasiło jej nadzieję na widok prokuratora Håkona Sanda grającego w nogę z małymi

Pakistańczykami. Odkopnęła piłkę i jęknęła. Usiadła, rozcierając bolący nadgarstek.

- Wyszłam z formy.

- Co właściwie sądzisz o tej sprawie? - spytał Håkon.

- Naprawdę nie wiem. Mam nadzieję, że to tylko wygłupy. Ale coś mi się w tym nie podoba. Przecież facet musi się nieźle narobić, żeby to przygotować.

- Albo babka.

- Szczerze mówiąc, nie wierzę, że kobietę stać na coś takiego. To trochę zbyt... trochę zbyt męskie. Cała ta krew.

- Ale wyobraź sobie, że to wcale nie żart. Że w tych trzech miejscach naprawdę popełniono przestępstwo. Wyobraź sobie...

- Masz za mało roboty, Håkon? Uważasz, że powinniśmy poświęcać czas na wyobrażanie sobie przestępstw? No to czeka cię ciężki okres, mój drogi. - Poirytowana włożyła skarpetki i buty, opuściła nogawki. - *Game over*. Wracamy do roboty - oświadczyła.

Wolnym krokiem weszli do budynku.

Jakiś złocisty złom zwisający z sufitu w ogromnym foyer, który w założeniu miał je zdobić, wyglądał tak, jakby z upału zaraz miał runąć na ziemię. Słońce odbijało się w nim tak mocno, że aż trudno było na to patrzeć. Niewielka byłaby strata, gdyby całe to gówno spadło, pomyślała Hanne i windą wjechała na trzecie piętro.

\*\*\*

Uwagi Håkona na temat sobotnich masakr nie schodziły jej z głowy. Niepomiernie ją to irytowało. Wśród swoich spraw miała teraz pięć gwałtów, siedem poważnych uszkodzeń ciała i podejrzenie o molestowanie seksualne dziecka. Roboty więcej niż dość. W komendzie istniała wprawdzie odrębna grupa zajmująca się przestępstwami seksualnymi wobec dzieci, ale tej absurdalnej wiosny wydawało się, że liczba tych przestępstw osiągnęła niebotyczny poziom, więc i inni musieli wziąć na siebie ciężar tych śledztw. Sprawa Hanne była klasyczną spr-

wą przewidzianą do umorzenia. Nie mieli żadnych namacalnych dowodów, a od całkowitej zmiany charakteru dzieciaka - ku wielkiej rozpaczy i matki, i przedszkolank - oraz wypowiedzianych z wielkim przekonaniem twierdzeń psychologa, że coś musiało się wydarzyć, było tak daleko do skazania jak z Ziemi do Księżyca. „Coś” nie było dostatecznie precyzyjnym określeniem dla sędziego. Ale postąpiłaby wbrew swojemu policyjnemu instynktowi, gdyby jeszcze trochę nie pogrzebała w tej sprawie. Podczas przesłuchania w obecności sędziego dzieciak sporo mówił, ale zamilkł całkowicie, kiedy Hanne usiłowała z niego wyciągnąć, kto ma dziwnego siusiaka pełnego mleka. Kolejna rozmowa była dla nich ostatnią szansą, ale musiała jeszcze poczekać. Przynajmniej ze dwa tygodnie.

A jeśli... Hanne Wilhelmsen siedziała z nogami na biurku i rękami założonymi na karku. Oczy miała przymknięte. A jeśli w tej drewnitni na Tøyen, w baraku przy rzece Loen i na parkingu na Vaterland rzeczywiście coś się zdarzyło? Niemożliwe jednak, żeby ta krew pochodziła od jednego człowieka. W każdym z tych miejsc musiałoby się pożegnać z życiem w tak okrutny sposób co najmniej troje albo czworo ludzi, a ta myśl była tak nieprawdopodobna, że przynajmniej na razie należało ją wykluczyć.

Drgnęła przestraszona, kiedy do pokoju wszedł komisarz Kaldbakken, i natychmiast zdjęła nogi z biurka.

- Nie masz co robić, Wilhelmsen? - burknął. - To zgłoś się do mnie, znajdę ci zajęcie.

- Mam, mam.

Mimo gniewnej postawy szefa i niezbyt fortunnej sytuacji, w jakiej ją przyłapał, wiedziała, że nie musi go o tym przekonywać.

- Mam roboty więcej niż dość, tak jak wszyscy.

Kaldbakken usiadł.

- Doszłaś do czegoś w sprawie sobotniego gwałtu? Tej panny studentki?

Komisarz musiał być jedną z ostatnich osób nazywających



studentki pannami. Chodziły plotki, że siedemnastego maja wciąż paradował w studenckiej czapce.

- Nie, nic szczególnego nie znalazłam. Jak zwykle: nikt nic nie zauważył i nikt nic nie słyszał. Dziewczyna ma problemy z podaniem dokładnego rysopisu. Sam widziałeś portret pamięciowy, każdy do niego pasuje. Mamy pół setki donosów. Erik je przejrzał, ale żaden nie wydaje się ciekawy. Tak przynajmniej twierdzi. Zamierzam sama się im przyjrzeć.

- Nie podoba mi się to - chrząknął Kaldbakken, a potem przez cztery minuty kasłał.

- Powinieneś rzucić palenie, szefie - powiedziała Hanne cicho, diagnozując rozedmę płuc w przedostatnim stadium. Ona również powinna przestać palić, naprawdę.

- Żona też tak mówi - odparł zduszonym głosem, gwałtownie odkasłując w chusteczkę przyłożoną do ust.

Hanne taktownie się odwróciła. Jej oczy spoczęły na dwóch wróblach kłócących się o coś na parapecie. Im pewnie też było gorąco.

- Nie podoba mi się to - powtórzył Kaldbakken. - Takie gwałty połączone z napaścią rzadko bywają pojedyncze. Miałaś jakieś wieści z Instytutu Medycyny Sądowej?

- Nie, jeszcze za wcześnie. Przecież zanim się od nich cokolwiek wyciągnie, czasem mija nawet kilka tygodni.

- Popędź ich, Wilhelmsen. Popędź ich zdrowo. Naprawdę się martwię.

Z wyraźnym wysiłkiem dźwignął się z krzesła i pokasłując, wrócił do swojego gabinetu.

### **Czwartek, 3 czerwca**

Nie było łatwo wziąć wolne ot, tak, nagle, z dnia na dzień, ale dwóch kolegów okazało wielką wyrozumiałość i udało im się sprawnie przejąć jego pacjentów. Z jednej strony oznaczało to stracone dochody, ale z drugiej - od lat już nie miał przyzwoitego urlopu.

No cóż, urlop. Zająć mu nie brakowało. Nie bardzo wiedział, od czego ma zacząć, dlatego poszedł na pływalnię. Na basenie panował zaskakujący tłok jak na siódmą rano. Nad wodą wisiał ciężko zapach chloru, który pewnie niedawno uzupełniono. Część pływaków sprawiała wrażenie stałych gości: witali się, gawędzili przy brzegu. Inni, bardziej zdecydowani, pokonywali pięćdziesięciometrowy basen w tę i z powrotem, nie zwracając uwagi na nikogo. Tylko pływali. Tak jak on.

Po stu metrach poczuł zmęczenie. Po dwustu przyznał, że przybyło mu nie tylko lat, ale i tłuszczu. Ale po dwóch kolejnych długościach basenu zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Znalazł rytm, który serce było skłonne zaakceptować, ale poruszał się znacznie wolniej niż inne ciała z pluskiem rozcinające wodę, zmagając się przy tym z falą wytworzoną przez kogoś w jarzeniowych kąpielówkach. Umięśnione torsy zostawiały za sobą kilwater niczym ciężkie lodzie w miniaturze. Po siedmiuset metrach poczuł się gotowy. To był niezwykły początek dnia, coś nowego, innego. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio znalazł czas na basen. Wyskoczył na brzeg, wciągnął brzuch i wypiął pierś. Udało mu się tak przejść jedynie do schodów prowadzących do szatni. Tam wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby i mięśnie wróciły do zwykłego położenia.

Pewną pociechę znalazł w saunie. Ci, którzy już się tu pocili, wcale nie wyglądali lepiej z zaczerwienioną skórą w temperaturze bliskiej stu stopni. I właśnie tutaj, kiedy tak siedział, osłonięty w pasie ręcznikiem, zdecydował, że najpierw odwiedzi kamienicę, w której mieszkała córka. W której już nie mieszkała. Będzie musiał coś zrobić z tym mieszkaniem. Wykluczone, by Kristine tam wróciła. Ale nie chciał jeszcze zmuszać jej do podjęcia decyzji. Mieli czas. Przynajmniej na razie.

Po wyjściu z pływalni czuł się czysty, a jego prawie sto kilogramów wydawało się lżejsze. Na dworze mżyło, ale delikatna pokrywa chmur i tak nie poradziła sobie z podkręconym termostatem. Wciąż było za gorąco jak na tę porę roku. Przecież

nawet w połowie lipca osiemnaście stopni o ósmej rano można uznać za imponujący wynik. A na wiosnę tak wysoka temperatura wręcz przerażała. Może rzeczywiście coś się działo z warstwą ozonową?

Z mniejszym wysiłkiem niż zazwyczaj wsiadł do samochodu, który nieprawidłowo zostawił na miejscu dla inwalidów. Wysiłek fizyczny dobrze mu zrobił. Powinien ćwiczyć częściej. Musi wziąć się w garść.

Czternaście minut później znalazł miejsce do zaparkowania auta zaledwie pięćdziesiąt metrów od domu córki. Znów spojrzął na zegarek i doszedł do wniosku, że wciąż jeszcze jest za wcześnie, żeby komuś przeszkadzać. Ludzie, którzy szli do pracy, z pewnością nie mieli czasu na rozmowę z nim, a ci, którzy zamierzali zostać w domu, prawdopodobnie jeszcze spali. Dlatego sięgnął po dwa tablety ze stojaka i wszedł do piekarni, która kusila spieszące się ranne ptaszki silnym zapachem świeżych drożdżówek. Po trzech bułkach, ćwiartce mleka i dwóch filiżankach kawy nadeszła wreszcie godzina pozwalająca na działanie. Zajrzał do samochodu i wrzucił kilka dodatkowych koron do parkometru. Otworzył kluczem główne drzwi kamienicy i wszedł na klatkę. Na każdym poziomie były po dwa mieszkania, a kondygnacji było pięć. Równie dobrze mógł zacząć od parteru.

Domowej roboty porcelanowa tabliczka informowała, że w mieszkaniu na lewo mieszkają Hans Christian i Lena Ødegård. Spiał się i lekko przycisnął dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Spróbował jeszcze raz. Wciąż bez skutku.

To nie był dobry początek. No cóż, będzie musiał do nich wrócić po południu. Na drzwiach naprzeciwko nie było żadnej wizytówki. Na domofonie zauważył, że mieszka tu jakiś cudzoziemiec, ale imię nie powiedziało mu, czy to mężczyzna, czy kobieta. Bez względu na to, kim była ta osoba, nie uznała za stosowne zastąpić wizytówki, która wcześniej zdobyła drzwi. Na drewnie pozostał jaśniejszy ślad, a w obu jego końcach - dziury po śrubkach.

Kiedy wcisnął dzwonek, z głębi mieszkania dobiegło wyraźne brzęczenie i po chwili usłyszał kroki. Ale nic więcej się nie wydarzyło. Bzzz - spróbował jeszcze raz. Wciąż żadnej reakcji, a przecież był przekonany, że ktoś tam jest. Zirytowany przycisnął dzwonek po raz trzeci, długo nie odrywając palca. Bardzo niegrzecznie, pomyślał, i znów zadzwonił.

Wreszcie zachrząścił łańcuch i drzwi uchyliły się na dziesięć centymetrów. Stała w nich drobna, mierząca najwyżej metr pięćdziesiąt pięć kobieta w staroświeckim tanim ubraniu, prawdopodobnie całkowicie z tworzyw sztucznych. Materiał leciutko połyskiwał w świetle wpadającym nie wiadomo skąd. Kobieta sprawiała wrażenie przerażonej.

- Ty policja?

- Nie, nie jestem z policji - odparł, próbując się uśmiechnąć dobrodusznie i zachęcająco.

- Ty nie policja, ty nie wchodzić - oświadczyła kobieta, postanawiając zamknąć drzwi.

Håverstad błyskawicznie wsunął stopę w szparę, by to uniemożliwić, ale zaraz tego pożałował, widząc lęk w oczach kobiety.

- Spokojnie - ratował sytuację zrozpaczony. - Proszę się uspokoić, chciałem tylko chwilę porozmawiać. Jestem ojcem Kristine Håverstad, tej z pierwszego piętra. Tuż nad panią, *second floor* - dodał po angielsku w nadziei, że kobieta lepiej go zrozumie, ale nagle uświadomił sobie, że mógł jeszcze pogorszyć sprawę. - To znaczy *first floor. My daughter. She lives upstairs*. Moja córka. Mieszka nad panią.

Może mu uwierzyła, a może dotarło do niej, że to mało prawdopodobne, aby ktoś przychodził napastować ją o wpół do dziesiątej rano. W każdym razie zdjęła łańcuch i ostrożnie otworzyła drzwi. Spojrzał na nią pytająco i wtedy gestem zaprosiła go do środka.

Mieszkanie było urządzone w wyjątkowo spartańskim stylu. Rozkład miało taki jak jego córki, lecz wydawało się mniejsze, paradoksalnie pewnie za sprawą braku mebli. Pod ścianą w

salonie stała kanapa - która służyła najwyraźniej również jako łóżko, bo kiedy zerknął do sypialni, stwierdził, że jest kompletnie pusta z wyjątkiem dwóch stojących w rogu walizek - a przy niej nie było ani ławy, ani foteli. Zauważył jednak nie-duży stół i krzesło ze szczebelkowym oparciem, a naprzeciwko kanapy stał stolik ze starym telewizorem, chyba jeszcze czarnobiałym. Podłoga była goła, podobnie jak ściany. Wisiało na nich tylko jedno duże, nieoprawione w ramy zdjęcie przystojnego mężczyzny z orlim nosem w przesadnie bogato ozdobionym mundurze. Natychmiast rozpoznał ostatniego szacha perskiego.

- Jest pani z Iranu? - spytał, uszczęśliwiony, że znalazł punkt zaczepienia do rozmowy.

- Iran! Tak! - Drobną kobietą lekko się uśmiechnęła. - Ja z Iran, tak.

- Mówi pani po norwesku czy woli rozmawiać po angielsku? - ciągnął, zastanawiając się, czy mógłby usiąść. Zdecydował jednak, że będzie stał. Gdyby usiadł, ona musiałaby stać albo zająć miejsce obok niego na kanapie, a to z pewnością nie byłaby dla niej komfortowa sytuacja.

- Ja rozumieć dobrze norweski - odpowiedziała. - Mówić może źle.

- Moim zdaniem świetnie sobie pani radzi - dodał jej otuchy. Stanie mimo wszystko zaczęło go męczyć, więc zmienił decyzję. Sięgnął po krzesło, przyciągnął je do kanapy i spytał, czy może z niego skorzystać.

- Siadać, siadać. - Kobieta wyraźnie zaczęła się uspokajać. Sama też przycupnęła na brzeжку kanapy.

- Tak jak mówiłem... - chrząknął - jestem ojcem Kristine. Kristine Håverstad. Tej dziewczyny, która mieszka piętro wyżej. Może pani słyszała, co się wydarzyło w sobotę. - Trudno było o tym mówić. Nawet obcej drobnej kobiecie z Iranu, której nigdy wcześniej nie widział i prawdopodobnie miał już nigdy nie spotkać. Chrząknął jeszcze raz. - Badam sprawę na własną rękę, tak dla siebie. Policja pewnie już z panią rozma-

wiała?

Kobieta kiwnęła głową.

- Była pani w domu, kiedy to się stało?

Nawet nie próbowała ukryć wahania. Nie bardzo mógł pojąć, dlaczego postanowiła mu zaufać, może nawet sama nie bardzo to rozumiała.

- Nie, ja tu nie być ten wieczór. Ja w Dania w weekend. Ostatni weekend. U przyjaciele. Ale ja nie mówić pani policja. Ja mówiła ja spać.

- Aha. Pani ma przyjaciół w Danii.

- Nie. Nie przyjaciół w Danii. Nie przyjaciół w Norwegii. Ale przyjaciół w Niemcy. Oni mnie spotkać Kopenhaga. Nie widzieć długo, długo, długo. Ja wrócić w niedzielę późno.

Kobieta właściwie nie była ładna, ale miała wyrazistą ciepłą twarz i o wiele jaśniejszą cerę niż Irańczycy, z jakimi do tej pory miał do czynienia. Brakowało jej większości cech kojarzonych przez Håverstada z tą częścią świata, z której pochodziła. Była na swój sposób ciemna, ale nie miała granatowoczarnych ani nawet ciemnobrązowych włosów. Jego żona taki kolor nazywała odcieniem gminnym, ale włosy Iranki były błyszczące i gęste. Miała też niebieskie oczy!

Z niewielką pomocą gestów i angielskich słów opowiedziała mu swoją smutną historię. Ubiegała się o azyl i już od trzynastu ciągnących się w nieskończoność miesięcy biurokratycznej opieszałości czekała na rozpatrzenie wniosku o schronienie w Królestwie Norwegii. Rodzina, a raczej niewielka jej część, jaka jeszcze została, rozjechała się w różne strony. Matka zmarła naturalną śmiercią przed trzema laty, ojciec dużo wcześniej

uciekł do Norwegii. Za panowania szacha był w Iranie adwokatem, rodzinie dobrze się powodziło, lecz po upadku reżimu stało się to obciążeniem. Dwóch braci zginęło w więzieniach ajatollaha, ona z siostrą jakoś sobie radziły, dopóki półtora roku temu nie aresztowano ich kolegi, który nie wytrzymał trzeciej doby przesłuchania i zdradził. Dzień później zginął, a

pod drzwiami sióstr znów pojawili się żołnierze. Ją jednak w porę uprzedzono i dzięki pomocy ludzi myślących tak jak ona, ale umiających się lepiej ukrywać, zdołała przedostać się przez granicę do Turcji, a stamtąd samolotem przyleciała do Norwegii, wierząc, że zamieszka tu razem z ojcem. Ale na lotnisku policja powiedziała jej, że ojciec trzy dni wcześniej zmarł na zawał serca. Gdy tylko umieszczono ją w ośrodku dla azylantów w Tanum w gminie Bærum, przydzielono jej adwokata i prędko się dowiedziała, że jest legalną spadkobierczynią skromnego majątku ojca. Składało się na niego spłacone mieszkanie, pięć przepięknych perskich dywanów, trochę mebli i czterdzieści tysięcy koron na koncie. Dywany i meble sprzedała. Dostała za nie ponad sto tysięcy koron, które wysiała do Iranu w nadziei, że może przydadzą się siostrze. Ale odpowiedź stamtąd nie przyszła. Właściwie wcale się jej nie spodziewała, mogła jedynie mieć nadzieję. Czterdzieści tysięcy koron na koncie zostawiła sobie na przeżycie. Dzięki nim nie ciążyła tak bardzo norweskiemu społeczeństwu.

- Ja szczęśliwa. Nie musieć mieszkać w Tanum. Mieszkać tutaj. To dla mnie bardziej dobrze.

Wyjazd do Danii był nielegalny, bo jako osoba starająca się o azyl nie otrzymała jeszcze paszportu, nie miała więc prawa opuszczać kraju. Dzięki swojej nietypowej urodzie mogła jednak przynajmniej wobec celników udawać Skandynawkę.

Udało się, ale oznaczało to również, że nie mogła mu udzielić żadnych informacji, po które przecież przyszedł.

Wstał.

- No cóż, bardzo dziękuję za rozmowę. Powodzenia. - W drzwiach zatrzymał się i wyciągnął do niej rękę. - Mam nadzieję, że policja nie będzie pani robić kłopotów. - Nie był pewien, ale wydało mu się, że przez jej twarz przemknął cień niepewności. - Chodzi mi o to, że pozwolą pani zostać w Norwegii - wyjaśnił.

- Ja też nadzieja.

Szedł już na górę, kiedy drzwi się zamknęły. Chrząst zakładanego z powrotem łańcucha towarzyszył mu w drodze na piętro. Na podeście zatrzymał się przez moment z dziwnym wrażeniem, że coś mu umknęło. Kilka sekund później otrząsnął się z niego i zadzwonił do następnych drzwi.

\*\*\*

Minęły cztery dni od tamtego strasznego gwałtu w dzielnicy Homansbyen, a sierżant policji Hanne Wilhelmsen nawet o krok nie zbliżyła się do rozwiązania. Raczej przeciwnie. Miała przerażająco mało do napisania w raporcie na temat tej sprawy. Jej frustracja zaczęła przybierać niezwykle rozmiary.

Ale co miała robić? Większą część wczorajszego dnia musiała poświęcić na przesłuchanie świadków w dwóch śledztwach dotyczących użycia przemocy. Oba były już przejrzałe i pisma ponaglające od wściekłych adwokatów krzyczały do niej z samego wierzchu stosu dokumentów. W jednej sprawie, tej poważniejszej, z użyciem noża, pozostawało jeszcze co najmniej pięć przesłuchań, ale szczęście okazało się tu mieć większe znaczenie niż rozum, bo ostrze zaledwie o milimetry minęło tętnicę w udzie pokrzywdzonego. Zastanawiała się jednak, kiedy znajdzie czas na tych pięć spotkań.

Sprawa molestowania dziecka wisiała nad nią jak od dawna zaległy rachunek na znaczną kwotę. Ostatniej nocy obudziły ją złe sny i wyrzuty sumienia. Będzie musiała doprowadzić do kolejnego przesłuchania przed sądem wcześniej, niż pierwotnie planowała. Zajmie jej to cały dzień. Najpierw wizyta w domu u dziecka i runda zapoznawcza, później oranzada w kantynie i przejażdżka radiowozem, żeby dzieciak przyzwyczał się do policji. A przecież nie miała całego dnia, nie miała nawet jego połowy.

Widok leżących przed nią akt przyprawiał ją o mdłości. Gdyby mieszkańcy Oslo bodaj podejrzewali, jak policja ciężko dyszy, próbując poradzić sobie z tą falą przestępczości, i ledwo utrzymuje głowę nad wodą, natychmiast podniósłby się



wrzask, którego efektem byłoby przyznanie stu milionów dotacji i pięćdziesiąt nowych etatów. To naprawdę odpowiedni moment na jakiś wielki skok, doszła do wniosku Hanne Wilhelmsen. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans na to, że rabusie nie zostaną złapani.

Nie powinna była w ogóle o tym myśleć. Za chwilę bowiem rozległ się alarm oznaczający napad na bank. Włączono ogólny interkom i do obecnych w budynku funkcjonariuszy dotarł monotony głos szefa wydziału. Obrabowano Sparebanken Nor w dzielnicy Sagene. Wszyscy mieli natychmiast stawić się w sali konferencyjnej. Hanne błyskawicznie ściągnęła z wieszaka kask i skórzaną kurtkę.

Mało brakowało, a by jej się udało. Zaledwie półtora metra od oznaczających swobodę drzwi na schody dla personelu poczuła, że ktoś łapie ją za kołnierz. Szef wydziału śmiał się serdecznie, gdy odwracała się zawstydzona.

- Nie próbuj oszukać starego lisa - powiedział. - Chodź do konferencyjnej.

- Ale ja naprawdę muszę wyjść - próbowała. - Poza tym mam tyle roboty, że w niczym nie pomogę. Naprawdę. Nic więcej nie mogę już wziąć.

Prawdopodobnie coś w jej głosie, a może pozycja najlepszej śledczej w wydziale czy po prostu niezwykle zmęczenie malujące się na jej twarzy - podkrążone oczy, ostrość profilu, która nie dodawała jej urody - wszystko jedno co, ale coś sprawiło, że szef wydziału na moment znieruchomiał z wyraźnym wahaniem.

- No dobrze - odezwał się w końcu. - Zmykaj. Tylko niech ci to nie wejdzie w zwyczaj.

Hanne z wielką ulgą pobiegła w stronę drzwi. Nie bardzo wiedziała, co będzie robić, czuła tylko, że musi wyjść.

\*\*\*

Była to czynność równie dobra jak inne. Nigdy za wiele wizyt w miejscu zdarzenia, a przynajmniej będzie miała wrażenie, że robi coś konkretnego.

O mały włos nie zderzyli się w drzwiach. Ona właśnie wyjmowała klucze z kieszeni kurtki, a on wyskoczył z korytarza. Hanne Wilhelmsen musiała się cofnąć, bo inaczej by ją przewrócił. Potężny mężczyzna znieruchomiał, w końcu zaczął przeproszać, gdy ją poznał.

Dentysta był już za stary, żeby się zaczerwienić, poza tym nieogolona skóra raczej nie przepuściłaby rumieńca, ale Hanne zauważyła, że uciekał wzrokiem, kiedy gęsto się tłumaczył, że

przyszedł do mieszkania córki coś stąd zabrać, a potem nagle uświadomił sobie, że niczego nie ma w rękach.

- Niestety, nie znalazłem - dodał. - Córce musiało się coś pomylić.

Sierżant Wilhelmsen nie skomentowała tego. Kłopotliwa chwila milczenia działała na jej korzyść, on o tym wiedział, więc chrząknął, spojrzął na zegarek i dodał, że spieszy się na ważne spotkanie.

- Mógłby pan przyjść jutro rano o ósmej na krótkie przesłuchanie? - spytała, nie ustępując mu z drogi.

Zastanowił się przez chwilę.

- Jutro rano? To będzie raczej trudne. Ostatnio mam sporo roboty.

- To dość ważne. Widzimy się o ósmej, dobrze?

Wyraźnie się zaniepokoił.

- No dobrze, o ósmej, może kilka minut po.

- W porządku - uśmiechnęła się. - Kilka minut w jedną czy drugą nie ma aż tak dużego znaczenia.

W końcu go przepuściła, ale obserwowała, jak wsiadał do samochodu stojącego nieco dalej. Potem poszła do starego przyjaciela na piętrze, gdzie znów spotkało ją wylewne przyjęcie i usłyszała spodziewane potwierdzenie, że ojciec tej biednej dziewczyny to bardzo miły człowiek. Właśnie zajrzał do niego na chwilę, miło było z nim porozmawiać.

Hanne Wilhelmsen nie słuchała staruszka zbyt uważnie. Niecały kwadrans później, wypiwszy pół filiżanki kawy, wyszła

z głęboką zmarszczką na czole, usiadła na harleyu, ale nie włączyła silnika. Z jakiegoś powodu spotkanie z ojcem zgwałconej dziewczyny zrodziło w niej wrażenie, że uczestniczy w wyścigu. W wyścigu, który ani trochę jej się nie podobał.

\*\*\*

Źle się stało, że go przyłapała. Żałował, że nie przygotował się na takie spotkanie. Przecież niebezpieczeństwo natknięcia się na policję było oczywiste, a on w ogóle nie wziął tego pod uwagę. Zapłaci za to jutro nieprzyjemnym przesłuchaniem. No cóż, jakoś musi z tego wybrnąć.

Po południu wrócił do kamienicy porozmawiać z resztą sąsiadów. Nie poznał tylko mężczyzny z czwartego i młodej kobiety z trzeciego piętra. Ale to i tak nie miało żadnego znaczenia, bo sąsiedzi powiedzieli mu, że ten z czwartego od dwóch miesięcy siedzi za granicą, a dziewczyna cały ostatni weekend spędziła u rodziców. Tylko staruszek przekazał mu coś konkretnego. Powiedział mu o czerwonym samochodzie. O jaskrawoczerwonym obcym samochodzie, który parkował trzydzieści metrów dalej na ulicy od dwudziestej trzeciej w sobotni wieczór do wczesnego ranka w niedzielę.

Czy policja wiedziała o tym aucie? Czy miało znaczenie? Przecież samochód mógł należeć do kogokolwiek.

Wiele przemawiało przeciwko temu, by gwałciciel zostawiał auto tak blisko miejsca przestępstwa. Ale dentysta nie wrzucał gwałcicieli do tej samej szuflady co innych złoczyńców. Wydawali mu się zaślinionymi, niższymi istotami o upośledzonej inteligencji, chociaż wiedział, że tak nie jest. Musiał więc swoje przekonania nieco utemperować, kiedy zaczął ścigać jednego z nich. Nie mógł jednak... nie mógł odrzucić możliwości, że ten człowiek okaże się właścicielem czerwonego samochodu.

W każdym razie był to jedyny ślad, jaki miał. Czerwony samochód. Osobowy. Nieznana marka, nieznany numer rejestracyjny. Westchnął z rezygnacją i zabrał się do szykowania obiadu dla siebie i swojej milczącej córki.

\*\*\*

Była prawie dziesiąta wieczorem, a one leżały na podłodze. Przed chwilą się kochały. Pod sobą miały dwie kołdry, na sobie ciepły powiew wpadający przez odważnie uchylone drzwi balkonowe. Zasłony były dokładnie zaciągnięte, a one starały się zachowywać jak najciszej. Właściciele innych mieszkań również szukali chłodu na zewnątrz i przez ich otwarte drzwi niesły się dalekie dźwięki: para piętro niżej się kłóciła, sąsiad przez ścianę za głośno nastawił telewizor. Hanne i Cecilie nie ruszały się z miejsca od wieczornych wiadomości.

- Dlaczego my właściwie tu leżymy? - zaśmiała się Hanne. - Trochę twardo. Kość ogonowa mnie boli.

- Maruda. Zobacz, ja obtarłam kolano. - Cecilie ugięła nogę i przysunęła kolano do twarzy.

Rzeczywiście, skórę miała zaczerwienioną. Że też nigdy się nie nauczą. Miłosne igraszki na dywanie zawsze prowadziły do obtarcia kolan albo łokci, gdy tylko wysunęły się poza kołdrę.

- Biedactwo. - Hanne pocałowała obolałe miejsce. - Ale dlaczego my ciągle tu leżymy?

- Bo tak jest bardzo przyjemnie - oświadczyła jej partnerka i wstała.

- Idziesz gdzieś?

- Nie, ale wezmę jedną kołdrę, bo zmarzłam.

Złapała tę na górze i pociągnęła, w wyniku czego Hanne przekręciła się na brzuch. Cecilie pocałowała ją tam, gdzie plecy zaczynały się dzielić.

- Biedna kość ogonowa - powiedziała, ułożyła się przy Hanne i obie nakryła kołdrą.

Hanne obróciła się na bok i palcem lekko dotknęła piersi partnerki.

- Co byś zrobiła, gdyby ktoś mnie zgwałcił? - spytała nagle.

- Ciebie? Dlaczego ktoś miałby cię zgwałcić? Nie jesteś taka głupia, żebyś się dała.

- Przestań! Gwałt nie ma żadnego związku z głupotą!

- Nie? To dlaczego żadnej z naszych przyjaciółek to nie spotkało? Dlaczego gazety ciągle piszą o dziewczynach zgwałco-

nych w najbardziej podejrzanych miejscach w mieście o najdziwniejszych porach dnia i nocy? Trzeba uważać, to nic złego się nie stanie.

Hanne Wilhelmsen nie była w nastroju do kłótni, chociaż partnerka mocno ją zirytowała. Nachyliła się więc tylko i językiem zaczęła pieścić piersi Cecilie. Zaraz jednak przerwała.

- Mówię poważnie. Co byś zrobiła? Co byś czuła?

Cecilie wolno uniosła głowę i odwróciła ją w stronę Hanne. Zielona poświata z panelu olbrzymiej wieży stereo rzuciła na jej twarz niezemski blask.

- Wyglądasz teraz jak najpiękniejszy duch na świecie - roześmiała się Hanne. - Zdecydowanie najpiękniejszy duch na świecie. - Sięgnęła po kosmyk jasnych włosów i nawinęła go sobie na palec. - Tak cię proszę, nie możesz mi powiedzieć, co byś zrobiła?

Cecilie wreszcie zrozumiała, że Hanne pyta serio. Lekko się wyprostowała, jakby to miało jej pomóc w myśleniu. Potem powiedziała głośno i wyraźnie, z całkowitą powagą:

- Zabiłabym tego faceta. - A po dziesięciu sekundach zastanowienia dodała: - Tak, właśnie tak. Po prostu bym go zabiła.

Akurat to Hanne chciała usłyszeć. Uniosła się i z czułością pocałowała Cecilie.

- Prawidłowa odpowiedź - powiedziała z uśmiechem. - A teraz śpimy.

### **Piątek, 4 czerwca**

Dentysta Finn Håverstad rzadko zapuszczał się we wschodnie rejony miasta. Jego gabinet mieścił się w zachodniej, bogatej dzielnicy Frogner, w olbrzymiej starej i niezwykle kosztownej w utrzymaniu willi. Nikogo nie było stać na to, by w niej mieszkać. Na parterze mieściła się więc pracownia architektów, jedna z bardzo niewielu, którym udało się przeżyć długi kryzys w branży. Na piętrze zaś, w jasnych przyjemnych

pomieszczeniach, otoczeni ze wszystkich stron przez słońce i świeże powietrze, mieli gabinety trzech dentyści.

Jego dom położony był w dzielnicy Volvat, blisko centrum, a jednocześnie prawie na wsi, na działce liczącej ponad piętnaście arów. Wprawdzie praktyka w ostatnich kilkunastu latach przynosiła naprawdę spore dochody, jednak kupno domu w 1978 roku umożliwiła mu przede wszystkim spora zaliczka na spadek. Córka kochała to miejsce, on natomiast miał do pracy spacerkiem dwadzieścia minut, z czego jednak nigdy nie korzystał.

Przeciwna strona miasta pachniała inaczej. Nie było tu w zasadzie brudniej ani bardziej prymitywnie, ale... coś się czuło. Spaliny były gęściejsze i zapach miasta bardziej intensywny, trochę jakby stolica zapomniała użyć dezodorantu. Poza tym było znacznie głośniejsze. Håverstad nie czuł się tu dobrze.

Jakie to typowo norweskie stawiać budynek policji w najsmutniejszej dzielnicy miasta, pomyślał. Państwu pewnie udało się kupić działkę za psie pieniądze. Z miejscami parkingowymi też było marnie. Ostrożnie wjechał swoim bmw w rozdziawioną paszczę podziemnego garażu u stóp długiego wzgórza ciągnącego się do budynku. Musiał poczekać dziesięć minut, aż coś się zwolni. Jakiś młody człowiek agresywnie ruszył starym amazonem i na zakręcie przy wyjeździe otarł się o mur. Podrapany żółto-czarny pas na ścianie świadczył o tym, że chłopakowi nie pierwszemu się to zdarzyło. Dentysta zanotował sobie w myślach tę pułapkę, a potem zajął wolne miejsce i niechętnie opuścił samochód, chociaż wiedział, że jest już kwadrans po ósmej.

Kiedy dotarł na górę, jego spóźnienie wzrosło do osiemnastu minut, ale Hanne Wilhelmsen nie skomentowała tego ani słowem. W ogóle sprawiała wrażenie osoby pogodnej i wychodzącej naprzeciw, po prostu bardzo milej. Håverstada ogarnęła niepewność.

- Nie zajmę panu dużo czasu - zaczęła uspokajająco. - Napije się pan kawy? A może herbaty?

Przyniosła kawę dla nich obojga i upewniwszy się najpierw, że nie będzie mu to przeszkadzać, zapaliła papierosa.

Przerazająco długo siedziała bez słowa, wydmuchując dym i obserwując go sennym wzrokiem. Dentysta niespokojnie poruszył się na krześle, trochę też dlatego, że było mu bardzo niewygodnie. W końcu nie mógł dłużej wytrzymać tej ciszy.

- Chciała pani ode mnie coś szczególnego? - spytał i zdumiał się, jak słabo zabrzmiał jego głos.

Policjantka nagle na niego spojrzała, jakby dopiero teraz zorientowała się, że tu siedzi.

- Tak, tak - powiedziała prawie wesoło. - Rzeczywiście chcę od pana coś szczególnego. Najpierw... - Zgasiła papierosa, popatrzyła na niego z pytającą miną i prawdopodobnie uzyskała odpowiedź, której oczekiwała, bo gdy dobrodusznie machnęła ręką, natychmiast zapaliła kolejnego. - Powinnam rzucić - stwierdziła poufale. - Mój szef pali tak od trzydziestu lat. Powinien pan usłyszeć, jak kaszle. Pst! - Znieruchomiała z przekrzywioną głową. Gdzieś z korytarza dobiegi chrapliwy kaszel. - Sam pan słyszy! - oświadczyła triumfalnie. - Papierosy są śmiertelnie niebezpieczne! - Z dezaprobatą popatrzyła na opróżnioną już w połowie paczkę i znów się zadumała. - Ale tu chodzi o nas - oświadczyła nagle tak głośno, że Håverstad drgnął przestraszony.

Zorientował się, że zaczyna się pocić, i jak najdyskretniej przeciągnął palcem nad górną wargą.

- Najpierw formalności - powiedziała policjantka obojętnie i zaczęła wystukiwać po kolei nazwisko, adres i numer osobisty, które jej podawał. - Teraz muszę pana pouczyć o rzeczy następującej. Policji trzeba mówić prawdę, składanie fałszywych zeznań jest karalne. Jest pan bowiem świadkiem... - uśmiechnęła się i znów na niego spojrzała - a nie podejrzanym w sprawie karnej. Podejrzani mogą kłamać, jak im się żywnie podoba, albo przynajmniej prawie. niesprawiedliwe, nie uważa pan?

Poruszył wielką głową w górę i w dół. Akurat w tej chwili go-

tów był się zgodzić z tą kobietą we wszystkim. Była bardziej przebiegła, niż sądził. Kiedy w zeszły poniedziałek zobaczył ją po raz pierwszy, mimochodem zauważył, że jest pociągająca, dość wysoka i szczupła, ale miała zaokrąglone biodra i pełne piersi. Teraz bardziej kojarzyła mu się z amazonką. Znów przesunął palcem pod nosem, ale to w niczym nie pomogło. Wyciągnął z kieszeni wyprasowaną chusteczkę i wytarł nią obie skronie.

- Za gorąco tu dla pana? Przepraszam. Ten budynek kompletnie nie nadaje się do takich temperatur, z jakimi ostatnio mamy do czynienia.

Nie ruszyła się jednak, żeby uchylić okno.

- A tak w ogóle - powiedziała tylko - to nie ma pan obowiązku zeznawać. Może pan odmówić. Ale tego chyba pan nie zrobi? Pokręcił głową tak mocno, że wydawało mu się, iż kropelki potu rozpryskują się na wszystkie strony.

- To dobrze - stwierdziła. - Wobec tego zaczynamy.

Przez pół godziny zadawała całkowicie niewinne pytania.

O której przyszedł do mieszkania córki w niedzielę? Gdzie dokładnie siedziała wtedy Kristine? Czy była ubrana? Czy usunął stamtąd jakieś przedmioty? Nie zauważył czegoś niezwykłego oprócz stanu córki, jakichś odgłosów, zapachów? Jak się teraz czuje córka? Jak reagowała przez minione dni? Jak on sam radzi sobie z tą sytuacją?

Chociaż mówienie o córce sprawiało mu ogromny ból, nieco mu ulżyło. Rozluźnił ramiona, a pokój przestał wydawać mu się taki duszny. Wypił nawet trochę kawy, kiedy policjantka zrobiła przerwę w przesłuchaniu, żeby zapisać dotychczasowe odpowiedzi na antycznej maszynie z głowicą kulową.

- Niezbyt nowoczesna - skomentował ostrożnie.

Hanne Wilhelmsen, nie patrząc na niego, odparła, że czeka w kolejce na komputer. Ma go dostać w przyszłym tygodniu, no, może w przyszłym miesiącu. Po dwudziestu minutach skończyła i zapaliła kolejnego papierosa.

- Co pan wczoraj robił u sąsiadów Kristine?



Niepojęte, że pytanie może aż tak zaskoczyć. Przecież wiedział, że musi paść. Błyskawicznie rozważył konsekwencje skłamania. Pięćdziesiąt lat przeżytych po praworządnej stronie społeczeństwa zwyciężyło.

- Chciałem to i owo zbadać na własną rękę - przyznał.

Już. Już to powiedział. Nie skłamał. Poczuł się lepiej. Widział, że policjantka zrozumiała, że rozważał inną odpowiedź.

- Chce się pan bawić w prywatnego detektywa? - spytała.

To nie była złośliwość. Hanne Wilhelmsen w jednej chwili się zmieniła, twarz jej zmiękła, złagodniała. Obróciła krzesło w jego stronę i przez dłuższą chwilę utrzymywała z nim kontakt wzrokowy, pierwszy raz, odkąd tu przyszedł.

- Niech pan posłucha, Håverstad. Oczywiście nie wiem, jak pan się czuje, ale potrafię to sobie wyobrazić, przynajmniej mniej więcej. Prowadziłam już czterdzieści dwie takie sprawy. Do czegoś takiego nie można się przyzwyczaić. Każda z tych spraw jest inna. Z wyjątkiem jednego szczegółu: wszystkie są równie straszne. I dla ofiar, i dla ich najbliższych. Miałam okazję nieraz to widzieć. - Wstała teraz i otworzyła okno.

W szparze ustawiła brzydką popielniczkę z brązowego szkła, blokując je przed zamknięciem. - Często... proszę mi wierzyć, naprawdę często się zastanawiałam, jak bym zareagowała, gdyby to moja... - ugryzła się w język. - Gdyby którąś z najbliższych mi osób zaatakowano w ten sposób. Oczywiście nie wyszłam poza spekulacje, bo jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że nigdy tego nie doświadczyłam - zwinęła szczupłą dłoń w pięść i uderzyła w biurko - ale wydaje mi się, że myślałabym o zemście. Najpierw na pewno skupiłabym się na trosce. Dużą część rozpaczki można zamienić na troskę i wsparcie dla skrzywdzonej. I nie musi mi pan mówić, że nie może do niej dotrzeć. Ja to wiem. Z ofiarami gwałtu trudno się porozumieć, a wtedy łatwo zacząć myśleć o zemście. Zemsta... - Skrzyżowała ręce na piersi i zapatrzyła się w jakiś odległy punkt nad jego głową. - Wydaje mi się, że nie doceniamy jej potrzeby. Powinien pan posłuchać prawników! Jeśli ktoś

ośmieli się bodaj wspomnieć, że jedną z przyczyn karania przestępców jest zemsta, natychmiast zaczynają robić wykłady z historii prawa, które mają udowodnić, że z takim nastawieniem rozstaliśmy się już kilkaset lat temu. Tu, u nas, na północy, zemsty nie uważa się za dostatecznie szlachetną. Zemsta jest prostacka, upokarzająca, a przede wszystkim... - przygryzła wargę, szukając słowa - ...prymitywna. Uważamy ją za prymitywną! Moim zdaniem to wielki błąd. Potrzeba zemsty jest w nas zakorzeniona. Frustracji, jaka ogarnia ludzi, gdy się dowiadują, że gwałcień dostaje półtora roku więzienia, nie da się stłumić prawniczymi frazesami o działaniach prewencyjnych i względach resocjalizacyjnych. Ludzie pragną zemsty! Ktoś, kto zachował się okrutnie, sam ma zaznać cierpienia. Koniec, kropka.

Finn Håverstad domyślał się, do czego zmierza ta dziwna policjantka. Wciąż dręczyła go niepewność, lecz coś w jej zaangażowaniu, w oczach, gestach, ruchach całego ciała, którymi podkreślała najważniejsze elementy swojej przemowy, sprawiało, iż był przekonany, że ta kobieta nigdy by go nie skrzywdziła. Chciała go ostrzec przed tym, co zamierzał zrobić. Bo nie ulegało wątpliwości, że było to ostrzeżenie, lecz płynące z dobrego serca i ze współczucia.

- Ale wie pan, panie Håverstad, u nas to tak nie działa.

U nas ludzie nie szukają sprawców przestępstw na własną rękę i nie mszczą się po nocy przy wtórze sekretnej radości tłumu.

Takie rzeczy dzieją się na filmach. I może jeszcze w Ameryce.

Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je gwałtownie, nie czekając na odpowiedź. Pojawiła się niewiarygodna postać. Mężczyzna miał co najmniej dwa metry wzrostu, głowę ogoloną na łyso, ogromne zaniedbane wąsy i odwrócony krzyżyk w uchu.

- O, przepraszam! - zawołał na widok Håverstada, ale raczej niezbyt szczerze. Spojrzał na policjantkę. - Piątkowe piwo o czwartej. Idziesz?

- Jeśli będzie można zamówić bezalkoholowe, to tak.

- No to widzimy się o czwartej - oświadczył wielkolud i z

hukiem zamknął drzwi.

- To policjant - wyjaśniła Hanne przeprasząc. - Wywiadowca. Oni czasami dziwacznie wyglądają.

Atmosfera się zmieniła. Wykład dobiegi końca. Hanne Wilhelmsen położyła przed Håverstadem dwie zapisane kartki, żeby mógł je przeczytać. Poszło szybko. Nie było na nich nic o tym, o czym rozmawiali, a raczej o czym ona mówiła przez ostatnie pół godziny. Palcem wskazała, w którym miejscu na dole ma się podpisać. Podpisał.

- I jeszcze tutaj. - Stuknęła w margines na pierwszej stronie.

Najwyraźniej mógł już iść. Wstał, ale ona, widząc jego wyciągniętą na pożegnanie rękę, tylko zamachała.

- Odprowadzę pana.

Zamknęła pokój na klucz i pomaszerowała obok niego korytarzem z niebieskimi drzwiami i niebieską wykładziną. W obie strony biegali spieszący się dokądś ludzie. Przy schodach prowadzących do wyjścia oboje się zatrzymali. Teraz to ona wyciągnęła rękę.

- Proszę posłuchać mojej dobrej rady, panie Håverstad. Niech pan się nie wplątuje w coś, z czym nie będzie pan umiał sobie poradzić. Niech pan zrobi coś innego. Niech pan zabierze córkę na wakacje. W góry, na południe Europy, wszystko jedno gdzie. Ale naszą robotę niech pan zostawi nam. Tylko nam.

Mruknął kilka słów na pożegnanie i zaczął schodzić po stopniach. Hanne Wilhelmsen obserwowała go dopóty, dopóki nie zbliżył się do ciężkich metalowych drzwi, stanowiących barierę dla nieznośnej temperatury panującej na zewnątrz. Potem podeszła do okien wychodzących na zachód i wyjrzała przez nie akurat wtedy, gdy Håverstad znalazł się w polu widzenia. Szedł ciężko, kołysząc się jak starzec. Na chwilę przystanął, wyprostował się i zniknął na schodach prowadzących do podziemnego garażu.

Sierżant Wilhelmsen zrobiło się go strasznie żal. -

\*\*\*

Kristine Håverstad zwykle lubiła być w domu sama. Teraz nie

lubiła już niczego. Kiedy ojciec wstał, nie spała, ale została w łóżku do wpół do ósmej, dopóki nie usłyszała, jak zatrzasnęły się za nią drzwi. Później zużyła całą gorącą wodę. Najpierw przez dwadzieścia minut stała pod prysznicem i szorowała się do czerwoności i bólu, a potem wzięła długą gorącą kąpiel w pianie. Stało się to już wręcz rutyną, niemal porannym rytuałem. W końcu ubrana w stary dres i znoszone kaptcie z foczej skóry zaczęła przeglądać kolekcję płyt CD. Gdy dwa lata temu wyprowadzała się z domu, zabrała tylko najnowsze i te, które lubiła najbardziej. Pozostawiony u ojca stos był całkiem spory. Sięgnęła po stary album Aha *Hunting high and low - Szukając wszędzie*. Tytuł był trafny. Czuliła, że czegoś szuka, lecz nie miała pojęcia gdzie. Nie wiedziała nawet czego. W momencie, gdy otworzyła płytę, okładka wypadła jej z rąk na podłogę. Jeden zawias się obłamał. Zakląła cicho. Ze złością próbowała naprawić pudełko, chociaż wiedziała, że się nie da. W efekcie pękł drugi zawias. Wściekła rzuciła obydwoma częściami o podłogę i wybuchnęła płaczem. Przeklęci producenci płyt. Szlochała pół godziny.

Morten Harket się nie rozpadł. Lekko zgarbiony, ze sztywnym umięśnionym ramieniem patrzył gdzieś na prawo od niej czarno-białym nieprzeniknionym spojrzeniem. Kristine Håverstad już cztery lata studiowała medycynę. Znała anatomię. Z połamanego plastiku wyjęła nieduże zdjęcie piosenkarza. Tego mięśnia u zwykłych ludzi nie widać. Żeby tak się odznaczał, trzeba trenować, i to ostro. Obmacała własne szczupłe ramiona. Oczywiście też miała tricepsy, ale schowane. Inaczej niż u Mortena Harketa, któremu na spodniej stronie ramienia mięsień wyraźnie nabrzmiewał. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Tamten mężczyzna był wysportowany. Miał wyraźnie widoczne tricepsy. Usiłowała wrócić pamięcią do tego straszego wieczoru, ale nie mogła zrozumieć, kiedy zdążyła zauważyć ten szczegół. Może w ogóle go nie widziała. Była jednak na sto procent pewna. Gwałciciel miał wyrobione tricepsy.

To był fakt. Nie wiedziała tylko, co z nim zrobić.

Kiedy nagle dobiegły ją odgłosy z korytarza, drgnęła wystraszona, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku, na przestępstwie, które nie wiadomo na czym miało polegać. Adrenalina strzyknęła do krwi. Kristine błyskawicznie pozbierała kawałki przezroczystego plastiku i usiłowała upchnąć je w stosie innych płyt. W końcu znów się rozplakała.

Ostatnio wszystko ją przerażało. Dziś rano, kiedy próbowała coś zjeść, jakiś ptaszek stuknął w duże panoramiczne okno w salonie, a ona aż podskoczyła, mimo że знаła ten odgłos, bo małe stworzonka dość często wpadały na tę szybę. Na ogół wszystko kończyło się dobrze. Czasami musiały poleżeć pół godziny, nim wreszcie się podniosły, machnęły kilka razy na próbę skrzydłami i lekko się zataczając, znów wzbiły się w powietrze. Tym razem Kristine wyszła i wzięła ptaszka do ręki. Czuła bicie maleńkiego serduszka i ogarniała ją coraz większa rozpacz. Ptaszek w końcu zdechł, zapewne ze strachu. Zawstydzona zaczęła obwiniać się o jego śmierć.

Ojciec pochylił się nad nią i pomógł jej się podnieść. Zachwiała się, jakby nie była w stanie utrzymać prosto szczupłego ciała. Nie pamiętał, że jest taka szczupła. W piersi go ścisnęło, gdy złapał ją za chude nadgarstki, żeby się nie przewróciła. Ostrożnie podprowadził do kanapy. Bezwolna nie protestowała. Pozwoliła się usadzić wśród głębokich poduszek. Usiadł przy niej, ale zostawił między nimi odrobinę przestrzeni. Potem zmienił zdanie i zaczął się przysuwać, lecz znieruchomiał, gdy Kristine drgnęła. Z wahaniem ujął ją za rękę. Nie wyrwała jej-

Innego fizycznego kontaktu między nimi nie było i Kristine się z tego cieszyła. Nie mogła się pozbierać, chociaż tak bardzo chciała. A przynajmniej chciała coś powiedzieć.

- Tak mi przykro, tatusiu. Tak strasznie mi przykro.

Nie usłyszał, co mówiła. Słowa były ciche i niewyraźne, bo cały czas płakała, ale w końcu się odezwała. Przez moment nie był pewien, czy nie powinien jej odpowiedzieć. Może Kristine uzna

milczenie za oznakę bezradności? A może tak właśnie było lepiej? Może nie powinien mówić, tylko słuchać? Znalazł rozwiązanie pośrednie: chrząknął.

Najwyraźniej słusznie zrobił, bo zaczęła osuwać się w jego stronę, powoli, niemal z wahaniem, ale w końcu wtuliła twarz w jego szyję i tak już została. Finn Håverstad siedział jak słup soli, jedną ręką obejmując córkę, drugą ściskając jej dłoń. Było mu niewygodnie, ale nie poruszył się przez pół godziny. Właśnie wtedy zrozumiał, że decyzja, którą podjął niespełna tydzień temu, kiedy zobaczył zmaltretowaną córkę na podłodze, i w którą zwątpił podczas porannej wizyty w komendzie, była mimo wszystko słuszna.

\*\*\*

- Czy w tym steku bzdur da się w ogóle znaleźć coś rozsądnego?

Ponieważ zajmowali się tyłoma poważnymi sprawami, nikt nie miał monopolu na korzystanie z centrum dowodzenia. Pomieszczenie nie zasługiwało wprawdzie na tę nazwę, ale przynajmniej było wolne.

Erika Henriksena oblewał pot, a twarz miał czerwiejszą niż zwykle i przypominał chodzące światła drogowe. Chociaż akurat w tej chwili siedział. Na lekko nachylnym stole do pracy leżał przed nim gruby plik meldunków. Były to zgłoszenia od ludności w sprawie Kristine Håverstad. Popatrzył na Hanne Wilhelmsen.

- Sporo tu różnych dziwnych rzeczy - roześmiał się. - Posłuchaj tylko: „Rysunek bardzo przypomina sędziego Sądu Miejskiego Arnego Høgtveita. Z poważaniem, Ulf z Północy”.

Hanne Wilhelmsen uśmiechnęła się szeroko. Ulf z Północy był notorycznym kryminalistą, który więcej czasu spędzał za murami więzienia niż poza nimi, a sędzia Høgtveit najprawdopodobniej załatwił mu ostatni pobyt.

- Prawdę mówiąc, to wcale nie jest takie głupie. Rzeczywiście jest trochę podobny - stwierdziła, zmięła meldunek i wycelowała w kosz na śmieci. Trafiła.

- Albo ten - ciągnął Erik Henriksen. - „Sprawcą musi być mój syn. W dziewięćdziesiątym pierwszym opętały go złe duchy. Zamknął drzwi przed Bogiem”.

- To też wcale nie takie głupie - stwierdziła Hanne Wilhelmsen. - Sprawdziłeś to?

- Owszem. Facet jest pastorem w Drammen, a matka od dziewięćdziesiątego pierwszego przebywa w szpitalu psychiatrycznym w Lier.

Teraz Hanne śmiała się już głośno.

- Same takie masz? - Przebiegła wzrokiem zgłoszenia rozłożone na stole, na pierwszy rzut oka chaotycznie, lecz uporządkowane według pewnego systemu.

- To - Henriksen uderzył otwartą dłonią w ostatni stos z lewej strony - to same brednie.

Niestety ta kupka była najgrubsza.

- To - dłoń trafiła w nieco cieńszy plik - są donosy na adwokatów, sędziów, policjantów i urzędników. - A tutaj - palce przesunęły się w prawo - tu są wcześniejsi sprawcy przestępstw na tle seksualnym, tu zwykli nieznani nam mężczyźni, tu tacy, którzy są definitywnie za starzy, a tutaj - podniósł do góry cztery czy pięć kartek - są kobiety.

- Kobiety? - roześmiała się Hanne. - Naprawdę złożono donosy na kobiety?

- Tak. Wyrzucić?

- Spokojnie możesz to zrobić. Dla porządku zostaw ten plik prawno-policyjny i może ten z bzdurami. Ale nie trać na to czasu, przynajmniej na razie. Skup się na maniakach seksualnych i zwykłych nieznanomych. Jeśli oczywiście zgłaszający wydają się jako tako poważni. Ile ci zostanie? Erik szybko przeliczył.

- Dwudziestu siedmiu.

- Dwudziestu siedmiu, którzy na pewno tego nie zrobili - westchnęła Hanne. - Ale postaraj się ich wezwać. Jak najszybciej. Daj znać, jeśli coś cię szczególnie zainteresuje. Ten telefon działa?

Zdumiony Erik odparł, że chyba tak. Uniósł słuchawkę i na próbę przyłożył ją do ucha.

- Sygnał w każdym razie jest. Dlaczego miałby nie działać?

- Ze sprzętem tutaj stale coś się dzieje. Same śmieci, których nikt już nie chce.

Z kieszeni obcisłych dżinsów wyciągnęła karteczkę i wybrała numer w Oslo.

- Poproszę inżynier Bente Reistadvik - powiedziała, gdy ktoś niemal od razu odebrał. I niemal równie szybko przywołano do telefonu panią inżynier. - Wilhelmsen z wydziału A 2.11. Komenda Okręgowa Policji w Oslo. Mam u was kilka spraw. Najpierw... - jeszcze raz zerknęła na kartkę - numer 93-03541. Pokrzywdzona Kristine Håverstad. Prosililiśmy o zbadanie DNA, poza tym przesialiśmy kilka włókien, włosów i różne inne drobiazgi.

Przez chwilę panowała cisza, policjantka patrzyła gdzieś przed siebie, nie notując.

- Nie? Aha. To kiedy będziecie gotowi? Tak mniej więcej. Aż tak długo? - Westchnęła, obróciła się i oparła pośladkiem o blat. Po dziesięciu sekundach popatrzyła na rudowłosego policjanta z miną wyrażającą ogromne zdumienie. - Naprawdę?

Ach, tak. - Pauza. - Rozumiem. - Długa pauza.

Hanne znów się odwróciła, wyraźnie szukając czegoś, na czym mogłaby zrobić notatki. Kolega podsunął jej kartkę i długopis.

Hanne pociągnęła kabel telefoniczny za sobą wokół stołu

i usiadła po drugiej stronie zestawionych biurek.

- Bardzo interesujące. Kiedy będę mogła dostać to na piśmie? - Kolejna przerwa. - Świetnie. Bardzo dziękuję.

Słuchawka opadła na widełki. Hanne Wilhelmsen jeszcze przez półtorej minuty skrzętnie notowała. Potem przez chwilę wpatrywała się w swoje zapiski, wciąż bez słowa, w końcu wstała, zgięła kartkę dwa razy, schowała ją do tylnej kieszeni spodni

i wyszła, nie rzuciwszy nawet „cześć” na pożegnanie.



Erik Henriksen poczuł się zdradzony.

\*\*\*

Opaleniźna była równie sztuczna jak mięśnie. Ta pierwsza była efektem tak częstych wizyt w solarium, że pochłonięte podczas nich dawki promieni ultrafioletowych wystarczyłyby do wywołania raka w całej kompanii wojska. Nabitym mięśniom zaś w dużej mierze pomogły sztuczne preparaty, głównie sterydy anaboliczne.

Uwielbiał swój wygląd. Był mężczyzną. Zawsze chciał tak wyglądać, szczególnie w okresie dorastania, gdy kościsty, chudy i zezowaty codziennie mógł liczyć na lanie od innych chłopaków. Matka, której oddech pachniał alkoholem i pastylkami na gardło, nie potrafiła temu zapobiec. Już dawno zrezygnowała z pocieszania go, kiedy wracał do domu z podbitymi oczami, obtartymi kolanami i pękniętą wargą. Stawała tylko za zasłoną,

nie interweniując, kiedy łobuzy z sąsiedztwa rzucały wyzwanie i jej, i synowi, przenosząc bójki coraz bliżej bloku, w którym mieszkali. Wiedział o tym, bo kiedy początkowo słał błagalne wołania w stronę okna kuchni na piętrze, zawsze widział ruch zasłony, gdy się odsuwała. Nie wiedziała natomiast, że to bardziej ona niż jego wygląd prowokowała te bijatyki. Chłopcy z ulicy mieli porządne matki, pogodne biuściaste kobiety, chętne częstujące kanapkami i mlekiem. Część z nich pracowała, ale nie na pełen etat. Mieli też dokuczliwe młodsze rodzeństwo, a na dodatek ojców, którzy wprawdzie nie zawsze z nimi mieszkali, bo na początku lat siedemdziesiątych trend rozwodowy dotarł również do ich miasteczka, ale mimo wszystko tatusiowie się pojawiali - przyjeżdżali samochodami w sobotę przed południem, z podwiniętymi rękawami, szeroko uśmiechnięci, z wędkami w bagażniku. Tylko jego ojca nikt nie widział.

Jego matkę chłopcy nazywali Guri Gorzałą. Kiedy był mały, taki naprawdę mały, uważał, że ma takie śliczne imię: Guri. Odkąd dodano do niego Gorzałę, znienawidził je. Do dziś nie-

nawidził kobiet o tym imieniu. W ogóle z trudem tolerował kobiety.

Kiedy okres dojrzewania w końcu minął, dręczenie ustało. Miał siedemnaście lat i w ciągu półtora roku urósł o osiemnaście centymetrów. Pryszczki go oszczędziły, a barki rosły wszcz. Zeza skorygowano mu operacyjnie, chociaż musiał przez pół roku nosić znieawidzoną klapkę na oku, co nie przysporzyło mu powodzenia. Włosy miał jasne i matka mówiła, że jest przystojny. Za nic w świecie nie mógł jednak pojąć, jak to możliwe, że na przykład Aksel - lekko otyły kolega z klasy, który nosił okulary i był od niego o głowę niższy - ma dziewczynę, skoro na niego żadna nie chciała spojrzeć. Rówieśnicy przestali być tacy

źli. Po prostu go unikali i tylko od czasu rzucali jakieś drobne złościwości, zwłaszcza dziewczyny.

Kiedy zaczął chodzić do drugiej klasy liceum, Guri Gorzale kompletnie wszystko się pomieszało i trafiła do psychiatryka. Odwiedził ją tam raz, wkrótce po tym, jak ją przyjęto. Leżała wtedy w łóżku otoczona rurkami i tubami, kompletnie zamroczona. Nie wiedział, co ma zrobić, co powiedzieć. Siedział przy niej w milczeniu, słuchając wygadywanych przez nią bzdur, i nagle koldra lekko się z niej zsunęła. Koszulę nocną miała rozpiętą z przodu i jedna pierś, chudy pusty worek ze skóry z ciemną, prawie czarną brodawką, wyszczerzyła się do niego jak złe, patrzące z wyrzutem oko. Wyszedł. Od tamtej pory nie widział matki. Tamtego dnia zdecydował, kim będzie. Nigdy więcej nikt już mu nie dokuczy.

Teraz siedział zamyślony przed monitorem. Wybór okazał się trudny. Musiał trzymać się tych, których był całkowicie pewien. Tych, które nie miały nikogo. Za którymi nikt nie będzie tęsknił. Od czasu do czasu wstawał, podchodził do szafki z dokumentami, wyjmował teczki i jeszcze raz przyglądał się niedużym fotografiom paszportowym przyczepionym spinaczem do pierwszych stron. Te zdjęcia zawsze kłamały, wiedział o tym z gorzkiego doświadczenia, ale stanowiły

przynajmniej pewną wskazówkę.

W końcu poczuł zadowolenie i to rosnące napięcie, prawdziwego kopa, jak wtedy, gdy miał mierzyć mięśnie i wiedział, że może się spodziewać wyników o centymetr lepszych od poprzednich.

Pomysł był genialny. A najgenialniejsze było to, że wodził wszystkich za nos. Oszukiwał i dręczył. Wiedział, jak się czują ci idioci z Wydziału Kryminalnego. Pozielenieli od wymyślania, czym mogły być te sobotnie masakry. Tak, wiedział nawet, że nazywają to sobotnimi masakrami. Uśmiechnął się. Nie mieli nawet tyle rozumu, żeby pojąć, czym jest wątek, który im wyłożył. Sami idioci.

Cieszył się.

\*\*\*

- Powiedz mi, gdzie ty właściwie ostatnio się podziewasz? - spytała Hanne Wilhelmsen prokuratora Håkona Sanda, ciężko siadając na jego krześle dla gości.

Męczył się akurat z grudką snusu, która za bardzo już ciekła, i jego górna warga przybrała dziwaczny kształt, broniąc się przed z całą pewnością gorzkim smakiem.

- W ogóle cię nie widać.

- W sądzie - mruknął, usiłując językiem wepchnąć zmielony tytoń na miejsce. Musiał się jednak poddać. Włożył palec wskazujący pod wargę i wyjął całą porcję, po czym strząsnął snus nad koszem na śmieci, a palec wytarł o podnie.

- Świnia - mruknęła Hanne.

- Mam akurat cholernie dużo roboty - powiedział, udając, że nie słyszał komentarza. - Po pierwsze, jestem w sądzie prawie codziennie. Po drugie, stale mam dyżur prokuratorski, bo ludzie chorują jak na zawołanie, a sprawy się gromadzą. - Wskazał na jeden ze zwyczajnych stosów dokumentów w zielonych okładkach, które ostatnio zatruwały życie dosłownie wszystkim. - Nawet nie miałem czasu tego obejrzeć. Obejrzeć, rozumiesz?

Hanne Wilhelmsen nachyliła się i otworzyła teczkę, którą

przyniosła. Potem przysunęła sobie krzesło do biurka tak, by mogli zasiąść obok siebie jak para zaprzyjaźnionych pierwszoklasistów nad czytaną wspólnie książką.

- No to ja ci pokażę coś naprawdę ciekawego. Sobotnia masektra. Właśnie rozmawiałam z Instytutem Medycyny Sądowej. Jeszcze się ze wszystkim nie uporali, ale te próbki już i tak są interesujące. Spójrz tutaj!

Wyciągnęła teczkę z wklejonymi fotografiami, po dwie na każdej stronie. Łącznie było sześć zdjęć zrobionych pod różnym kątem, a na każdym przyklejono po dwie albo trzy białe strzałki. Sztywna okładka cały czas się zamykała, więc Hanne mocno ją przełamała. Pomogło.

- To jest z tej pierwszej. Z drewnutni na Tøyen. Poprosiłam o zbadanie trzech próbek pobranych w różnych miejscach.

Jaki to ma sens? - pomyślał Håkon Sand, ale się nie odezwał.

- Okazało się to bardzo sprytne. - Hanne czytała mu w myślach. - Bo tutaj... - wskazała na pierwsze zdjęcie, na którym były tylko dwie strzałki - tutaj jest ludzka krew. Krew kobiety. Poprosiłam o pełną analizę, ale to potrwa. Natomiast tu... - stuknęła w drugą strzałkę, przerzuciła stronę i na innym zdjęciu pokazała jedną strzałkę z trzech - tutaj jest co innego. Zwierzęca krew!

- Zwierzęca?

- Tak. Prawdopodobnie świńska, ale jeszcze nie wiem tego na pewno. Wkrótce będą wyniki.

Próbka zawierająca ludzką krew została pobrana mniej więcej na środku tej krwawej łaźni, zwierzęca była bardziej na obrzeżach.

Hanne złożyła teczkę, ale dalej siedziała obok Håkona i nic nie wskazywało na to, że zamierza się odsunąć. Nie odzywali się do siebie. Zauważyła jednak, że Håkon przyjemnie pachnie, wodą po goleniu, której zapachu nie rozpoznawała. Żadne nie miało pojęcia, co te wyniki mogłyby oznaczać.

- Gdyby cała krew pochodziła od zwierzęcia, wzmocniłoby to tylko naszą teorię o żartownisium - mruknęła Hanne po chwili,

bardziej do siebie niż do Håkona. - Ale skoro to nie tylko zwierzęca krew... - Spojrzała na zegarek i poderwała się.

- Muszę lecieć. Umówiłam się na piwo ze starymi kolegami z mojego roku. Miłego weekendu.

- Na pewno będzie miły - mruknął Håkon z rezygnacją. - W sobotę i niedzielę mam dyżur prokuratorski, niezły bal. Przy tej pogodzie... Już nie pamiętam, jakie to uczucie marznąć.

- No to miłego dyżuru - rzuciła Hanne i już jej nie było.

\*\*\*

Od czasu do czasu piątkowe piwo z dawnymi kolegami ze szkoły policyjnej, letnia impreza i przyjęcie gwiazdkowe. Takie kontakty towarzyskie Hanne utrzymywała poza godzinami pracy. Bardzo miłe, ale bardzo na dystans. Zaparkowała motocykl, zastanawiając się, czy powinna go tak zostawiać na środku Vaterland. Doszła jednak do wniosku, że harley musi sobie poradzić. Na wszelki wypadek przypięła go jeszcze dwoma łańcuchami do pobliskich metalowych słupków.

Potem zdjęła kask, wzburzyła lekko przyklepnięte włosy i ruszyła po schodach do podejrzanej knajpy położonej chyba w najdziwniejszym miejscu w całym mieście: dosłownie pod kładką dla pieszych.

Zbliżało się wpół do piątej i sądząc po poziomie hałasu, koledzy zapewne dzielnie walczyli już z drugim albo i trzecim piwem. Powitali ją oklaskami i ogłuszającym wybuchem radości.

Nie było tu żadnej innej dziewczyny. Prawdę mówiąc, oprócz siedmiu policjantów nie było tu w ogóle nikogo. Z zaplecza przybiegła zaraz drobna kelnerka o azjatyckich rysach.

- Piwo dla mojej dziewczyny! - krzyknął Billy T., potwór, który rano tak wystraszył Finna Håverstada.

- Nie, nie - powstrzymała kelnerkę Hanne i zamówiła bezalkoholowego munkholma.

Minutę później stanął przed nią clausthaler. Kelnerce w przeciwieństwie do Hanne było chyba wszystko jedno, ale Hanne nie protestowała.

- Co ostatnio porabiasz, kotku? - spytał Billy T., obejmując ją ramieniem.

- Powinieneś się pozbyć tych wąsów - oświadczyła, ciągnąc go za rude wąsiska wyhodowane w rekordowo krótkim czasie.

Odsunął głowę.

- Takie wspaniałe wąsy? - udawał obrażonego. - Szkoda, że nie widziałas reakcji moich chłopców, kiedy je zobaczyli pierwszy raz. Śmiertelnie się przestraszyli, ale teraz wszyscy chcą mieć takie.

Billy T. miał czterech synów. W co drugi piątek po południu objeżdżał miasto, zatrzymywał się w czterech punktach i zbierał swoich chłopaków, a w niedzielę wieczorem pokonywał tę samą trasę, rozwożąc śmiertelnie zmęczonych, ale szczęśliwych malców, i oddając ich pod opiekę rozsądniejszych matek.

- Posłuchaj, Billy T., ty, który wiesz wszystko - zaczęła Hanne, gdy urażony uwagą o wąsach puścił jej ramię.

- Cha, cha! - zaśmiał się. - O coś ci chodzi?

- O nic. Ale na pewno wiesz, gdzie można zdobyć krew. Dużo krwi.

Wszyscy gwałtownie umilkli z wyjątkiem jednego z mężczyzn, który akurat opowiadał jakąś niezłą anegdotę i słowa Hanne do niego nie dotarły. Kiedy zrozumiał, że słuchaczy bardziej zainteresowało pytanie koleżanki niż jego dowcip, sięgnął po szklankę z piwem.

- Krew? Ludzką krew? Co ci przyszło do głowy?

- Nie, zwierzęcą. Na przykład wieprzową. Jakąkolwiek, byle pochodziła od zwierzęcia. Oczywiście takiego, które żyje w Norwegii.

- Ależ, Hanne, to przecież oczywiste. W rzeźni!

Jakby sama na to nie wpadła.

- To oczywiście wiem - powiedziała cierpliwie. - Ale czy każdy może wejść do rzeźni i wziąć sobie to, co chce? Czy w rzeźni można kupić dużą ilość krwi?

- Pamiętam, że kiedy byłem mały, moja matka kupowała -

wtrącił najchudszy z policjantów. - Przynosiła ją do domu w puszcze i robiła krwawy pudding. Albo nawet naleśniki. Wstrętne. - Skrzywił się z obrzydzeniem na to wspomnienie.

- To wiem. - Hanne nie odpuszczała. - Niektórzy rzeźnicy wciąż oferują krew. Ale chyba dziwnie by wyglądało, gdyby ktoś przyszedł i poprosił o dziesięć litrów. Nie sądzicie?

- Pracujesz przy tych sobotnich masakrach? - spytał Billy T, z wyraźnym zainteresowaniem. - Wiecie już, że to zwierzęca krew?

- Przynajmniej część - odparła Hanne, nie wdając się w szczegóły.

- No to popytajcie u rzeźników z miasta, czy ktoś nie wykazywał większego zainteresowania krwią, prosząc o rabat za ilość. To zadanie do wykonania. Nawet dla was, leni z jedenastki.

Nie byli już sami, bo w podejrzanej speluncie pojawiły się dwie dwudziestokilkulatki, które usiadły w drugiej części lokalu. Nie mogło to oczywiście ujść uwagi siedmiu mężczyzn w kwiecie wieku. Dwóch od razu zaczęło okazywać wyraźne zainteresowanie i Hanne pomyślała, że na pewno akurat nie mają dziewczyny. Sama na nie zerknęła i serce zamarło jej w piersi. Lesbijki. Nie ulegało wątpliwości, choć nie miały w sobie nic charakterystycznego, zgodnego z szablonem. Jedna miała długie włosy i wyglądały razem zupełnie zwyczajnie, ale Hanne Wilhelmsen - podobnie jak każda lesbijka - miała wbudowany radar umożliwiający stwierdzenie takich rzeczy w ułamku sekundy. Kiedy nagle nachyliły się do siebie i lekko pocałowały, nie tylko ona zyskała pewność.

Była wściekła. Takie zachowanie prowokowało ją do szaleństwa, a jeszcze bardziej wkurzało ją to, że czuła się tak sprowokowana.

- Lesby - szepnął policjant, który początkowo sprawiał wrażenie najbardziej zainteresowanego dziewczynami.

Pozostali wybuchnęli śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Billy'ego T. Jasnowłosey potężny chłopak, którego Hanne w zasa-

dzie nigdy nie lubiła, już zaczął opowiadać odpowiedni na tę okazję świński dowcip, ale Billy T, mu przerwał:

- Przestań! - przykazał. - Nic nam do tego, co one robią, a poza tym - olbrzymim palcem stuknął w pierś kolegi - te twoje dowcipy są cholernie słabe. Posłuchajcie raczej tego.

Trzydzieści sekund później znów rzeli ze śmiechu. Na stoliku pojawiły się kolejne piwa, ale Hanne chodziło już tylko o to, by upłynęło odpowiednio dużo czasu od nieprzyjemnego incydentu z lesbijkami do jej wyjścia. Musiała wytrzymać jeszcze pół godziny. W końcu wstała, włożyła skórzaną kurtkę i z uśmiechem życzyła kolegom dalszego

miłego piątkowego wieczoru. Już wychodziła, gdy Billy T, złapał ją za ramię.

- Zaczekaj chwilę, kotku. Jeszcze buziak.

Niechętnie się nachyliła, a Billy T, znieruchomiał w pół ruchu i popatrzył jej w oczy z rzadką u niego powagą.

- Ja cię lubię, Hanne - powiedział cicho i mocno ją uściskał.

## **Sobota, 5 czerwca**

Przyroda kompletnie zwariowała. Ciężki zapach czeremchy wisiał w powietrzu, przywodząc na myśl środek lata, a róże w ogrodach były już w pełnym rozkwicie. Tulipany, zwykle o tej porze roku w najpełniejszej krasie, wulgarnie rozkładały płatki i już za dzień albo dwa miały umrzeć. Oszołomione owady głośno bzyczały, używając sobie do woli. Alergicy uczuleni na pyłki przeżywali straszny okres i nawet najbardziej entuzjastyczni miłośnicy lata ukradkiem zerkali w niebo, na rozpaloną do białości tarczę słońca, która jedynie nocą pozwalała sobie na parę godzin odpoczynku, by o piątej rano znów znaleźć się wysoko na niebie. Coś musiało się komuś pomylić.

- Na pewno nadciąga kometa - westchnęła Hanne Wilhelmsen, która raz w roku przypominała sobie książki Tove Jansson o Muminkach.



Siedziała na niewielkim balkonie z nogami na poręczy i przerzucała sobotnie gazety. Zbliżała się dwudziesta trzecia, ale na oglądanie telewizji w mieszkaniu było za gorąco.

- Maruda - powiedziała Cecilie, podsuwając jej szklanke campan z tonikiem. - W Grecji uważałybyś, że jest cudownie.

Ciesz się, że wyjątkowo i na północy może nam być tak przyjemnie.

- Nie, dziękuję. Głowa mnie trochę boli. Chyba przez ten upał. Cecilie jednak miała rację. W zasadzie wieczór był cudowny. Hanne nie przypominała sobie, by o tak późnej porze kiedykolwiek siedziała na balkonie w szortach i koszulce bez rękawów i uważała, że jest za gorąco. Nie w Norwegii. A już z całą pewnością nie na początku czerwca.

Na trawie pod balkonem dwie rodziny urządziły imprezę. Pięcioro dzieci, pies i dorośli grillowali, śpiewali piosenki i bawili się, jak to przed laty bywało, mimo że pora kładzenia spać najmłodszych dawno już minęła. Godzinę temu Cecilie zaczęła się zastanawiać, kiedy pani Weistrand z parteru zacznie się w końcu skarżyć. Już i tak kilka razy demonstracyjnie trzasnęła drzwiami balkonowymi, protestując przeciwko krzykom maluchów. Cecilie oczywiście miała rację. O jedenastej na parking wjechał oznakowany radiowóz, z którego wysiadło dwóch funkcjonariuszy w letnich mundurach. Zdecydowanym krokiem ruszyli ku rodzinnej idylli na trawniku.

- Popatrz na nich, Cecilie - szepnęła Hanne, śmiejąc się cicho. - Idą w takt. Nie mogą się powstrzymać. Kiedy byłam posterunkową, zdecydowałam, że nigdy tak nie będę chodzić.

To się kojarzy z wojskiem, ale naprawdę nie można nad tym zapanować. Jakby się miało w uszach orkiestrę wojskową.

Policjanci byli identyczni: krótko ostrzyżeni, jednakowego wzrostu. Z lekkim wahaniem zatrzymali się w pewnej odległości od wesołego zgromadzenia i w końcu zwrócili się do najstarszego z wyglądu mężczyzny.

- Wiedziałam! - parsknęła śmiechem Hanne, uderzając się w udo. - Wiedziałam, że zwrócą się do faceta!

Obie wstały i oparły się łokciami o balustradę. Impreza odbywała się w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów od nich, a dźwięki w letni wieczór niosły się daleko.

- Musicie się zbierać - oświadczył jeden z bliźniaków.

- Odebraliśmy zgłoszenie, że zakłóacie spokój sąsiadom.

- Jakim sąsiadom? - Mężczyzna, którego policjant zaszczylił swoim wyborem, z rezygnacją rozłożył ręce. - Przecież nikt nie siedzi w domu - dodał, wskazując na blok.

Rzeczywiście, prawie na każdym balkonie byli ludzie.

- Nikomu nie przeszkadzamy.

- Przykro mi - odparł funkcjonariusz i poprawił czapkę.

- Musicie wejść do środka.

- W tym upale?

Właśnie wtedy swoje entréee zrobiła pani Weistrand. Stąpając na szeroko rozstawionych nogach i zdecydowanie kręcąc biodrami, ruszyła przez swój maleńki ogródek.

- Dzwoniłam już ponad dwie godziny temu - warknęła.

- Wstyd, że tyle trzeba czekać!

- Dużo roboty, proszę pani - poskarżył się drugi z bliźniaków i też poprawił czapkę.

Hanne dobrze wiedziała, że w takiej temperaturze czapka na głowie to prawdziwy koszmar. Postanowiła się wtrącić:

- Cecilie, naprawdę boli mnie głowa. Mogłabyś mi zrobić herbaty? Tak cię proszę.

Herbata na ból głowy? Znakomite lekarstwo, pomyślała lekarka, która doskonale wiedziała, dlaczego została poproszona o opuszczenie balkonu. Nic jednak nie powiedziała, tylko wzruszyła ramionami i wyszła do kuchni.

- Cześć! - zawołała Hanne, gdy tylko Cecilie zniknęła w głębi mieszkania. - Cześć, chłopaki!

Wszyscy na trawniku popatrzyli w górę. Dwaj posterunkowi niepewnie ruszyli w stronę budynku, gdy zrozumieli, że wołanie odnosi się do nich. Hanne ich nie знаła, ale nieskromnie zakładała, że będą wiedzieć, kim jest. Okazało się, że słusznie. Kiedy zbliżyli się na pięć metrów, twarze obydwu się

rozjaśniły.

- Cześć - odpowiedzieli prawie chórem.

- Dajcie im spokój - poprosiła Hanne, puszczając oko. - Przecież w ogóle nie hałasują. To ciocia z dołu szuka zwady. Niech się dzieciaki pobawią.

Rada sierżant Wilhelmsen wystarczyła młodym policjantom. Zasalutowali i odwrócili się.

- Bawcie się trochę ciszej - rzucili jeszcze na odchodne i odmaszerowali do przypuszczalnie ważniejszych zadań.

Wściekła pani Weistrand wycofała się do swojej jaskini, a najstarszy z uczestników imprezy podszedł do Hanne.

- Dziękujemy - powiedział, układając kciuk i palec wskazujący w kółeczko: znak zwycięstwa, który w 1972 roku widniał na plakatach ruchu opowiadającego się za przystąpieniem Norwegii do EWG.

Hanne tylko się uśmiechnęła i pokiwała głową. Cecilie wróciła. Głośno postawiła filiżankę z herbatą na stoliku i zasłoniła się gazetą, nie odzywając się ani słowem.

O wpół do trzeciej, kiedy dzieci dawno już zabrano do domu, a noc opanowała się na tyle, że obie włożyły bluzy, Hanne skonstatowała, że Cecilie od czasu wizyty policjantów odpowiadała jej wyłącznie monosylabami. Siedziały więc w milczeniu, bo żadna nie miała ochoty kłaść się obok drugiej, a poza tym noc rzeczywiście była czarująca. Hanne próbowała wszystkiego. Nic nie pomagało. Teraz zastanawiała się, co, na miłość boską, powinna zrobić, żeby również cały następny dzień nie był zepsuty.

Zadzwonił telefon. Jej telefon. Cecilie rozerwała gazetę na dwie części.

- Jeśli dzwonią z pracy i będziesz musiała jechać, to cię zabiję - syknęła wściekła, rzuciła strzępki papieru na ziemię i weszła do mieszkania, trzaskając drzwiami do sypialni.

Hanne odebrała telefon.

Mimo że psychicznie była na to przygotowana, i tak poczuła, że skóra na karku jej cierpnie. Wezwanie w środku nocy z soboty

na niedzielę nie zapowiadało nic szczególnie przyjemnego. Kolejna sobotnia masakra. Håkon sam zadzwonił. Już był na miejscu zdarzenia, na stacji kolejki w jednej ze starszych podmiejskich dzielnic na wschodzie. Wyglądało to koszmarnie, a skoro z ostatnich informacji wynikało, że przynajmniej część krwi mogła być ludzka, uznał, że Hanne może mieć ochotę to zobaczyć.

Podjęcie decyzji zajęło jej dziesięć sekund.

- Jadę.

Przed sypialnią zatrzymała się i lekko zapukała.

- To jest również twój pokój - usłyszała ze środka rozeźlony głos.

Odważyła się wejść. Cecilie już się rozebrała. Siedziała w łóżku z książką, w paskudnych okularach, których, jak wiedziała, Hanne nienawidzi.

- Słyszałam, że wychodzisz - powiedziała zimno.

- Owszem, i ty też.

- Ja? - Cecilie opuściła książkę i po raz pierwszy od kilku godzin popatrzyła na Hanne.

- Owszem. Najwyższa pora, żebyś zobaczyła, czym się zajmuję, kiedy się włóczę po nocach. A ta krwawa jatka na pewno nie jest niczym gorszym od twoich operacji.

Cecilie nie mogła uwierzyć własnym uszom. Znow zaczęła czytać, ale Hanne wyraźniej zainteresowała.

- Ja mówię prawdę, kochanie. Ubierz się. Jedziemy obejrzeć miejsce zdarzenia. Tylko się pospiesz.

Pięć minut później różowy harley z warkotem zmierzał w stronę Oppsal.

Kiedy dojechały do stacji, okolica wyglądała zupełnie inaczej niż w poprzednie soboty. Trzy oznakowane radiowozy pluły niebieskim światłem, niezbyt przeszkadzając okolicznym mieszkańcom, gdyż ci zgromadzili się tłumnie i wyciągali szyje, żeby lepiej zobaczyć, co się stało. Stacja była z rodzaju tych bez obsługi, otoczona płotem, z przypominającym służę przejściem od ulicy dla wysiadających pasażerów. Krwawa łaźnia odbyła

się z drugiej strony, przy niewielkim budynku, przez który musieli przejść podróżni, aby dostać się na peron. Na miejscu było łącznie trzynastu policjantów, wśród nich Håkon Sand w mundurze. Hanne przypomniała sobie, że miał dyżur. Uśmiechnął się na jej widok, przywitał i przepuścił ją przez policyjną taśmę. Cecilie ruszyła za Hanne też niezatrzymywana.

- Szybko przyjechałaś - stwierdził, jakby nie zauważył, że Hanne nie jest sama, ona zaś zrezygnowała z prezentacji. - Odkryła to młoda para wracająca z imprezy - wyjaśnił.

- Bardzo w sobie zakochana. Pewnie postanowili przedłużyć miłą randkę. - Wskazał im drogę do narożnika utworzonego przez dwumetrowy mur stykający się z nieciekawym szarym budynkiem.

Wśród popękanego starego asfaltu rosło mnóstwo mleczy, które wygrały z szaroczną nawierzchnią, zalaną teraz krwią. Wielką ilością krwi.

- Tym razem znacznie dokładniej zabezpieczamy ślady

- powiedział Håkon, wskazując ręką.

Rozsądnie. Sama by tak zarządziła. Rozejrzała się i zauważyła Hilde Hummerbakken z psiego patrolu, która od czasu ukończenia szkoły policyjnej przybrała trzydzieści kilo. Kręciła się po miejscu zdarzenia w za ciasnym mundurze, ale za to z najwspanialszym psem na świecie, który obwąchiwał cały obszar i z ogonem drgającym jak śruba zatrzymywał się to tu, to tam, słuchając wydawanych ściszym głosem komend swojej pani. Obserwowali go z zafascynowaniem. Po kilku minutach okrągłutka policjantka podeszła do nich, a Hanne od razu przykucnęła i zaczęła głaskać zwierzaka.

- Sprawca musiał przejść przez budynek - wysapała Hilde Hummerbakken. - To oczywiste. Wzdłuż ogrodzenia nic nie ma. Cairo wskazuje jego obecność w całym budynku, ale zatrzymuje się trzydzieści metrów dalej. Ten ktoś musiał mieć samochód. Czy te pomieszczenia w nocy nie powinny być zamknięte na klucz?

- Prawdopodobnie tak - odparła Hanne, wstając. - Ale kolej miejska zatrudnia coraz mniej pracowników i pewnie nie wszystkiego pilnują z taką samą starannością. Przecież stąd nic nie można ukraść. To tylko puste mury.

Sierżant Hummerbakken postanowiła jeszcze raz obejść z psem teren. Hanne poprosiła o latarkę. Na środku zalanego krwią obszaru ktoś ułożył wąski pas z kartonu niczym absurdalną kładkę. Hanne poszła nią do samego końca i stwierdziła, że również tutaj na zakrwawionej ścianie wymalowano ośmiocyfrowy numer. Potem odwróciła się do pozostałych, przykucnęła i rozejrzała na wszystkie strony.

- Tak jak myślałam - oznajmiła, wstała i wróciła po kartonowej kładce.

Nikt nie rozumiał, co takiego Hanne potwierdziła. Cecilie zaniemówiła z wrażenia, że naprawdę znalazła się wśród zajętych rozmaitymi obowiązkami kolegów Hanne.

- W kwadracie dwa metry na dwa można być całkowicie niewidocznym - wyjaśniła Hanne. - Najbliższy dom to tamten, ale założę się, że po ciemku nikomu nie uda się stamtąd nic tu zobaczyć.

Spojrzeli na wskazany przez Hanne i pograżony w ciemności dom stojący co najmniej trzysta metrów dalej.

- Witam - odezwał się nagle prokurator, jakby dopiero teraz zauważył towarzyszkę Hanne. Wyciągnął rękę. - Jestem Håkon Sand.

- Cecilie Vibe - rozpromieniła się natychmiast.

Hanne od razu włączyła się do rozmowy.

- To moja przyjaciółka. Była u mnie, nie mogłam jej zostawić - skłamała z wymuszonym uśmiechem i natychmiast tego pożałowała.

- A teraz musisz odwieźć mnie do domu - oświadczyła Cecilie lodowato. Krótko skinęła głową Håkonowi i ruszyła ku drzwiom szarego budynku.

- Cecilie, poczekaj! - zawołała zrozpaczona Hanne i głośno, by mieć pewność, że przyjaciółka ją słyszy, zwróciła się do

Håkona: - Wiesz, miałam zamiar zaprosić cię na kolację w przyszły piątek. Do mnie do domu. Poznasz wtedy... - nie powiedziała „ją” - osobę, z którą mieszkam - dokończyła, nie zdając sobie sprawy, jak dziwnie musiało to zabrzmieć.

Prokurator miał taką minę, jakby zaproponowano mu trzytygodniowy rejs po Karaibach. Był równie zdziwiony, jak ucieszony.

- Bardzo chętnie - powiedział, zapominając o tym, że na ten dzień umówił się już z matką. - Oczywiście. Ale przecież jeszcze będziemy się wcześniej widzieć.

Hanne zostawiła krwawą łaźnię kolegom i poszła za Cecilie do motocykla. Nie odzywała się. Zamarła wewnątrz ze strachu. Nie miała pojęcia, jak zdoła wycofać się z tego zaproszenia.

- A więc to był Håkon Sand. Sprawiał wrażenie bardzo sympatycznego - zaszczębiotała Cecilie. - Chyba będziesz musiała powiedzieć mu o mnie, zanim przyjdzie. - Roześmiała się głośno, lecz zaraz ucichła, bo przypomniała sobie o ponurych okolicznościach, z których powodu się tu znalazły. Ale przez całą drogę do domu uśmiech nie schodził jej z twarzy.

## **Niedziela, 6 czerwca**

Gazety w końcu zaskoczyły. Szczerze go to ucieszyło. Kiedy bicie kościelnych dzwonów obudziło go koło dziesiątej, po czterech godzinach krótkiego, ale za to głębokiego snu, narzucił dres i poszedł na stację benzynową sprawdzić, czy wreszcie ktoś oprócz policji zaczął się interesować jego dziełem.

Właściwie pisano o tym więcej, niż na to liczył. Całą pierwszą stronę „Dagbladet” zajmował tytuł: *Tajemnicze krwawe łaźnie w Oslo* - z podtytułem: *Policja szuka ofiar*. W rogu odrobinę miejsca poświęcono na zdjęcie, na którym widać było radiowóz, policyjne taśmy i pięciu funkcjonariuszy. W zasadzie fotografia niewiele wносиła, przez co trochę rozczarowywała, ale po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że zbryzgany

krwią narożnik sam w sobie nie stanowił zbyt ciekawego obiektu w czarno-białej wersji. Zdjęcie musiałyby być kolorowe. Może następnym razem, pomyślał, idąc wziąć drugi prysznic w ciągu pięciu godzin. Następnym razem.

\*\*\*

Czuli się jak aktorzy w amerykańskim filmie telewizyjnym klasy B. Leżeli w typowym kawalerskim mieszkaniu, w pozbawionym gustu ogromnym lakierowanym na biało łóżku z ukośnym zagłówkiem, w który wbudowane były radio i budzik. Za to materacowi nic nie dało się zarzucić. Håkon podciągnął się, zażenowany włożył slipy i wyszedł do kuchni. Chwilę później wrócił z dwiema szklankami coli i kostkami lodu. Uśmiechał się lekko.

- On jest naprawdę w porządku.

Kolega jakoś się przyzwyczał. Już czwarty raz Håkon czerwony jak burak poprosił o udostępnienie mu mieszkania na kilka godzin. Za pierwszym razem kumpel nie mógł pojąć, dlaczego Håkon nie może załatwić szybkiego numerka we własnym domu, ale w końcu ze śmiechem wręczył mu klucze. „No tak, każdy ma swoje mroczne żądze”, stwierdził tylko i obiecał pięć godzin spokoju.

Od tamtej pory po prostu dawał mu klucze bez komentarza i informował, jak długo go nie będzie. Ale dzisiaj spytał, czy nikt inny nie miałby mieszkania do wypożyczenia, bo ten termin nie bardzo mu odpowiadał. Mina Håkona spfawiła jednak, że natychmiast zmienił zdanie. Nie wiedział, że nie tylko on od czasu do czasu słyszy tę dziwną prośbę.

Już niedługo mogli się spodziewać powrotu gospodarza. Håkon spojrzął na zegarek, ale jak się okazało, za mało dyskretnie.

- Tak, tak, wiem. Musimy wstawać. - Karen poruszyła się i nagle zawołała: - Mam już serdecznie dość takich spotkań!

Jakby to był jego wybór. Postanowił się nie odzywać.

- W gruncie rzeczy mam dość wszystkiego - ciągnęła, gwałtownie wkładając ubranie. - Mam zamiar z tym skończyć!



Håkon poczuł wściekłość.

- Aha. Z tym tutaj czy może z paleniem?

Karen paliła za dużo i chociaż mu to nie przeszkadzało, trochę się o nią martwił. Wiedział jednak, że nie papierosy zamierza rzucić, tylko jego. Wspominała o tym mimochodem mniej więcej na co trzecim spotkaniu. Wcześniej przerażało go to i doprowadzało do rozpacz, teraz po prostu się wściekł.

- Posłuchaj, Karen - powiedział. - Nie możesz żyć w taki sposób. Musisz w końcu podjąć decyzję. Chcesz mnie czy nie chcesz?

Znieruchomiała. Potem, zapinając spodnie, obeszła łóżko.

- No co ty? - uśmiechnęła się. - Nie miałam na myśli ciebie.

Ani nas. Chodziło mi o pracę. Zastanawiam się, czy nie rzucić tej roboty.

Jeszcze bardziej zaskoczony Håkon usiadł na brzegu łóżka. Rzucić pracę? Karen była najmłodszą partnerką w renomowanej kancelarii adwokackiej, zarabiała astronomiczne w jego oczach pieniądze i naprawdę bardzo rzadko zdradzała oznaki, że nie czuje się tam najlepiej.

- Aha - powiedział tylko.

- Co o tym myślisz?-Co myślę...

- No to nie myśl!

- Nie o to mi chodziło. Chcę o tym porozmawiać.

- Nie, zapomnij! Naprawdę. Zostawmy to na razie, może kiedy indziej. - Usiadła obok niego. - Wybieram się w piątek do domku letniskowego. Pojedziesz ze mną?

Sensacja! Chciała go zabrać do domku. Dwa i pół dnia razem! Przez cały czas. Bez ukrywania się, bez pośpiechu i bez rozdzielania się po miłości. Naprawdę sensacja!

- Bardzo chętnie - wydusił z siebie, ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież domku Karen już nie ma. Po pożarze, który pół roku wcześniej zniszczył doszczętnie cały budynek, Håkonowi została na łydce podłużna brzydka blizna. W gorsze dni wciąż go bolała. - Nie będzie za dużo świeżego powietrza? - zauważył cierpko.

- Nie do mojego domku, tylko do sąsiadów. Możemy trochę uprzątnąć pogorzelnisko, a poza tym przyjemnie spędzić czas. Przypomniało mu się jeszcze jedno. Przecież przyjął to zaskakujące zaproszenie na kolację do Hanne Wilhelmsen.

- Cholera.

- O co chodzi?

- Już się umówiłem. Hanne Wilhelmsen zaprosiła mnie do siebie.

- Hanne? Myślałam, że nie widujecie się poza pracą.

Karen Borg знаła Hanne Wilhelmsen. Spotkała ją kilka miesięcy temu i policjantka zrobiła na niej duże wrażenie. Poza tym Håkon, opowiadając o pracy, nie potrafił chociaż raz nie wymienić jej nazwiska. Nigdy jednak nie sądziła, że łączyło ich coś więcej niż obowiązki.

- Bo tak jest. Przynajmniej do tej pory tak było. Zaprosiła mnie dzisiaj w nocy.

- Nie możesz się wycofać? - spytała, gładząc go po włosach.

Przez moment miał na końcu języka „oczywiście”, ale w końcu pokręcił głową. To, że postanowił zaniedbać matkę na rzecz Hanne, to jedno, ale Hanne nie mógł odmówić tylko dlatego, że pojawiła się atrakcyjniejsza propozycja.

- Nie, Karen, nie mogę. Powiedziałem, że bardzo chętnie przyjdę.

Zapadła cisza. W końcu Karen się uśmiechnęła i przysunęła usta do jego ucha. Poczul ciarki na plecach.

- Jesteś kochany - szepnęła. - Kochany, dobry i uczciwy.

\*\*\*

Młoda matka z rozwianymi rudymi włosami była kompletnie załamana. Mały zapadł się pod ziemię. Biegała na oślep po uliczkach starego, trochę zniszczonego osiedla, przewieszając się przez żywopłot w każdym ogródku i cały czas rozpaczliwie wołała:

- Kristoffer! Kristoffer!

Zdrzemnęła się w tym upale. Ostatni raz widziała synka bezpośrednio po obiedzie - klopsiki z kwaśną kapustą. Chłop-

czyk zjadł tylko trochę tłuczonych ziemniaków z sosem, ale było za gorąco na walkę z trzylatkiem, który na wszystko miał jedną odpowiedź: nie. Poza tym była niedziela, a ona potrzebowała choć odrobiny spokoju.

Po obiedzie położyła się z książką na leżaku na tyłach starego urokliwego domu, który wynajmowali od jej wuja. W środku hulały przeciągi, budynek się rozpadał i nie dawało się go nazwać przyjaznym dla dziecka, ale płacili symboliczny czynsz, a okolica była spokojna, ruch nieduży. Synka umieściła w piaskownicy, którą wuj wielkodusznie zbudował w ogródku za domem. Kristoffer bawił się, coś do siebie perorując. Musiała jednak zasnąć.

Teraz powstrzymywała rozpacz i Izy napływające do oczu. Tłumaczyła sobie, że synek nie mógł zajść daleko w ciągu tej pół godzinki.

- Myśl - powiedziała do siebie głośno i zacisnęła zęby, żeby nie płakać. - Myśl! Dokąd on zwykle się wybiera? A gdzie jest ciekawie i gdzie mu nie wolno chodzić?

Przerażona pierwszą odpowiedzią, jaka przyszła jej do głowy, przystanęła i odwróciła się w stronę autostrady odległej o trzysta metrów i ciągnącej się u stóp wzgórza, na którym stały stare domy z ogródkami. Nie, nie mógł tam pójść. Po prostu nie mógł.

Gdy skręciła w uliczkę biegnącą sto pięćdziesiąt metrów od domu, zobaczyła przy żywopłocie starszą kobietę w roboczej sukience i rękawicach ogrodowych.

- Kristoffer ci zginął? - spytała sąsiadka życzliwie, chociaż zupełnie niepotrzebnie, bo młoda kobieta nie przestawała wołać synka.

- Tak. To znaczy nie. Nie zginął. Po prostu nie mogę go znaleźć.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale staruszka już zdecydowanie zdejmowała rękawiczki.

- Chodź, pomogę ci. Na pewno nie zawędrował daleko.

Tworzyły dziwną grupę poszukiwawczą. Młoda matka nie-

ustannie przebiegała z jednej strony ulicy na drugą, ale starsza kobieta działała bardziej systematycznie - podchodziła do każdego domu po kolei i wypytywała jego mieszkańców, czy przypadkiem nie widzieli trzyletniego Kristoffera.

W końcu dotarły na sam szczyt wzgórza. Chłopca nigdzie nie było widać, nikt też go wcześniej nie zauważył. Przed nimi rozpościerał się teraz już tylko skraj lasu. Jedna była bezradna i zmartwiona, druga zaczynała odchodzić od zmysłów.

- Gdzie on może być? - płakała matka. - Do lasu boi się chodzić sam. Może jednak poszedł w dół, w stronę szosy? - Na samą tę myśl wstrząsnął nią szloch.

- Spokojnie, tylko spokojnie, nie martwmy się na zapas. Gdyby coś się stało, już dawno usłyszałybyśmy karetki - pocieszała ją sąsiadka nie bez logiki.

- Mamo!

Rozpromieniony trzylatek na opalonych nóżkach, z wiaderkiem w jednej i plastikową łopatką w drugiej ręczce pojawił się nieoczekiwanie na ścieżce biegnącej przez ogród przy ostatnim domu pod lasem. Właściwie nie była to ścieżka, bo w domu nikt nie mieszkał już dziesiąty rok, co wyraźnie odcisnęło się również na działce. Gdyby podjazdu nie wysypano grubą warstwą drobnego żwiru, również zarosłyby go pieniące się dziko w ogrodzie rośliny.

- Kristoffer! - Matka ze szlochom rzuciła się do synka.

Chłopczyk zdumiony tak gwałtownym powitaniem pozwolił się podnieść i uściskać aż do utraty tchu.

- Znalazłem pirata, mamo - oświadczył z dumą. - Prawdziwego pirata!

- To świetnie, synku, naprawdę świetnie, ale obiecaj mi, że już nigdy tak daleko nie odejdziesz! Mama się bardzo wystraszyła, rozumiesz? Teraz wrócimy do domu, napijesz się soku. Na pewno chce ci się pić. - Popatrzyła na swoją towarzyszkę z głęboką wdzięcznością. - Bardzo dziękuję, pani Hansen. Naprawdę bardzo dziękuję. Tak się bałam.

- Wiem, wiem - uśmiechnęła się staruszka i ujęła chłopczyka

za rękę, by odprowadzić go i jego matkę do domu.

- Muszę ci pokazać tego pirata, mamó! - zaprotestował mały, wyrwijąc się kobietom. - Musisz zobaczyć mojego pirata!

- Nie dzisiaj, synku. Teraz wrócimy do domu i pobawimy się twoim pirackim statkiem.

Chłopcu zaczęła drżeć dolna warga.

- Nie, mamó! Chcę zobaczyć prawdziwego pirata. - Stał naburmuszony na środku drogi i widać było, że żadne prośby go nie zmiękczą.

Pani Hansen postanowiła zaingerować:

- Posłuchaj, pójdziemy obejrzyć twojego pirata, a potem oboje, i ty, i mama, przyjdziecie do mnie. U mnie się pobawimy, dobrze? - Ostatnie słowo skierowała do młodej kobiety.

Ta jeszcze raz uśmiechnęła się z wdzięcznością, ujęła dziecko za rękę i we trójkę weszli do zapuszczonego ogrodu. Prawdę mówiąc, obie panie były ciekawe, co też takiego mógł znaleźć Kristoffer.

Nawet w jasne niedzielne popołudnie dom sprawiał dość przygnębiające wrażenie. Farba w większości zluszczyła się ze ścian, a ktoś, prawdopodobnie młodzież nieumiejąca znaleźć dla siebie żadnego innego zajęcia wieczorami, powybił wszystkie szyby. Ale i to zdarzyło się dawno i nawet młode niepokojne dusze straciły w końcu zainteresowanie budynkiem, który padł ofiarą mijającego czasu. Duże połacie ogrodu porastały wysokie do pół uda pokrzywy, ale na tyłach, gdzie nikt chyba od lat nie zaglądał, trawnik wciąż walczył o przetrwanie. Na razie jako tako się trzymał, choć właściwie bardziej przypominał łąkę.

Za węglem chłopczyk wyrwał się i pobiegł w stronę niewielkiej szopy na narzędzia, stojącej na drugim końcu ogrodu. Matka, wystraszona, że mały zaraz zniknie w uchylonych drzwiach, krzyknęła ostrzegawczo.

To nie było konieczne, bo Kristoffer wcale nie zamierzał wchodzić do środka. Przykucnął pod ścianą, z niezwykle dumą uśmiechnął się do dorosłych i łopatką wskazał nieduży dołek w

ziemi.

- Zobaczcie, mój pirat!

To była ludzka głowa.

Matka instynktownie złapała synka za rękę i zaczęła go odciągać.

- Chcę zobaczyć, chcę zobaczyć! - zapierał się mały.

Pani Hansen potrzebowała zaledwie kilku sekund na przejście dowodzenia.

- Niech pani go stąd zabierze i każe mojemu mężowi zadzwonić na policję. Ja tu zostanę. Szybko! Niech się pani pospieszy!

Te ostatnie słowa dodała bardzo stanowczym tonem, bo rudowłosa młoda kobieta znieruchomiała, zapatrzona w dołek. W końcu oderwała się od niesamowitego widoku i pobiegła, niosąc na rękach płaczące i wierzgające dziecko. Wiaderko i łopatka zostały w ogrodzie.

Głowa znajdowała się dość płytko, maksymalnie na głębokości trzydziestu centymetrów. Pani Hansen nie mogła zrozumieć, jak dzieciak zdołał wykopać taki dół o powierzchni około czterdziestu na czterdzieści centymetrów. Może jakieś zwierzę rozpoczęło pracę?

Chyba była to kobieta. Dolną część twarzy miała mocno owiniętą kawałkiem materiału, który najpewniej został zawiązany z tyłu głowy. Zęby w górnej szczęce odciskały się pod kneblem. Niżej wyraźnie było widać zagłębienie otwartych ust. Niezwykle duże nozdrza wypełniała ziemia. Widoczne było tylko jedno półprzymknięte oko. Na drugim leżał ciemny zlepiiony kosmyk włosów przypominający przekrzywioną opaskę. Prawie jak u pirata...

Kilka minut później pani Hansen usłyszała wycie zbliżających się syren. Wstała, sztywnymi palcami roztarta pokryte żyłakami łydki i ruszyła do furtki, żeby wskazać drogę policji.

**Poniedziałek, 7 czerwca**

Hanne Wilhelmsen wpadła w rozpacz. Wynaturzone zabójstwo było akurat tym, czego w tej chwili potrzebowała najmniej. Protestowała tak gwałtownie, że szef wydziału o mały włos znów jej nie darował, ale tylko o mały włos.

- Nie ma o czym mówić, Hanne - oświadczył w końcu tonem, który nie zostawiał już ani odrobiny miejsca na dyskusję.

- Wszyscy mamy za dużo pracy. Weźmiesz tę sprawę.

Była bliska płaczu. Chcąc uniknąć czegoś, czego później by żałowała, w milczeniu wzięła dokumenty, które jej podał, i bez słowa wyszła z gabinetu szefa. Wróciwszy do swojego pokoju, kilka razy głęboko odetchnęła, zamknęła oczy i nagle uświadomiła sobie, że to może być niezła wymówka do odwołania piątkowego spotkania z Håkonem Sandern. Przynajmniej tyle. Zwłoki, tak jak stara pani Hansen przypuszczała, okazały się szczątkami kobiety, cudzoziemki. Pobieżne oględziny na miejscu zdarzenia powiedziały im, że miała nieco ponad dwadzieścia lat i metr sześćdziesiąt wzrostu. Była naga, z wyjątkiem kawałka płótna wbijającego się w usta, i miała poderżnięte gardło. Upała, a także fakt, że nie okrywało jej żadne ubranie, utrudniały określenie czasu zgonu. Prawdopodobnie ciało było w stanie daleko bardziej posuniętego rozkładu, niż gdyby znajdowało się w innych warunkach. Tymczasowa hipoteza zakładała, że musiało leżeć w ziemi od dwóch tygodni. Patolog nakazał pobranie próbek gleby oraz dokładne zmierzenie głębokości, na jakiej zostało złożone. Zapowiedział, że datę zgonu postara się określić jak najszybciej, zbada też szczątki pod kątem napaści seksualnej. Jeśli kobieta zginęła bezpośrednio po ewentualnym stosunku, obecność spermy w pochwie da się wykazać nawet po długim czasie.

Hanne sięgnęła po polaroidowe zdjęcie szyi kobiety. Rana była cięta, ale zaczynała się od wklucia. Zwykle rany zadane nożem z reguły były kłute i miały kształt elipsoidalny. Paskudnie wystawały z nich wnętrzości. Rany cięte charakteryzowano podobnie, tyle że były dłuższe i szersze, ale zwążyły się z obu stron i też miały łódkowaty kształt. Tej kobiecie jednak naj-

pierw wbito nóż tuż pod uchem - skóra była tam rozwarta, trochę nierówna, jak gdyby sprawca musiał dźgać kilka razy, by porządnie się wkuć - a potem przeciągnięto nim z przodu przez całą szyję, gdzie rana była równą szczeliną, zwięzającą się na końcu.

Nie mieli pojęcia, kim może być ofiara. Przejrzeli wszystkie zgłoszenia zaginięć z całego poprzedniego roku, chociaż wykluczone było, aby ciało leżało w ziemi tak długo. Nie pasował żaden rysopis.

Hanne zakręciło się w głowie. Po incydencie sprzed kilku miesięcy, kiedy została napadnięta tuż pod drzwiami własnego pokoju i doznała silnego wstrząsu mózgu, zdarzały jej się przykre napady słabości, zwłaszcza w upale. Obciążenie pracą też nie poprawiało sytuacji. Przytrzymała się stołu, czekając, aż najgorsze zawroty ustąpią, i w końcu wyszła na korytarz. Dochodziło wpół do dziewiątej. Kolejny tydzień pracy miał najgorszy początek z możliwych.

Przy schodach ciągnących się od pierwszego do ósmego piętra w zachodnim rogu holu Håkon Sand rozmawiał z kolegą. Był elegancko ubrany, ale sprawiał wrażenie, że w tym stroju bardzo źle się czuje. U jego stóp stała jedna z należących do komendy dużych czarnych skórzanych teczek, z jakimi zwykle widuje się pilotów.

Na widok Hanne lekko się rozjaśnił. Zakończył rozmowę z mężczyzną, który zniknął na galerii, kierując się ku żółtej strefie.

- Cieszę się na ten piątek - uśmiechnął się szeroko.

- Ja też - usiłowała odpowiedzieć tak, by przynajmniej wyglądało to szczerze.

Oparli się o balustradę i zapatrzyli w wielką otwartą przestrzeń w dole. Po jednej stronie było niezwykle mało ludzi.

- Widać w ten upał nikt nie potrzebuje paszportu - stwierdził Håkon, próbując znaleźć wytłumaczenie, dla którego panie w okienkach paszportowych, zwykle mające pełne ręce roboty, teraz znajdowały nawet czas na pogawędkę. - Chyba że ktoś



chciałby się wybrać na Alaskę albo na Svalbard. Ale tam nie potrzeba paszportu - dodał niemądrze.

O wiele tłoczniej niż zazwyczaj było natomiast w przeciwnym końcu holu. Przy drzwiach Wydziału do spraw Cudzoziemców stał zbity tłum obcokrajowców. Wyglądali ponuro, ale upał chyba aż tak im nie dokuczał.

- Co oni tam, na miłość boską, wyprawiają? - zdumiała się Hanne. - Urządzili spis wszystkich imigrantów?

- Prawie. To kolejna z tych idiotycznych akcji. Chodzą z siecią po miejscach publicznych, wylawiają wszystkich z czarnymi włosami i sprawdzają, czy przebywają u nas legalnie.

Znakomite wykorzystanie środków, zwłaszcza teraz. - Westchnął. Za dwadzieścia minut miał być w sądzie. - Szef Wydziału Kryminalnego twierdzi, że w mieście jest ponad pięć tysięcy nielegalnych cudzoziemców. Pięć tysięcy! Nie wierzę w to. Gdzie mieliby się podziewać?

Hanne Wilhelmsen nie uważała tej liczby za całkowicie wyssaną z palca. Zareagowała raczej na słowa o takim wykorzystywaniu potrzebnych gdzie indziej środków. Któregoś dnia słyszała, jak szef Urzędu do spraw Cudzoziemców w wiadomościach o osiemnastej mówił, że co roku „ginie” tysiąc pięciuset azylantów, którzy rejestrują się w Norwegii, ale później nikt już

o nich nie słyszy. Pięć tysięcy to tylko o trzy i pół tysiąca więcej, pomyślała zmęczona.

- Wygląda na to, że przynajmniej połowa z nich jest teraz tu, na dole - odpowiedziała na dawno zadane pytanie, wskazując na tłum pod nimi.

Håkon Sand spojrział na zegarek. Musiał się pospieszyć.

- Pogadamy później! - zawołał i pobiegł.

\*\*\*

To była błaha sprawa. Dwaj mężczyźni, Irańczyk i Kurd, ubiegający się o azyl, pokłócili się o jedzenie w ośrodku dla uchodźców na Urtegata. Håkona ani trochę nie dziwiło, że od czasu do czasu któremuś z imigrantów odbija. Ci dwaj już po-

nad rok czekali na rozpatrzenie swoich wniosków. Obaj byli młodymi, silnymi i zdolnymi do pracy mężczyznami. Tymczasem zaproponowano im zaledwie pięć godzin nauki norweskiego w tygodniu. Pozostały czas stanowił morze frustracji, niepewności i lęku.

Rzucili się na siebie w piątkowy wieczór. W efekcie słabszy Kurd miał złamany nos. Kodeks karny, paragraf 229, ustęp pierwszy, pierwsza alternatywa kary. Wprawdzie Irańczyk też miał podbite oko, ale jakiś pedantyczny funkcjonariusz zadbał o to, by również w tak bagatelnej sprawie sprawiedliwości stało się zadość. Chłopaka reprezentował adwokat ze stowarzyszenia Bezpłatna Pomoc Prawna, który przypuszczalnie prawie z nim nie rozmawiał, a już na pewno nie przeczytał akt sprawy. Ale tu się liczyła rutyna. Również dla Håkona Sanda.

Sala rozpraw numer osiem była maleńka i okropnie zniszczona. Klimatyzacji, rzecz jasna, nie zainstalowano, a hałas dochodzący z ulicy uniemożliwiał otwarcie okien. Odkąd kilka lat temu zdecydowano o budowie nowej siedziby sądu, najwyraźniej wydanie bodaj pięciu ore na starą nie wchodziło w grę, mimo że do końca inwestycji było jeszcze daleko.

Czarna toga, którą przed nim nosiły setki oskarżycieli, zawsze cuchnęła. Dzisiaj nie było lepiej. Westchnął z rezygnacją i zerknął na adwokata po przeciwnej stronie sali. Ich spojrzenia się spotkały. Bez słów uzgodnili, że postarają się jak najprędzej zakończyć sprawę.

Dwudziestodwulatek z Iranu składał wyjaśnienia pierwszy. Towarzyszył mu tłumacz o twarzy kompletnie pozbawionej wyrazu, który przekazywał w oczywisty sposób zredagowane wypowiedzi. Oskarżony mówił przez trzy minuty, a tłumaczowi przełożenie jego słów zajmowało trzydzieści sekund. Taka sytuacja zazwyczaj niepomrotnie irytowała Håkona, ale tego dnia nic mu się już nie chciało. Potem przyszła kolej na Kurda. Nos wciąż miał krzywy, więc raczej nie był najlepszym przykładem dużych umiejętności norweskich chirurgów.

Na koniec zjawił się pracownik ośrodka dla uchodźców, który złożył przyrzeczenie, że będzie mówił prawdę. Norweg. Owszem, widział tę bójkę. Oskarżony rzucił się na pokrzywdzonego, wielokrotnie zadawali sobie ciosy, aż w końcu Kurd po imponującym sierpowym Irańczyka zwałił się na podłogę jak worek.

- Czy pan interweniował? - spytał obrońca, gdy przysłała jego kolej na zadawanie pytań świadkowi. - Próbował pan ich rozdzielić?

Norweg z baranią miną wpatrywał się w krawędź bariery, za którą stał. Nie, nie mieszał się. Bójki między cudzoziemcami bywają okropne. Często pojawia się nóż. Popatrzył na dwoje ławników, szukając u nich wsparcia, ale natrafił tylko na puste spojrzenia.

- Widział pan nóż?

-Nie.

- A czy były jakieś inne powody, dla których nóż miałby się pojawić?

- No, tak jak mówię, oni zawsze mają...

- Ale czy widział pan coś w tej konkretnej sytuacji? - przerwał mu zirytowany obrońca. - Czy ta konkretna bójka miała w sobie coś szczególnego, przez co postanowił się pan nie angażować?

-No nie...

- Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Procedury załatwiono w ciągu dwudziestu minut. Håkon Sand zaczął się pakować, przekonany, że wyrok zapadnie od razu. Chował właśnie do walizki cienką teczkę z dokumentami, ale wysunęła się z niej różowa kartka i upadła na podłogę. Była to wewnętrzna notatka sporządzona przez śledczego. Podniósł ją i przed schowaniem na miejsce zerknął na nią przez moment. Na samej górze wypisano jego nazwisko. Wiadomość nakreślono odręcznie. Nagłówek brzmiał: *Dot. Nr RC90045621, Shaei Thyed, uszkodzenie dala.*

I nagle zrozumiał. Wiedział już, czym są numery

wypisane krwią we wszystkich miejscach sobotnich masakr. To oczywiście numery z Rejestru Cudzoziemców. Nadawano je wszystkim obcokrajowcom.

\*\*\*

Na jego biurku stała prześliczna wersja bogini sprawiedliwości. Ta zapewne bardzo droga rzeźba z brązu w ośmiometrowym i bardzo państwowym pokoju wydawała się odrobinę nie na miejscu. Håkon układał ukręcone z papieru kuleczki na szalkach wagi, którą bogini trzymała w wyciągniętej przed siebie ręce. Waga pod wpływem maleńkich ciężarków przechylała się leciutko raz na jedną, raz na drugą stronę.

Wreszcie Hanne Wilhelmsen przyszła. Z zadowoleniem zauważyła w oknach nowe zasłonki.

- Myślałam, że jesteś w sądzie. Rano się na to zapowiadało.  
- Rozprawa trwała tylko półtorej godziny - wyjaśnił i poprosił, żeby usiadła. - Znalazłem rozwiązanie. - Miał zaczerwienione policzki, ale wcale nie z gorąca. - Wiesz, czym są te liczby wypisane krwią na miejscach sobotnich masakr?

Hanne Wilhelmsen wpatrywała się w prokuratora policji Håkona Sanda przez dwadzieścia sekund. Wydawało się, że z radości zaraz pęknie. Tym bardziej się rozczarował, kiedy odpowiedziała:

- Numerami RC! - Poderwała się i kilka razy uderzyła pięścią w ścianę. - Oczywiście! Gdzie myśmy mieli głowy! Przecież jesteście nimi zasypani!

Håkon Sand nie mógł pojąć, w jaki sposób na to wpadła, zanim on się odezwał słowem. Rozczarowanie na jego twarzy było tak wyraźne, że Hanne musiała go pochwalić.

- Zza drzew nie widzieliśmy lasu. Tak naprawdę nie przywiązywałam wagi do tych numerów. Dopiero teraz. Genialnie, Håkon! Sama nigdy bym na to nie wpadła. A już na pewno nie dzisiaj.

Håkon więcej nie pytał i przelknął urażoną dumę. Skupili się na konsekwencjach odkrycia, ale na razie się nie odzywali.

Cztery krwawe łaźnie. Cztery liczby. Numery z Rejestru Cu-

dzoziemców. Odnaleziono jedno zwłoki. Przypuszczalnie cudzoziemki. Której nadano numer RC.

- Mogą być jeszcze trzy - stwierdził w końcu Håkon. - Trzy trupy. W najgorszym razie.

W najgorszym razie. Hanne Wilhelmsen w pełni się z nim zgadzała, ale coś innego przeraziło ją jeszcze bardziej niż ewentualność, że gdzieś w ziemi leżą ciała trzech osób.

- Kto ma dostęp do informacji o uchodźcach ubiegających się o azyl? - spytała cicho, chociaż doskonale знаła odpowiedź.

- Pracownicy Urzędu do spraw Cudzoziemców - odparł natychmiast. -1 oczywiście Ministerstwa Sprawiedliwości. Krótko mówiąc, całkiem sporo ludzi. Plus osoby pracujące w ośrodkach, jak przypuszczam - dodał, przypominając sobie żenującego Norwega, który spokojnie się przyglądał, jak dwaj azylanci rzucają się na siebie.

- No tak - powiedziała Hanne. Ale pomyślała o kimś jeszcze.

\*\*\*

Wszystkie inne sprawy na razie odłożono. Ze skutecznością zdumiewającą większość zaangażowanych osób w ciągu godziny zreorganizowano wydział. Centrum dowodzenia na samym końcu strefy niebieskiej nagle stało się ośrodkiem ożywionej aktywności. Mieli jednak za mało, by zorganizować spotkanie, na które należał szef wydziału, dlatego zgromadzili się w pokoju zebrania. Bardzo im to odpowiadało, ponieważ ta sala, bez okien, pełniła również funkcję jadalni, a właśnie nadeszła pora lunchu.

Naczelnik Biura Kryminalnego, okrągłutki mężczyzna o bezdennie naiwnym wyrazie twarzy i z siwymi kręconymi włosami, również był obecny. Żuł ogromną kanapkę, z której ścieki majonez i ułożył się na jego za ciasnych spodniach od munduru w kształt obrzydliwej tłustej larwy. Zażenowany zebrał go palcem, a potem usiłował zmniejszyć szkodę, pocierając ciemną plamę, która oczywiście' tylko się powiększyła.

- Rzecz jest bardzo poważna - zaczął szef wydziału.

Był bardzo przystojnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną z krótkimi ciemnymi włosami wianuszkami otaczającymi łysą czaszkę. Duże piwne oczy osadzone były wyjątkowo głęboko, ale przy bliższym kontakcie okazywały się niezwykle bystre. Ubrany był w jasne letnie spodnie i obcisłą koszulkę polo.

- Arnt?

Mężczyzna wywołany do odpowiedzi odsunął krzesło od stołu, ale nie wstał.

- Sprawdziłem te numery RC wypisane krwią. Nie wszędzie były wyraźne, lecz jeśli zdecydujemy się na takie ich odczytanie

- podniósł tablicę z kartonu - to wszystkie nadano kobietom.

W pokoju zrobiło się całkiem cicho.

- Wszystkie mają od dwudziestu trzech do dwudziestu dziewięciu lat i przyjechały do Norwegii same. Żadna nie miała tu krewnych, a poza tym...

Wiedzieli, co powie. Szef wydziału poczuł, że pot spływa mu ze skroni. Naczelnik Biura Kryminalnego parsknął jak buldog w upale, a Hanne Wilhelmsen miała ochotę wyjść.

- ...wszystkie zaginęły.

Po długiej przerwie, która nikogo nie zdziwiła, głos ponownie zabrał szef wydziału:

- Czy znaleziona zmarła może być jedną z tych czterech?

- Jeszcze za wcześnie, żeby coś stwierdzić. Ale oczywiście z takiego założenia teraz wychodzimy.

- Erik, ustaliłeś coś w sprawie krwi?

Posterunkowy w przeciwieństwie do swego bardziej doświadczonego kolegi Arnta wstał.

- Obdzwoniłem wszystkie rzeźnie - odpowiedział, nerwowo przełykając ślinę. - Łącznie dwadzieścia cztery. Krew można kupić wszędzie. Głównie wołową. Większość punktów jednak wymaga wcześniejszego złożenia zamówienia. Rynek na krew w zasadzie nie istnieje. Chyba już nikt sam nie przyrządza z niej puddingu. Nigdzie nie zauważono też nic niezwykłego. Żadnej sprzedaży na dużą skalę.

- No dobrze - powiedział szef wydziału. - Ale pracuj nad tym dalej.

Erik Henriksen z ulgą opadł na krzesło.

- Szef UDI - mruknęła Hanne Wilhelmsen.

- Co powiedziałaś?

- Szef UDI - powtórzyła już głośniej. - Urzędu do spraw Cudzoziemców. Niedawno słyszałam z nim wywiad w radiu. Powiedział, że rocznie władzom „ginie” tysiąc pięćset osób ubiegających się o azyl.

- Ginie?

- No tak, te osoby znikają. Ich sprawy w większości zakończyły się odmową udzielenia azylu i decyzją o wydaleniu. UDI uważa, że ci ludzie po prostu uciekają, nikogo nie powiadamiając. Może do Szwecji albo gdzieś dalej na południe Europy. Niektórzy zwyczajnie wracają do domu.

- Nikt ich nie szuka? - zdziwił się Erik, ale natychmiast pożałował pytania.

To, że urzędnicy mieliby tracić czas na szukanie zaginionych cudzoziemców, chociaż nie radzili sobie z wyrzucaniem z kraju tych, którzy pozostali, było pomysłem tak absurdalnym, że najbardziej doświadczeni spośród obecnych w pokoju pękliby ze śmiechu, gdyby nie okoliczności. I ten upał. No i świadomość, że mają dokładnie pięć dni na rozwiązanie tej sprawy. Jeśli im się nie powiedzie, w nocy z soboty na niedzielę będą musieli w jakimś nowym miejscu badać następną kałużę krwi z kolejnym numerem RC wymalowanym czerwinią.

Pięć dni. Tylko tyle czasu im zostało. Wiedzieli, że muszą działać.

\*\*\*

Kristine Håverstad czuła, że zbliża się do otchłani. Minęło dziewięć dni. Dziewięć dni i osiem nocy. Z nikim nie rozmawiała. Oczywiście zamieniła kilka słów z ojcem, ale wciąż jakby się nawzajem obchodzili dookoła. W głębi ducha oboje wiedzieli,

że to drugie bardzo pragnie rozmowy, ale od czego zacząć i jak

ją dalej ciągnąć, nie mieli pojęcia. Nie potrafili przełamać tego, co tak ich ze sobą wiązało, a jednocześnie uniemożliwiało komunikację. Kristine mogła odnotować tylko jedno zwycięstwo: valium spłynęło w toalecie, zamiast niego pojawił się alkohol. Ojciec przyglądał jej się z lękiem, ale nie protestował, kiedy zapasy czerwonego wina się skończyły i poprosiła, żeby kupić więcej. Dzień później w spizarce pojawiły się dwie nowe skrzynki.

Dzwonili zaniepokojeni przyjaciele. Kristine od tygodnia nie była na wykładach, co zdarzyło się pierwszy raz od czterech lat. Ale umiała nad sobą zapanować, beztróskim głosem skarżyć się na paskudną gripę i zapewniać, że nie, nie chce żadnych odwiedzin, bo boi się, że kogoś zarazi. Cześć, cześć, niedługo się widzimy. Ani słowa o tym strasznym. Nie było nic do powiedzenia. Nie mogła znieść nawet myśli o uwadze, jaką by jej poświęcono. Zbyt świeżo w pamięci miała studentkę weterynarii, która dwa lata temu wróciła na zajęcia zaledwie po kilku dniach nieobecności. Najbliższymi przyjaciółom wyznała, że zgwałcił ją kolega ze studiów podczas mocno zakrapianej imprezy, i wkrótce wiedzieli o tym wszyscy. Policja umorzyła sprawę, a dziewczyna od tamtej pory zaczęła zmieniać się w zasuszony kwiat. Kristine bardzo jej żałowała. Razem ze znajomymi ubolewała nad jej losem i szerokim łukiem omijała przystojniaka z Bærum, ale nigdy nie zaoferowały jej pomocy. Przeciwnie, można było odnieść wrażenie, że jakieś nagle onieśmienie kazało im trzymać się od niej z daleka.

Kristine Håverstad nie chciała stać się taka jak ona.

Najgorsze było patrzeć na ojca. Na tego silnego, dumnego mężczyznę, który zawsze był przy niej i do którego biegła, kiedy

świat okazywał się okrutny. Poczucie winy związane z sytuacjami, gdy do niego nie przyszła, żeby podzielić się swoim fantastycznym sukcesem, który należało uczcić, wypełzało teraz z zakamarków umysłu i zalewało ją od środka. Nigdy



wcześniej się nie zastanawiała, jakim ciężarem musiało być dla niego jej samotne wychowywanie. Zawsze miała świadomość, że w gruncie rzeczy to ona nie pozwoliła mu związać się z inną kobietą. Czuła się jednak usprawiedliwiona, była przecież mała, należało ją brać pod uwagę, a nie chciała nowej matki. Myśl o tym, że być może on potrzebował nowej żony, pojawiła się, dopiero gdy Kristine dorosła. Głęboko się tego wstydziła. Poczucie, że gwałciciel ją zniszczył, nie było wcale najgorsze. Najgorsza była świadomość, że zniszczył ojca.

Zgłosiła się do pracownicy opieki społecznej. Kobieta wyglądała na typową przedstawicielkę tej instytucji i tak się zachowywała, choć najwyraźniej uważała się za psychiatrę. Te wizyty nie miały sensu. Gdyby Kristine Håverstad nie; wiedziała, jak ważne jest nieuleganie rezygnacji, na pewno więcej by się z nią nie spotkała. Ale musiała dać sobie szansę.

Postanowiła wybrać się do domku letniskowego. Nie zamierzała zabierać ze sobą dużo rzeczy. Planowała, że wyjedzie najwyżej na kilka dni. Żywność mogła kupić w wiejskim sklepiku. Ojciec prawie się ucieszył, gdy powiedziała mu o swoich planach. Wręczył jej sporą sumę i zachęcał, żeby została na wsi przez jakiś czas. Mówił, że ma dużo pracy. Dołożył sobie nawet jedzenia przy kolacji. W ciągu ostatniego tygodnia wyraźnie schudł. Miał z czego, więc za bardzo nie było tego widać, ale zauważyła, że jego ubrania są luźniejsze. Poza tym zmieniła mu się twarz. Może nie wyszczuplała, ale rysy mu się wyostrzyły, a

zmarszczki pogłębiły. Jej ubyło trzy kilo. To były trzy kilogramy, których już wcześniej jej brakowało.

Wyjazd miał być w zasadzie próbą sprawienia ojcu radości, chociaż nie miała szczególnej ochoty ruszać się z domu. Poza tym jej szef bardzo się rozłościł, kiedy zadzwoniła z wiadomością, że choroba nie odpuszcza, nie przyjdzie więc do pracy jeszcze przez kilka dni. Praca na zastępstwo w Błękitnym Krzyżu pomagającym alkoholikom nie była ani dobrze płatna, ani szczególnie interesująca. Kristine nie bardzo umiała wyjaśnić,

dlaczego trzyma się jej już od ponad roku. Lubiła alkoholików, może dlatego. To najwdzięczniejsi ludzie na świecie.

Na Dworcu Centralnym było dużo ludzi. Musiała odstać w kolejce blisko dwadzieścia minut, zanim na wyświetlaczu LCD pojawił się wreszcie jej numer. Kupiła bilet i skierowała się do poczekalni. Do odjazdu pociągu zostało jeszcze dziesięć minut.

Przeszła przez hol i zajrzała do kiosku sieci Narvesen. Wszystkie tabloidy miały niemal identyczne pierwsze strony. Wszystkie krzyczały o zwłokach kobiety znalezionych w zapuszczonym ogrodzie. Podobno policja przerzuciła na to śledztwo całe siły. Potrafiła to sobie wyobrazić. Na pewno nad jej sprawą już nie pracowano. Rano zadzwoniła do adwokatki Lindy Løvstad, żeby spytać, czy jest coś nowego. Prawniczka przeproszała, ale nie miała nic do przekazania. Obiecała jednak, że będzie ją informować.

Kristine Håverstad wzięła egzemplarz „Arbeiderbladet”, położyła na ladzie odliczoną kwotę i ruszyła na peron. Idąc, zerkała do gazety i o mało się nie przewróciła, kiedy potknęła się o czyjąś torbę. Żeby się to nie powtórzyło, schowała gazetę.

Wtedy go zobaczyła. Wstrząśnięta i sparaliżowana znieruchomiała na kilka sekund. Żaden mięsień nawet jej nie drgnął. To był on. Gwałciec. Prawdziwy, żywy, siedł przez Dworzec Centralny zajęty rozmową z jakimś mężczyzną. Najwyraźniej powiedział coś zabawnego, bo ten drugi odchylił głowę i serdecznie się roześmiał.

Gwałtowne drżenie rozpoczęło się od kolan i wolno przemieszczało w górę ud. Kristine Håverstad z trudem doszła do ławki i osunęła się na nią, odwrócona tyłem do tamtego. Ale nie tylko konfrontacja z faktem, że on naprawdę żyje, tak nią wstrząsnęła. Bardziej wzburzyło ją to, że teraz już wiedziała, gdzie go szukać.

\*\*\*

Mniej więcej w tym samym czasie ojciec Kristine wyglądał przez okno z mieszkania córki. Kamienica naprzeciwko nie

była tak odremontowana. Od fasady odpadły duże płyty tynku. W dwóch miejscach zauważył szpary przy oknach. Wszystkie mieszkania jednak wydawały się zajęte. Wiele sprawiało przyjemne wrażenie, przynajmniej z daleka. W żadnym nie dostrzegł żadnego ruchu. Większość lokatorów z pewnością wyszła do pracy. Nagle w jednym z okien na drugim piętrze lekko na ukos z lewej strony zauważył jakąś postać. Chyba mężczyznę. Z położenia jego twarzy w stosunku do parapetu można było wywnioskować, że człowiek ten siedzi w głębokim fotelu. Musiał mieć doskonały widok na mieszkanie Kristine.

Finn Håverstad poderwał się i wybiegi. Zamknął drzwi na główny zamek i dwa dodatkowe, które osobiście na próżno zainstalował. Na ulicy szybko obliczył, który dzwonek odpowiada interesującemu go mieszkaniu. Nie był oznakowany, ale zaryzykował. Drugie piętro z lewej strony. Trzeci dzwonek od dołu w lewym rzędzie. Nikt się nie odezwał, ale po kilku sekundach ktoś otworzył domofonem drzwi. Håverstad spróbował je uchylić. Ustąpiły bez protestów.

Klatka schodowa była równie zniszczona jak fasada budynku, ale pachniało tu świeżością i mydłem. Potężny mężczyzna zdecydowanym krokiem wszedł na drugie piętro. Drzwi były niebieskie. Od klamki w górę miały wstawione matowe szybki. Przy dzwonku wisiała nieduża wizytówka przymocowana pinezką z czerwonym łebkiem. E. Tylko tyle na niej napisano. E. Nic więcej. Zadzwonił.

Za drzwiami dal się słyszeć gwałtowny ruch, potem zapadła cisza. Håverstad spróbował jeszcze raz. Znów szamotanina. Nagle drzwi się otworzyły. Stał w nich mężczyzna w nieokreślonym wieku. Miał w sobie ową niezwykłą bezpłciowość, która często pojawia się u dziwaków. Twarz zwyczajna, ani brzydka, ani ładna, prawie bez zarostu, o gładkiej, czystej, bladej cerze. Mimo upału ubrany był w wełniany sweter w ludowy wzór.

- E - powiedział, wyciągając chłodną rękę. - Nazywam się E. Czego chcesz?

Håverstad był tak zdziwiony, że ledwie wydusił z siebie, z jaką

sprawą przyszedł. Zresztą nie miał wiele do powiedzenia.

- Eee... - zaczął, ale zaraz uświadomił sobie, że mężczyzna w swetrze mógł uznać, iż po prostu powtarza jego imię. - Chciałem tylko o czymś porozmawiać.

- A o czym? - Dziwak nie był wcale odpychający, tylko obojętny.

- Zastanawiam się, czy nie obserwujesz sąsiedztwa - spróbował Håverstad, unikając pytania wprost.

Było to najwyraźniej dobre posunięcie, bo kącik ust E się poruszył, co świadczyło chyba o zadowoleniu.

- Proszę wejść - powiedział z grymasem, który mógł przypominać uśmiech.

Odsunął się na bok i Håverstad wszedł do środka. Mieszkanie lśniło czystością, ale wyglądało na opuszczone. Niewiele dowodziło, że to czyjś dom. W kącie stał ogromny telewizor, przy nim pojedyncze krzesło. W salonie nie było kanapy ani stołu. Pod oknem, zresztą bez zasłon, Håverstad zauważył fotel, w którym mężczyzna najprawdopodobniej siedział, kiedy ten dostrzegł go z mieszkania córki. Wysłużony zielony uszak. Wokół mnóstwo kartonów, jakie znał z własnego archiwum. Brązowe solidne pudła ustawione były równiutko wokół fotela niczym wyprężeni na baczność kancjaści żołnierze ochraniający twierdzę. Na siedzeniu leżała tabliczka z klipsem i przyczepionym do niego długopisem.

- Tutaj mieszkam - wyjaśnił E z umiarkowanym zadowoleniem. - Tam, gdzie mieszkałem wcześniej, było lepiej, ale matka umarła i musiałem się przeprowadzić. - Najwidoczniej przypomniało mu się, że z tego powodu zasługuje na współczucie, bo na jego obojętnej twarzy pojawił się cień smutku.

- Co masz w tych pudłach? - spytał Håverstad, pokazując na dwadzieścia kilka kartonów. - Zbierasz coś?

E spojrział na niego podejrzliwie.

- Owszem, faktycznie, zbieram - odparł, najwyraźniej nie zamierzając wyjawiać co.

Håverstad musiał zaatakować od innej strony.

- Pewnie sporo rzeczy obserwujesz - rzucił, z ciekawością podchodząc do okna.

Chociaż szyba wyglądała na starą, była równie czysta jak reszta mieszkania. Lekko pachniała cytryną.

- Chyba wygodnie ci się tu siedzi - ciągnął, nie patrząc na mężczyznę, który sięgnął po tabliczkę z klipsem i przycisnął ją do piersi jak największy skarb. Może rzeczywiście tak było. - Obserwujesz coś konkretnego?

Mężczyzna w ludowym swetrze sprawiał wrażenie zdeorientowanego. Håverstad przypuszczał, że niezbyt wiele osób zwracało sobie głowę rozmową ze świrem, a on prawdopodobnie pragnął kontaktu. Postanowił dać mu tyle czasu, ile będzie potrzebował.

- Hm - chrząknął E. - Sporo się dzieje.

Z jednego pudła wystawał wycinek z gazety. Uśmiechała się z niego połówka twarzy pewnej pani polityk.

- Interesujesz się polityką? - spytał Håverstad z uśmiechem i nachylił się, żeby zobaczyć, co to za tekst.

E go uprzedził.

- Nie ruszaj! - warknął i odsunął pudło sprzed nosa Håverstada. - Nie dotykaj moich rzeczy!

- Ależ oczywiście, przepraszam.

Podniósł obie ręce w geście poddania i pomyślał, że chyba powinien już sobie iść.

- Ale to możesz obejrzeć - oświadczył nagle E, jakby czytał mu w myślach i właściwie stwierdził, że mimo wszystko brak mu towarzystwa. Sięgnął po pudło numer dwa i przesunął je w stronę gościa. - Recenzje filmowe - wyjaśnił.

Rzeczywiście były to recenzje filmów idealnie wycięte z gazet i naklejone na kartki A4. Pod każdym wycinkiem widniały nazwa gazety i data ukazania się tekstu, starannie wypisane czarnym cienkim flamastrem.

- Często chodzisz do kina?

Håverstada niezbyt interesowały zwyczaje E, ale przynajmniej był to jakiś początek rozmowy.

- Do kina? Ja? Nigdy. Ale zawsze po jakimś czasie pokazują te filmy w telewizji. Dobrze coś o nich wiedzieć.

Oczywiście, świetne wyjaśnienie. Ta pogawędka to jakiś absurd, powinien już iść.

- To też możesz obejrzeć.

E zachowywał się teraz po przyjacielsku. Odważył się odłożyć tabliczkę, co prawda odwróconą tyłem, i podał gościowi kolejne pudło. Było cięższe od poprzedniego. Håverstad rozejrzał się, gdzie mógłby usiąść, ale właściwie pozostawała jedynie podłoga. Na zielonym fotelu leżała tabliczka, a krzeselko przed telewizorem mogło nie utrzymać tak potężnego ciała jak jego. Przykucnął więc i otworzył pudło. E uklęknął obok niego jak przejęte dziecko.

To były numery samochodów. Starannie wypisane na kartkach w trzech kolumnach. Każdy dokładnie jeden pod drugim. Wyglądało to wręcz na pismo maszynowe.

- Numery rejestracyjne - wyjaśnił E niepotrzebnie. - Zbieram już czternaście lat. Szesnaście pierwszych stron jest stąd, reszta stamtąd, gdzie mieszkałem... wcześniej. - Znów przywołał na twarz wyraz współczucia dla samego siebie, ale tym razem zapomniał o nim szybciej. - Spójrz tutaj - pokazał. - Żaden z tych numerów się nie powtarza. To by było oszustwo. Są wyłącznie nowe. I tylko samochody, które widzę z okna. A tu - wskazał jeszcze raz - tu jest data. W niektóre dni udaje mi się zebrać nawet pięćdziesiąt, a kiedy indziej pojawiają się tylko takie, które już mam. W weekendy i święta jest mały ruch.

Håverstad poczuł, że oblewa go pot. Serce waliło mu jak zepsuty silnik kutra rybackiego. Usiadł na podłodze, żeby dodatkowo go nie obciążać.

- Czy przypadkiem nie masz... - wydyszał. - Może przypadkiem masz jakieś numery z ubiegłego weekendu? Z dwudziestego dziewiątego maja?

E odszukał kartkę. Na górze w lewym rogu wypisana była data. Sobota, 29 maja. Pod nią siedem numerów. Tylko siedem!

- Ale to są wyłącznie samochody, które tu parkowały - tłu-

maczył E z zapalem. - To oszustwo zapisywać takie, które tylko przejeżdżają.

Dentyście trzęsły się ręce. Nie czuł żadnej radości z tego odkrycia, jedynie martwą satysfakcję. Mniej więcej taką jak po udanym zabiegu wypełnienia korzenia, kiedy udało mu się za bardzo nie dokuczyć pacjentowi.

- Jak sądzisz, mogę je sobie wynotować?

E przez chwilę miał wątpliwości, ale w końcu wzruszył ramionami i wstał.

- Dobrze.

Pół godziny później Finn Håverstad siedział już we własnym domu, przed nim leżała lista siedmiu numerów rejestracyjnych i telefon. Kristine na szczęście pojechała do domku letniskowego, czas go nie gonił. Teraz chodziło tylko o to, by się dowiedzieć, które z tych numerów należały do czerwonych samochodów. I kto był ich właścicielem. Zadzwonił do informacji, gdzie podano mu telefon do Centralnego Rejestru Ruchomości w Brønnøysund, a także do pięciu komend policji w rejonie Østlandet, i zabrał się do pracy.

\*\*\*

Szok minął. Zastąpił go ciężki, przynoszący ulgę spokój. Była przekonana, że gwałcieł wraz ze swoim towarzyszem zszedł na któryś z peronów. Opuściła dworzec i stojąc przed nim na placyku wykorzystywanym przez taksówkarzy do zawracania, popatrzyła na miasto. Po raz pierwszy od tygodnia zwróciła uwagę na pogodę. Za ciepło się ubrała. Ściągnęła bluzę przez głowę i wepchnęła ją do torby. Przez chwilę żałowała, że nie wzięła plecaka. Torba okazała się za ciężka na noszenie jej na gołym ramieniu.

Wyjątkowo na postoju taksówek nie było kolejki. Wszyscy, którzy wychodzili z chłodnego budynku dworca i nie mieli za dużo bagażu, robili tak jak ona - zamierali na moment, zachwyceni cudownym ciepłem, przeciągali się i decydowali pokonać dalszą drogę piechotą. Podeszła do ciemnoskórego tak-

sówkarza, który oparty o maskę samochodu, czytał zagraniczną gazetę. Podała mu adres ojca i spytała, ile kosztowałby dojazd. Mężczyzna odpowiedział, że około stu koron. Wręczyła mu więc setkę, upewniła się, czy dobrze zrozumiał adres, i poprosiła, żeby schował torbę pod schodami.

- To taki duży biały dom z zielonymi węglami - zawołała jeszcze przez otwarte okno, gdy wrzucił bieg.

Owłosiona ręka pomachała na potwierdzenie i mercedes odjechał.

Kristine piechotą ruszyła w stronę Homansbyen.

Opanowała ją intensywna nienawiść do tego mężczyzny. Odkąd zniszczył ją w tamten sobotni wieczór, odległy już o całe wieki, czuła wyłącznie bezsilność i żal. Godzinami chodziła po ulicach, zanurzona w wirze emocji, których nie umiała ogarnąć. Dwa dni temu stanęła tuż przy torach stacji Majorstua, na zakręcie za przejściem podziemnym, gdzie była niewidoczna dla wszystkich, również dla maszynisty. Znieruchomiła słuchała stukotu wagonów. Kiedy pociąg nagle wyłonił się zza zakrętu, nie dotarło do niej nawet jego przenikliwe trąbienie.

Nadal stała jak skamieniała, nie mogąc nawet zdecydować, czy rzucić się na szyny, czy nie. Wagony przeleciały ze świstem, a wzniecony przez nie powiew powietrza był tak silny, że musiała zrobić krok w tył, by utrzymać równowagę. Dzieliło ją od nich zaledwie kilkadziesiąt centymetrów.

Ale to nie ona zasługiwała na śmierć, tylko on.

Doszła już do swojego mieszkania. Przez moment się wahała, w końcu jednak przekreśliła klucz w zamku.

Mieszkanie wyglądało jak dawniej. Zdziwiło ją, że sprawia wrażenie tak przytulnego i bliskiego. Obeszła je wolno, dotykając swoich rzeczy; gładziła je i czuła, że wszystko pokryła delikatna warstwa kurzu. W ostrym świetle wpadającym przez okno widziała jego drobinki tańczące w powietrzu z radości, że wróciła. Ostrożnie otworzyła lodówkę i poczuła nieprzyjemny



zapach. Wyrzuciła zepsute produkty, porastające już pleśnią: ser, dwa pomidory i ogórek, który zapadł się, kiedy wzięła go do ręki. Worek ze śmieciami postawiła pod drzwiami, by o nim nie zapomnieć przy wychodzeniu.

Drzwi do sypialni były otwarte. Z wahaniem skierowała się do przedpokoju i stanęła tak, że drzwi zasłoniły jej widok. Po chwili namysłu podjęła decyzję i weszła.

Ciekawa była, kto tak poskładał koldrę. Starannie złożona razem z poduszkami leżała na materacu w nogach łóżka. Pościel, którą sama zerwała, zniknęła. No tak, pewnie zabrali ją do zbadania.

Właściwie wcale tego nie chciała, ale jej spojrzenie mimowolnie powędrowało ku drewnianym gaikom zdobiącym oba słupki łóżka. Już z przedpokoju widziała ciemną rysę zostawioną przez drut, który ktoś usunął. W całym mieszkaniu nie znalazła niczego, co by świadczyło o dramacie tamtej soboty, dwudziestego dziewiątego maja. Została tylko ona.

Na próbę usiadła na łóżku. Nagle się poderwała, zrzuciła koldrę na podłogę i zaczęła wpatrywać się w środek materaca. Tam jednak też nie było niczego oprócz kilku starych plam, których pochodzenie dobrze знаła. Znów usiadła. Nienawidziła tego człowieka. Przyjemna, wyzwalająca i przesłaniająca wszystko nienawiść zdawała się podtrzymywać jej kręgosłup niczym stalowa belka. Poczula to dopiero dzisiaj. Widok tego mężczyzny, prawdziwego, żywego, idącego tak, jakby nic się nie wydarzyło, jak gdyby jej życie było czymś nieważnym, co przypadkiem w sobotni wieczór obrócił w ruinę, okazał się błogosławieństwem. Miała teraz kogo nienawidzić.

Przestał być abstrakcyjnym potworem, któremu trudno nadać twarz. Do tej pory nie był człowiekiem, jedynie pojęciem, zjawiskiem, które zmieniło jej życie w pustynię jak huragan. Kataklizmem, przed którym nie można się ochronić, ale przecież zdarzającym się nieczęsto. Straszny, nieodwracalny i pozostającym poza wszelką kontrolą.

Teraz wszystko się zmieniło. To był mężczyzna. Człowiek, który podjął decyzję: wybrał jej życie. Mógł tego nie robić. Albo mógł to zrobić innej dziewczynie. Ale on przyszedł do niej. Z otwartymi oczami, w pełni świadom, zgodnie ze swoją wolą.

Telefon stał tam, gdzie zawsze, na sosnowym nocnym stoliku, obok budzika i powieści kryminalnej. Na samym dole półki, prawie na poziomie podłogi, leżała książka telefoniczna. Kristine prędko znalazła numer i wstukowała osiem cyfr. Kiedy wreszcie dodzwoniła się tam, gdzie - jak sądziła - powinna, w słuchawce odezwała się życzliwa kobieta.

- Dzień dobry - powiedziała Kristine. - Nazywam się... nazywam się Sunniva Kristoffersen - zaczęła. - Byłam dzisiaj na Dworcu Wschodnim, to znaczy nie, na Centralnym. Pojawił się pewien drobny problem i jeden z waszych pracowników pomógł mi w bardzo miły sposób. Był tam o dziesiątej trzydzieści. To taki wysoki przystojny mężczyzna, bardzo szeroki w barach. Jasne włosy, trochę przerzedzone. Bardzo chciałabym mu podziękować, ale zapomniałam, jak się nazywa. Wie pani, o kogo może chodzić?

Kobieta domyśliła się od razu. Podała jej nazwisko i spytała, czy ma coś przekazać.

- Nie, nie, dziękuję - odparła Kristine szybko. - Chyba wyśle mu kwiaty.

\*\*\*

Przed kilkoma laty na pewnym przyjęciu Finn Håverstad poznał reportera z wieczornych wiadomości, odznaczonego największą dziennikarską nagrodą Narvesena za polowanie na pewnego armatora, który zrobił szwindel na państwowych funduszach gwarancyjnych. Reporter okazał się sympatyczny, a rozmowa z nim - bardzo interesująca. Wcześniej dentyście wydawało się, że dziennikarstwo śledcze polega na ukradkowych spotkaniach z podejrzanymi informatorami, odbywających się w dziwnych porach. Redaktor uśmiechnął się, gdy Håverstad o to spytał. „Telefon. Moja praca w dziewięćdziesięciu procentach polega na rozmowach telefonicznych”.

Håverstad zaczynał to teraz rozumieć. Niewiarygodne, ile informacji można zebrać dzięki genialnemu wynalazkowi Bella. W notatniku przed sobą miał już wypisanych sześć nazwisk właścicieli samochodów, które parkowały na krótkiej uliczce w Homansbyen nocą z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty maja.

Cztery auta należały do kobiet, ale to nie musiało niczego oznaczać. Z samochodu mógł skorzystać mąż, syn, a nawet złodziej. Na razie jednak odłożył je na bok. Został tylko jeden numer. Zadzwoił do komendy w Romerike.

- Miałem dziś do czynienia z bardzo bezczelną osobą - pełnym urazy głosem oświadczył wyraźnie niechętnemu policjantowi na drugim końcu linii. - Zaparkowałem samochód przy dworcu, a kiedy wróciłem, miał wgniecenie i długą rysę na lakierze. Na szczęście pewna młoda kobieta zapisała numer sprawcy. A ten łotr oczywiście nie zostawił żadnej informacji. Czy pan może mi pomóc?

Funkcjonariusz rozumiał problem. Zanotował numer, powiedział „chwileczkę” i dwie minuty później podał markę auta, nazwisko właściciela i jego adres. Finn Håverstad wylewnie podziękował. Teraz miał już wszystkich.

Poszukiwania zaczął od Brønnøysund, ale dodzwonienie się tam graniczyło z cudem. Najskuteczniejsza okazała się historia ze zniszczonym samochodem. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, zadzwonił na siedem komend, bo przecież nie mógł pytać o siedmiu sprawców wgniecenia. Jedynym minusem było to, że policyjne rejestry najwyraźniej nie obejmowały kolorów aut. Poza tym musiał jeszcze zweryfikować adresy. Mogły się przecież zmienić od momentu zarejestrowania samochodów. Dlatego na wszelki wypadek zadzwonił też do Biura Ewidencji Ludności. Sprawdzenie ich zajęło mu nieznośnie dużo czasu.

Ale teraz miał już wszystko, nawet daty urodzenia, choć wcześniej nawet nie przyszło mu do głowy, by o nie zapytać.

A więc cztery kobiety. Na razie odłożył je na bok. Jeden z mężczyzn urodził się w roku 1926. Za stary. Oczywiście mógł

mieć syna, lecz i jego postanowił na razie pominąć. Zostało mu dwóch. Obaj mieszkali w rejonie Oslo. Jeden w Bærum, drugi na Lambertseter.

Nawet teraz jednak nie czuł radości. Przeciwnie, ten straszliwy ssący ból wciąż tkwił gdzieś pod sercem. Skórę miał odrętwiałą, jakby wszelkie doznania z całego ciała zgromadziły się w rejonie brzucha. Był straszliwie zmęczony. Prawie nie sypiał. Ale w końcu miał przynajmniej nad czym pracować. Musi znaleźć kogoś, kogo będzie mógł nienawidzić. Finn Håverstad schował swoje notatki do tylnej kieszeni spodni i wyruszył, żeby bliżej się przyjrzeć tym dwóm mężczyznom.

\*\*\*

Cecilie bez większych protestów zaakceptowała jeszcze jeden poświęcony pracy wieczór. Była w znakomitym humorze. W przeciwieństwie do Hanne. Dochodziła już siódma, a ona siedziała w centrum dowodzenia razem z Håkonem Sandern i komisarzem Kaldbakkenem. Pozostali poszli już do domu. Mimo że nad głowami wisiał im nieuchronny termin, nie było powodu tak zamęczać ludzi już teraz.

Hanne Wilhelmsen wierna swoim zwyczajom rozrysowała całą sprawę. Na środku pokoju stała rozkraczona biała tablica, na której policjantka naszkicowała mazakiem oś czasu rozpoczynającą się ósmego maja, a kończącą na dniu dzisiejszym. Cztery sobotnie masakry w ciągu pięciu tygodni. Dwudziestego dziewiątego maja spokój.

- Możliwe, że po prostu jej nie odkryliśmy - zauważył Håkon Sand. - A odbyć się tak czy inaczej mogła.

Kaldbakken wyglądał tak, jakby się z nim zgadzał. Może po prostu chciał wrócić do domu. Był zmęczony, a w dodatku nabawił się letniego przeziębienia, które jego i tak już przeciążonym drogom oddechowym zdecydowanie nie wychodziło na dobre.

- Jest jeszcze inna możliwość. - Hanne potarła twarz. Podeszła do wąskiego okienka i zapatrzyła się w letni wieczór, powoli spowijający stolicę. - Jestem pewna! - przerwała nagle

milczenie, obracając się przodem do kolegów. - W sobotę dwudziestego dziewiątego coś musiało się wydarzyć. Tylko że nie była to sobotnia masakra. - Mówiła z narastającym ożywieniem, jakby bardziej zależało jej na przekonaniu samej siebie niż wyjaśnieniu swojego toku myślenia kolegom. - Kristine Håverstad! - wykrzyknęła nagle. - Dwudziestego dziewiątego maja zgwałcono Kristine Håverstad!

Nikt nie zaprzeczył, ale też mężczyźni nie rozumieli, co ten gwałt może mieć wspólnego ze sprawą.

- Musimy jechać! - Hanne prawie krzyknęła. - Spotkamy się w mieszkaniu Kristine!

\*\*\*

To zdecydowanie nie mógł być ten pierwszy, ten z Lambertseter. Nie miał czerwonego samochodu. Staruszkowi z pierwszego piętra mogło się zresztą coś pomieszać. Wprawdzie zauważył czerwone auto, ale z notatek E jasno wynikało, że przez część tamtej nocy parkowało na tej ulicy więcej obcych samochodów.

Decydujące znaczenie miał wygląd mężczyzny. Wpół do szóstej wrócił do domu. Finn Håverstad od razu zauważył zbliżające się volvo. Wyłoniło się zza zakrętu w spokojnej dzielnicy mieszkaniowej poprzecinanej wąskimi drózkami. Samochód był świeżo umyty, a tablice rejestracyjne czytelne. Kierowcy najwidoczniej bardzo się spieszyło, bo nie zawracał sobie głowy wstawieniem auta do garażu. Kiedy z niego wysiadł, Finn Håverstad zobaczył go bardzo wyraźnie. Stał piętnaście metrów od niego.

Mężczyzna miał wprawdzie około metra osiemdziesięciu pięciu centymetrów, ale był prawie zupełnie łysy, a ciemny wianuszek otaczający czołową część głowy skreślał go jako blondyna. Poza tym był gruby.

Został więc jeszcze jeden. Ten z Bærum. Finn Håverstad obawiał się, że nie uda mu się dzisiaj go zobaczyć. Było już po siódmej, więc facet najprawdopodobniej dawno wrócił do domu z pracy.

W Bærum Håverstad zaparkował wśród innych aut wzdłuż średnio uczęszczanej drogi. Mężczyzna mieszkał w szeregowcu z wjazdem do garażu od ulicy. Dentysta nie bardzo wiedział, jak się zachować. Kręcąc się w koło, po pewnym czasie ściągnąłby na siebie uwagę, bo okolica była pusta, a pojawiający się na niej ludzie wyraźnie zmierzali ku określonemu celowi. W pobliżu nie dostrzegł żadnego miejsca, w którym dłuższy pobyt wyglądałby naturalnie. Nie było ławki, by mógł na niej przysiąść z gazetą, ani nawet placu zabaw, gdzie mógłby się przyglądać dzieciom. Zresztą akurat to w dzisiejszych czasach też nie byłoby dobrym posunięciem.

Problem rozwiązał się sam, kiedy z jednego z domów wyszedł młody chłopak i usiadł za kierownicą golfa zaparkowanego w miejscu, skąd Håverstad miałby doskonały widok na podjazd. Gdy tylko golf odjechał, przestawił samochód, włączył radio, przyciszył je, usiadł wygodniej i zaczął układać alternatywny plan. Mógł zadzwonić do drzwi i o coś spytać albo zaoferować coś na sprzedaż. Spojrzał na siebie i stwierdził, że niestety nie bardzo przypomina akwizytora. Poza tym nie miał żadnego towaru.

Za dwadzieścia ósma podjechał samochód. Jaskrawoczerwony opel astra. Miał przyciemniane szyby, dlatego Håverstad nie mógł dojrzeć kierowcy. Drzwi garażu otwierały się automatycznie, bo gdy opel skręcił na podjazd, brama zaczęła sunąć w górę. Najwyraźniej nieco zbyt wolno dla kierowcy, bo niecierpliwie przygazował, czekając, aż otwór stanie się na tyle duży, by zmieścić się w nim samochód.

Kilka chwil po zniknięciu auta w garażu mężczyzna wyszedł, ale od razu odwrócił się w stronę drzwi. Trzymał coś w rękę, zapewne pilota do bramy, bo właśnie zaczęła opadać. Potem wąską ścieżką potruchtal w kierunku wejścia do domu.

To był on. Gwałciciel. Håverstad nie miał nawet cienia wątpliwości. Po pierwsze, co do joty pasował do rysopisu przekazanego przez Kristine, a po drugie, o wiele ważniejsze, Finn Håverstad to czuł. Zrozumiał to już w momencie, gdy tamten

wyszedł z garażu i się odwrócił. Twarz ledwie mignęła mu przed oczami, ale to wystarczyło.

Ojciec Kristine Håverstad, brutalnie zgwałconej w swoim mieszkaniu dwudziestego dziewiątego maja, już wiedział, kto skrzywdził jego córkę. Znał jego nazwisko, adres i datę urodzenia. Wiedział, jakim samochodem jeździ i jakie ma zasłony. Wiedział nawet, że niedawno skosił trawnik.

\*\*\*

- Nie wyjechałaś? - spytał zdumiony, gdy Kristine wróciła do domu, akurat kiedy słońce zachodziło. - Przecież miałaś być trochę za miastem!

Kiedy się odwróciła, żeby mu odpowiedzieć, w piersi zakłuło go mocniej niż zwykle. Mimo swojego wzrostu wyglądała jak pisklą. Ramiona miała opuszczone, a oczy zapadły się w czaszkę. Wyraz ust coraz bardziej przypominał jego zmarłą żonę. To było nie do zniesienia.

- Usiądź na chwilę - poprosił, nie czekając na wyjaśnienia. - Usiądź tu trochę. - Poklepał kanapę obok siebie.

Kristine wybrała krzesło dokładnie naprzeciwko. Ojciec rozpaczliwie usiłował pochwycić jej spojrzenie, ale się nie dało.

- Gdzie byłaś? - spytał na próżno.

W końcu poszedł po coś do picia. O dziwo, Kristine nie wzięła kieliszka z czerwonym winem, który jej podał.

- Nie mamy piwa?

Nie mamy piwa. Przynajmniej mówiła o nich w liczbie mnogiej. To już coś. Wrócił do kuchni, by zamienić kieliszek na szklankę, z której wystawała piana. Córka wypila połowę jednym haustem.

Godzinami chodziła po ulicach. O tym mu nie powiedziała. Była w swoim mieszkaniu. O tym też nie wspomniała. Poza tym dowiedziała się, kto to zrobił. O tym nie zamierzała mu mówić.

- W mieście - odparła w końcu cicho. - Byłam w mieście. - Potem rozłożyła ręce i wstała, nieruchomiejąc w pełnej rozpaczynie. - Co ja mam zrobić, tato? Co ja mam zrobić?

Nagle gorąco zapragnęła zdradzić mu, co tego dnia widziała. Chciała przerzucić wszystko na niego, oddać w jego ręce wszystkie stery, przekazać całą odpowiedzialność, całe swoje życie. Już się zbierała w sobie, gdy nagle zobaczyła, jak on zgiął się wpół i spuszcza głowę między kolana.

Kristine Håverstad widziała płaczącego ojca tylko dwa razy w życiu. Jeden był dalekim, zatartym już wspomnieniem z pogrzebu matki. Drugi zdarzył się zaledwie trzy lata temu, kiedy nagle, nieoczekiwanie, w wieku zaledwie siedemdziesięciu lat, po błahej operacji prostaty umarł dziadek. Gdy teraz zobaczyła jego Izy, wiedziała, że nie może mu o niczym powiedzieć. Usiadła przed nim i przytuliła do siebie jego wielką głowę. Nie trwało to długo. Finn Håverstad nagle się podniósł. Lekko otarł oczy i ujął w dłonie szczupłą twarz córki.

- Zabiję go - oświadczył cicho.

Nieraz głęboko czymś poirytowany krzyczał, że zabije ją albo kogoś. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bezsensowne były te słowa. Bezsensowne, skoro nie myśli się tak naprawdę. Ale w tej nieruchomej, mrocznej chwili poczuła wyraźnie, że tym razem ojciec mówi poważnie. Ogarnęło ją przerażenie.

\*\*\*

Hanne Wilhelmsen czekała na nich ponad dziesięć minut. Oparta o motocykl co dwie minuty niecierpliwie zerkła na zegarek. Kiedy koledzy wreszcie się pojawili pod szarą kamienicą, niebo miało już ciemnoniebieski kolor wpadający w odcień indygo, który zapowiadał, że jutrzejszy dzień będzie co najmniej równie piękny.

- Spójrzcie tutaj! - powiedziała, kiedy Kaldbakken i Håkon Sand wcisnęli wreszcie nieoznakowany służbowy samochód w wąską lukę i podeszli do kamienicy. - Spójrzcie na to nazwisko! Wskazała na przycisk domofonu, przy którym nie było porządnie zamocowanej tabliczki, tylko karteczka przyklejona taśmą do szybki.

- Azylantka. Zupełnie sama.

Nacisnęła dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Zadzwoiła jeszcze



raz. I wciąż żadnej odpowiedzi.

Kaldbakken zacharczał zniecierpliwiony, nie pojmując, dlaczego został zmuszony do przyjazdu tutaj o tej porze. Jeśli Hanne Wilhelmsen miała im coś ważnego do powiedzenia, mogła przecież to zrobić w komendzie.

Jeszcze raz usłyszeli dźwięk dzwonka gdzieś w oddali, ale nic więcej się nie wydarzyło. Hanne wyszła na niewielki trawnik oddzielający fasadę budynku od chodnika i stając na palcach, zajrzała w ciemne okno. W środku nic się nie poruszało. Zrezygnowana dała znak kolegom, żeby wsiedli do samochodu. Kaldbakken, czekając na wyjaśnienia, zapalił papierosa. Hanne wsunęła się na tylne siedzenie, łokcie oparła na przednich fotelach, a brodę - na splecionych dłoniach.

- Co to wszystko ma znaczyć, Wilhelmsen? - spytał Kaldbakken, głosem, w którym słychać było ogromne zmęczenie.

A Hanne uświadomiła sobie, że potrzebuje jeszcze trochę czasu.

- Wy tłumaczę wam wszystko później - powiedziała. - Może jutro. No tak, to oczywiste. Jutro.

\*\*\*

Wiedział, kto to będzie w sobotę. Dzisiaj się zdecydował. Twierdziła, że jest z Afganistanu, ale on oczywiście wiedział, że kłamie. Doszedł do wniosku, że Pakistanka, ale ładniejsza niż zwykle.

Leżał w łóżku. Nie po jednej stronie wielkiego małżeńskiego łoża, tylko na środku, czując pod plecami miejsce styku dwóch materacy. Kołdry leżały na podłodze, a on był nagi. W obu rękach trzymał hantle, które regularnie i powoli odsuwał jak najdalej od siebie, by za moment zetknąć je w wyciągniętych rękach nad spoconą klatką piersiową. Dziewięćdziesiąt jeden - oddech, dziewięćdziesiąt dwa - oddech.

Już od dawna nie był taki szczęśliwy. Swobodny, wolny, pełen sił.

Wiedział, która to będzie. Dokładnie wiedział też, gdzie to

zrobi. Poza tym bardzo dobrze wiedział, co robi. Dotarł do setki i uniósł się do pozycji siedzącej. Ogromne lustro na przeciwległej ścianie pokazało mu to, co chciał zobaczyć. Wyszedł do łazienki.

\*\*\*

Z jakiegoś powodu nie ciągnęło jej do domu. Hanne Wilhelmsen siedziała na ławce przed budynkiem policji na Grønlandsleiret AA i zastanawiała się nad życiem.' Była zmęczona, ale nie senna. Kilka godzin temu związek między sobotnimi masakrami a zgwałceniem młodej ślicznej studentki medycyny wydawał jej się oczywisty, ale teraz pojawiły się wątpliwości.

Dobijało ją wrażenie, że nie może ruszyć z miejsca. A przecież pracowali tak ciężko, wykonywali odpowiednie czynności i pod wieloma względami byli skuteczni. Ale tak niewiele to przynosiło. Śledztwo było takie techniczne: szukali włosów, włókien i innych materialnych śladów. Oddawali do analizy każdą drobinę śliny, wczytywali się w niezrozumiałe raporty ekspertów na temat struktur DNA i grup krwi. To oczywiście było konieczne, ale absolutnie nie wystarczało. Sprawca grasujący w soboty nie zaliczał się do normalnych, ale za tym, co robił, kryła się jakaś absurdalna logika. Trzymał się jednego dnia tygodnia. Jeżeli hipoteza, że trzy inne cudzoziemki leżą gdzieś zakopane, była słuszna, to na dodatek wykazywał bystrość umysłu. Poza tym sam postanowił naprowadzić ich na ślad, w zasadzie mówiąc wprost, kogo skrzywdził.

Hanne Wilhelmsen w przeciwieństwie do większości swoich kolegów do pewnego stopnia szanowała psychologów. Chociaż uważała, że często wygadują bzdury, to musiała przyznać, że czasami potrafili mówić rozsądnie. Mimo wszystko psychologia była nauką, chociaż niezbyt konkretną. Wiele razy domagała się sporządzenia profilu psychologicznego poszukiwanych sprawców, ale teraz tego nie potrzebowała. Uświadomiła sobie nagle, że trudna europejska rzeczywistość już dawno dotarła do Norwegii, tylko oni nie chcieli tego dostrzec. Zbyt ich to przerażało. Dwadzieścia lat temu seryjni

zabójcy byli amerykańską domeną, w ciągu ostatnich dziesięciu lat często czytała o podobnych sprawach zdarzających się w Anglii. W historii norweskiej kryminalistyki nie było wielu takich przypadków. Koledzy z Halden rozwiązali właśnie jeden z nich: motywem zabójcy był przypuszczalnie zwyczajny brak pieniędzy. Kilka lat temu pewien młody człowiek zabił trzech współlokatorów, z którymi wynajmował mieszkanie na Slemdal, ponieważ dopominali się o trzydzieści tysięcy koron zaległego czynszu. Wcale nie był szaleńcem, tak przynajmniej stwierdzili biegli psychiatry sądowi.

Co napędzało sobotniego sprawcę? Mogła się tego jedynie domyślać. Z literatury fachowej wiedziała, że przestępcy mają mniej lub bardziej uświadomione pragnienie zostania złapanym. Całą sobą czuła, że w tym wypadku tak nie jest.

- Jemu sprawia przyjemność, kiedy może z nas zadrwić - powiedziała cicho.

- Siedzisz tu i sama ze sobą rozmawiasz?

Przestraszyła się tak, że aż podskoczyła.

Przed nią stał Billy T.

Przez moment patrzyła na niego przerażona, w końcu zaczęła się śmiać.

- Zaczynam się starzeć.

- No to starzej się w spokoju, beze mnie - rzucił Billy T, i wsiadł na motocykl, ogromną hondę goldwing.

- Nie rozumiem, jak możesz jeździć tym autobusem - zaśmiała się, zanim włożył kask.

Billy T, tylko popatrzył na nią drwiąco. Nie chciało mu się odpowiadać.

Nagle Hanne się poderwała i podbiegła do niego akurat w chwili, kiedy zapuszczał silnik. Nie usłyszał, co powiedziała, więc znów zdjął kask.

- Wracasz do domu? - spytała bez zastanowienia.

- Owszem. O tej porze niewiele jest innych możliwości - odparł, patrząc na zegarek.

- Może się gdzieś przejedziemy?

- A ten twój harley wytrzyma, że ktoś go zobaczy w towarzystwie japończyka?

Jeździli przez godzinę: Hanne przodem wśród ogłuszającego ryku, Billy T, za nią, z jedwabście miękkim burczeniem. Pokonali odcinek starej drogi na Moss aż do Tyrigrava i dopiero zawrócili. Sunęli przez ulice miasta i unosili ręce w obowiązkowym geście pozdrowienia dla wszystkich kowbojów w skórzanych kombinezonach zgromadzonych koło Tanum na Karl Johan, gdzie motocykle parkowały jeden przy drugim jak konie pod saloonem.

Zakończyli tuż przy Tryvann na ogromnym parkingu, na którym nie było ani jednego samochodu.

- Można powiedzieć wiele dziwnych rzeczy o tej wiosnie - stwierdził Billy T. - ale pogoda na motor jest świetna.

Przed nimi rozpościerało się Oslo. Brudne i zakurzone, z wciąż widoczną pokrywą spalin, chociaż zapadała już noc. Niebo nie było czarne, na takie należało poczekać do końca sierpnia. Tu i ówdzie dawało się dostrzec pojedyncze gwiazdy, cała reszta spadła na ziemię - od Gjelleråsen na wschodzie po Bærum na zachodzie miasto wyglądało jak dywan migotliwych światełek. Na horyzoncie widać było smoliste morze.

Na skraju parkingu, gdzie porośnięte krzakami zbocze zaczęło stromo opadać, stał biało-czerwony fragment zapor drogowej. Billy T, usadowił się na nim, rozsunął nogi i przywołał Hanne.

- Chodź do mnie - powiedział i wyciągnął do niej ręce.

Stała między jego nogami, plecami oparta o jego klatkę piersiową. Niechętnie pozwoliła się objąć. Był taki wysoki, że ich głowy znalazły się na jednym poziomie. Objął ją mocno i przytulił. Ku swemu zdumieniu poczuła, że się odpręża.

- Masz czasami dość bycia policjantką, Hanne? - spytał cicho. Lekko kiwnęła głową. Wszyscy czasami mieli dość. Prawdę mówiąc, zdarzało się to coraz częściej.

- Przyjrzyj się temu miastu - powiedział Billy T. - Jak myślisz,

ile przestępstw popełnia się właśnie teraz? A my tu siedzimy i nie możemy temu zaradzić - dodał po dłuższej chwili.

- Dziwne, że ludzie nie protestują - stwierdziła Hanne.

- Ależ protestują - odparł Billy T. - Protestują jak jasna cholera. Przecież codziennie lecą na nas gromy, w gazetach, podczas przerw na lunch, na imprezach. Nie jesteśmy za bardzo popularni. Ja ich świetnie rozumiem. Gorzej, kiedy skargi przestają wystarczać i ludzie biorą sprawy w swoje ręce.

Naprawdę przyjemnie było tak stać. Billy T, pachniał facetem i skórzaną kurtką, a wąsy łaskotały ją w policzek. Ujęła go za rękę i jeszcze mocniej się nimi owinęła.

- Po co ci te wszystkie tajemnice, Hanne? - spytał nagle cicho, prawie szeptem.

Poczuł, że natychmiast zeszywniała. Chciała się odsunąć, ale był na to przygotowany i mocno ją przytrzymał.

- Nie wygłupiaj się, posłuchaj mnie. Wszyscy wiedzą, że jesteś wspaniałą policjantką. Cholera, żaden gliniarz nie cieszy się taką sławą jak ty. Poza tym wszyscy cię lubią. Wszędzie się o tobie dobrze mówi.

Hanne wciąż próbowała się wyrwać. Nagle uświadomiła sobie, że stojąc tak, unika przynajmniej kontaktu wzrokowego, więc przestała się szarpać. Ale nie było jej już przyjemnie.

- Często się zastanawiałem, czy zdajesz sobie sprawę z plotek, które o tobie krążą. Bo krążą, rozumiesz? Może nie tak intensywnie jak kiedyś, ale ludzie się zastanawiają. Taka piękna dziewczyna i żadnej historii z facetami.

Poczuła, że się uśmiechnął, chociaż uparcie wpatrywała się w jakiś punkt na Ekebergåsen.

- To musi być męczące, Hanne. Cholernie męczące.

Usta miał tak blisko jej ucha, że czuła ruchy warg.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że ludzie nie są aż tacy źli, jak ci się wydaje. Trochę poszepczą i pogadają, ale to minie. Kiedy coś się potwierdzi, przestaje być takie interesujące. Jesteś wspaniałą dziewczyną i nic tego nie zmieni. Uważam, że musisz skończyć z tymi tajemnicami.

Puścił ją wreszcie, ale ona nie śmiała się ruszyć. Bała się, że Billy T, zobaczy jej twarz. Była czerwona jak burak. Ledwie śmiała oddychać.

Ponieważ nie odchodziła, Billy T, znów ją objął i zaczął lekko kołysać z boku na bok. Stali tak przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund, a w rozpościerającym się w dole mieście powoli, jedno za drugim, gasły światła.

## **Wtorek, 8 czerwca**

Nikt już nie pił kawy, wszyscy pili colę. Odrzucała nawet sama myśl o tym, że coś ciepłego miałyby spłynąć do gardła. Budka z piwem na środku holu mogłaby się okazać kopalnią złota. Maleńka lodówka w jadalni wydawała z siebie pełne rezygnacji jęki i westchnienia nad wszystkimi plastikowymi butelkami, które do niej wkładano i które nawet nie zdążyły się schłodzić, gdy je znów wyciągano.

Właśnie tego ranka Hanne Wilhelmsen zaprezentowała pracownikom A 2.11 mrożoną herbatę. O siódmej rano, nie przepawszy nawet godziny, wyszorowała wrośnięte resztki ze wszystkich ekspresów do kawy i zaparzyła w sumie czternaście litrów piekielnie mocnej herbaty. Dodała do niej sporą ilość cukru i dwie buteleczki soku cytrynowego. Wszystko to wymieszała w wielkim stalowym kociołku do pędzenia bimbru, który „pożyczyła” z magazynu rzeczy zatrzymanych. Na koniec przyniosła cały dzbanek pokruszonego lodu wyżebrany w kantine. Napój cieszył się ogromnym powodzeniem. Do końca dnia wszyscy chodzili z pełnymi szklankami i popijali mrożoną herbatę, zdumieni, że nikt wcześniej tego nie wymyślił.

- Dzięki Bogu, zachowałem wszystkie - jęknął z ulgą Erik Henriksen, podając Hanne plik dwunastu zgłoszeń od ludności w sprawie Kristine Håverstad.

To był plik prawników. Ten, z którego tak się śmiali. Ten, który dzięki Bogu kazała mu zatrzymać. Przeczytanie wszystkich zajęło kwadrans. Jedno ze zgłoszeń się wyróżniało, a poza tym

powtarzało się dwukrotnie.

„Mężczyzna na rysunku w «Dagbladet» z i czerwca przypomina Catona Iversena. On ma trochę węższą twarz, ale za to ostatnio zachowuje się dziwnie. Ponieważ pracujemy razem, wolę pozostać anonimowy. Obaj pracujemy w UDI, gdzie można się z nim skontaktować w ciągu dnia (w godzinach pracy)”.

- *Bull's eye*. Strzał w dziesiątkę - mruknęła Hanne Wilhelmsen, sięgając po drugą kartkę, którą już podsuwał jej pełen wyczekiwania Erik.

„Uderzyło mnie na tym rysunku podobieństwo do mojego sąsiada Catona Iversena. Mieszka na Ulveveien 3 w dzielnicy Kolsås i z tego, co wiem, pracuje w Urzędzie do spraw Cudzoziemców. Okresami dużo przebywa poza domem. Nie jest żonaty”.

List był podpisany, ale zawierał gorącą prośbę o zachowanie anonimowości nadawcy.

Trzydzieści sekund później Hanne Wilhelmsen już stała w pokoju Håkona Sanda.

- Potrzebny mi niebieski świstek. Nakaz zatrzymania.

- W jakiej sprawie?

- No w tej. W naszej. Zobacz.

Pokazała mu oba zgłoszenia, ale reakcja Håkona była zupełnie inna, niż Hanne się spodziewała. Przeczytał je spokojnie kilka razy i oddał.

- Wysłuchaj mojej teorii - zaczęła nieco zdeprymowana miażdżącym spokojem prokuratora. - Słyszałeś o przestępstwach z podpisem?

Oczywiście, że słyszał, przecież czytał książki.

- Sprawca zostawia jakiś znak, prawda? Ten znak staje się sławny za pośrednictwem gazet, ludzie o nim mówią, a potem ktoś chce się pozbyć kogoś innego i pozoruje „swoje” zabójstwo na jedno z serii.

- Ale to się nigdy nie udaje - mruknął Håkon Sand.

- No właśnie. Z reguły dlatego, że policja nie ujawnia

wszystkich aspektów zbrodni. Ale tutaj, Håkon, mamy odwrotną sytuację.

- Odwrotną sytuację. Ach tak? Odwrotną do czego?

- Do zabójstwa, które zostało wciśnięte w serię, upozorowane na jedno z ciągu.

Håkon dyskretnie chrząknął w zaciśniętą pięść z nadzieją, że Hanne wyjaśni mu to bliżej.

- My mamy zabójcę, który zwykle się podpisuje, ale zrobił błąd! Zamierza popełnić kolejne przestępstwo w serii, ale coś idzie nie tak. Wytlumaczę ci to na konkretnych.

Przysunęła sobie krzesło do jego biurka i gestem poprosiła o kartkę i długopis. Szybko naszkicowała miniaturę osi czasu, która była w oczy z tablicy w centrum dowodzenia.

- Dwudziestego dziewiątego maja znów zamierzał zgwałcić i zamordować kobietę ubiegającą się o azyl. Tę kobietę.

Rzuciła teczkę z aktami sprawy na stół. Håkon jej nie dotknął, ale przekręcił głowę, by odczytać nazwisko wypisane na okładce. Należało do cudzoziemki zajmującej mieszkanie pod Kristine Håverstad, tej, z którą usiłowali się skontaktować wczoraj.

- Spójrz! - Hanne z entuzjazmem przerzucała dokumenty. - Ona idealnie pasuje. Przyjechała do Norwegii sama. Myślała, że jedzie do ojca, ale zmarł kilka dni przed jej przybyciem. Odziedziczyła po nim mieszkanie i trochę pieniędzy. Spokojnie czekała, aż UDI zechce ruszyć palcem. Idealna ofiara. Nawet nie mieszka w ośrodku dla azylantów.

- No to dlaczego jej nie tknął, skoro tak idealnie się nadawała?

- Tego oczywiście nie wiemy, ale moja hipoteza jest taka, że po prostu jej nie było. Wyszła, wyjechała, cokolwiek. Mnie wprawdzie powiedziała, że spała i niczego nie słyszała, ale cudzoziemcy tak się boją policji, że równie dobrze mogła skłamać. On jednak tam przyszedł. I pojawiła się Kristine Håverstad. Ładna dziewczyna, pociągająca, więc po prostu dokonał zamiany.

Håkon Sand musiał przyznać, że teoria nie jest wcale bez-



sensowna.

- Wobec tego dlaczego jej nie zabił?

- To przecież oczywiste. - Hanne Wilhelmsen wstała. Mimo ożywienia wydawała się zmęczona. Ujęła się pod boki i kilka razy wygięła w różne strony. - Ile gwałtów umarzamy, Håkon?

- Nie mam pojęcia, ale cholernie dużo. Za dużo.

Hanne usiadła i nachyliła się do niego. Zauważył, że bliźna nad okiem stała się wyraźniejsza. Czyżby Hanne schudła?

- Co roku ponad sto, Håkon. Ponad sto! Jak myślisz, w ilu z tych spraw prowadzi się przyzwoite śledztwo?

- W niezbyt wielu - mruknął w poczuciu winy. Mimowolnie zerknął na trzy cienkie teczki ze sprawami, które już czekały na pieczętkę „Umorzono”. Gwałty. W zasadzie prawie zero śledztwa.

- A ile zabójstw umarzamy w ciągu roku? - pytała Hanne dalej.

- Żadnego - obruszył się.

- No właśnie. On po prostu nie mógł zabić Kristine Håverstad. Zabójstwo odkryto by kilka godzin później i rozlecielibyśmy się po mieście jak osy. Facet jest bystry. - Uderzyła ręką w stół. - Cholernie bystry.

- Aż taki bystry wcale nie był. Pokazał Kristine twarz.

- Owszem, na moment. I zobacz, jaki rysopis nam podała. Niezbyt solidny.

Przerwała im policjantka z aktami sprawy, w której należało złożyć wniosek o tymczasowe aresztowanie.

- Wydział Kradzieży szykuje jeszcze pięć podobnych - oznajmiła ze współczuciem i wyszła.

- Jedno tylko mi się tu nie zgadza - zamyślił się Håkon. - Skoro ma taki idealny plan, to dlaczego się go nie trzyma? Chyba nie mógł być aż tak napalony, żeby musiał po prostu akurat w tym momencie mieć kobietę?

- Oczywiście, że mógł.

Oboje przypomnieli sobie o tym jednocześnie. W ubiegłym roku Oslo przeżyło serię gwałtów, które zresztą w większości zdarzyły się w Homansbyen. Sprawcę w końcu ujęto, niemal

przypadkiem. Jego wyjaśnienie własnych działań zabrzmiało im teraz w uszach.

- Koks - powiedział Håkon i z przerażeniem popatrzył na koleżankę. - Sterydy anaboliczne!

- Szukamy mięśniaka - stwierdziła Hanne Wilhelmsen cierpko.

- Kolejny nowy ślad. A w tej chwili, tak jak powiedziałam, chcę niebieski świstek na tego tu. Wydaje się idealnym

kandydatem. - Dotknęła palcami dwóch zgłoszeń, które przyniosła, i położyła przed Håkonem formularz. Prokurator nawet nie ruszył ręką.

- Zmęczona jesteś.

- Zmęczona? Oczywiście, że jestem zmęczona.

- Jesteś tak zmęczona, że nie myślisz trzeźwo.

- Nie myślę trzeźwo? O co ci, do cholery, chodzi?

Pewnie, że była wykończona. Wszyscy ledwie trzymali się na nogach. Ale nie poprawi im się od tego, że Håkon Sand będzie opóźniał upragnione zatrzymanie.

- Na tę twoją teorię nie ma ani jednego marnego dowodu - oświadczył, zakładając ręce na piersiach. - Dobrze o tym wiesz. Hanne Wilhelmsen nie mogła uwierzyć własnym uszom. Tyle lat upłynęło od czasu, gdy jakiś prawnik odmówił jej wydania nakazu zatrzymania, a Håkon nie sprzeciwił się jej nigdy w ciągu tych czterech przepracowanych razem. Jej zdumienie było tak wielkie, że niemal przyćmiło szybko narastający gniew.

- Naprawdę sądzisz... - Wstała i oparła się o jego biurko w niemal groźnej pozycji. - Chcesz powiedzieć, że odmawiasz mi wypisania nakazu zatrzymania?

Håkon tylko kiwnął głową.

- Ale co, do cholery... - Spojrzała w sufit, jakby ktoś tam w górze mógł jej pomóc. - Co ty, na miłość boską, sobie myślisz?

- Myślę, że nie mamy nawet cienia uzasadnienia dla tego zatrzymania. Wezwij faceta zwyczajnie. Sprawdź, czy czegoś z niego nie wyciągniesz. Potem możemy to przedyskutować pod kątem ewentualnego aresztowania.

- Aresztowania? Ja cię wcale nie proszę o aresztowanie, do cholery. Proszę o najzwyczajniejszy niebieski świstek w koszarnej sprawie, którą cztery dziewczyny mogły przypłacić życiem!

Håkon jeszcze nigdy nie widział Hanne Wilhelmsen tak wścieklej, mimo to obstawał przy swoim. Wiedział, że ma rację. Dwa zgłoszenia od ludności wskazujące możliwego sprawcę to jeszcze nie są uzasadnione powody podejrzeń. Nawet jeśli facet pracował w UDI i tym samym miał dostęp do wszelkich informacji na temat azylantów. Zadrzał na samą myśl. Ale to nie wystarczyło. I wiedział, że Hanne też tak naprawdę o tym wie. Może dlatego nie powiedziała nic więcej, tylko gwałtownym ruchem zabrała papiery i wychodząc, z całej siły trzasnęła drzwiami.

- Gnojek! - mruknęła już na korytarzu.

Jakiś zabiedzony mężczyzna siedział na niewygodnym krzeselku, najpewniej czekając na przesłuchanie. Wyraźnie poczuł się trafiony, bo wbił oczy w podłogę.

- Nie pan - rzuciła Hanne i pomaszerowała dalej.

W pokoju czekał spięty Erik Henriksen. Nie usłyszał żadnego wyjaśnienia, tylko wygłoszoną z przesadną grzecznością prośbę, by jak najszybciej odszukał Kristine Håverstad. Potrzebowali jej. Już. Natychmiast. Godzinę temu. Młody policjant wybiegł.

Hanne natomiast zajrzała do książki telefonicznej i odszukała numer Urzędu do spraw Cudzoziemców. Pięć razy głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić, i w końcu go wykręciła.

- Chciałabym rozmawiać z Catonem Iversenem.

- Iversen odbiera telefony między dziesiątą a drugą, proszę zadzwonić w tych godzinach - odpowiedział jej cierpki głos.

- Dzwonię z policji i muszę rozmawiać z Iversenem teraz.

- Jak nazwisko? - Telefonistka tak łatwo się nie poddawała.

- Hanne Wilhelmsen, Komenda Okręgowa Policji w Oslo.

- Chwileczkę.

To było prawdziwe niedopowiedzenie. Po czterech minutach

ogłuszającej ciszy nawet bez piśnięcia w rodzaju: „Linia jest zajęta, prosimy czekać” - Hanne ze złością się rozłączyła i powtórnie wybrała ten sam numer.

- Słucham, Urząd do spraw Cudzoziemców.

Ta sama kobieta.

- Mówi Hanne Wilhelmsen. Wydział Zabójstw i Gwałtów Komendy Okręgowej Policji w Oslo. Proszę mnie natychmiast połączyć z Catonem Iversenem.

Recepcjonistkę najwyraźniej przestraszyła nowa nazwa A 2.11 wymyślona na tę okazję. Dziesięć sekund później w słuchawce rozległ się głos Iversena. Przedstawił się samym nazwiskiem.

- Dzień dobry - powiedziała, usiłując zachować możliwie neutralny ton. - Mówi Hanne Wilhelmsen, Wydział Kryminalny Komendy Okręgowej Policji w Oslo.

- Słucham - odparł mężczyzna bez cienia lęku, przynajmniej Hanne tak to odebrała.

Pewnie jest przyzwyczajony do rozmów z policją, pocieszyła się szybko.

- Chciałabym pana przesłuchać w związku z pewną sprawą, którą się zajmujemy. Bardzo nam się spieszy. Mógłby pan do nas przyjść?

- Teraz? Teraz zaraz?

- Tak, jak najszybciej.

Mężczyzna prawdopodobnie się zastanawiał, w każdym razie zapadło milczenie.

- Szczerze mówiąc, to niemożliwe. Przepraszam, ale...

Słyszała szelest przekładanych kartek. Może sprawdzał terminarz spotkań?

- Mogę przyjść w najbliższy poniedziałek.

- To nie wchodzi w grę. Muszę z panem porozmawiać już teraz. Nie zajmę panu dużo czasu. - Co za kłamstwo!

- A o co chodzi?

- O tym rozmawiamy, kiedy pan się zjawi. Czekam na pana za godzinę.

- Ależ doprawdy, to wykluczone! Mam wygłosić wykład na

wewnętrznym kursie, tutaj, w urzędzie.

- Sugeruję, żeby zjawił się pan u nas natychmiast - powiedziała Hanne cicho. - Niech pan powie, że jest pan chory, wymyśli cokolwiek. Oczywiście mogę po pana przyjechać. Sądzę jednak, że woli się pan stawić dobrowolnie.

Teraz Iversen zaczął się już wyraźnie denerwować. Ale kto by się nie denerwował po takiej rozmowie, pomyślała Hanne i postanowiła nie przykładać zbyt wielkiej wagi do zmiany jego nastroju.

- Myślę, że zdążę dojechać w pół godziny - stwierdził w końcu.  
- Może to potrwa trochę dłużej. Ale będe.

\*\*\*

Kristine Håverstad nie wiedziała, co robić. Ojciec jak zwykle wyszedł o ósmej, ale ona nie miała już pewności, czy pojechał do pracy. Żeby potwierdzić swoje podejrzenia, zadzwoniła do gabinetu i poprosiła go do telefonu.

- Ależ, moja kochana - odparła sympatyczna starsza sekretarka. - Przecież twój tata ma urlop. Nie wiedziałaś o tym?

Kristine zapewniła kobietę, że się pomyliła, i odłożyła słuchawkę. Nie miała wątpliwości, że ojciec zamierza zrealizować swoją zapowiedź. Poprzedniego wieczoru rozmawiali ponad godzinę, dłużej niż przez dziesięć ostatnich dni razem wziętych.

Najgorsze, że myśl o tym wydawała się kusząca. To było straszne, przerażające i chore. Takich rzeczy się nie robi. A już na pewno nie tu, w Norwegii. Ale nie mogła pozbyć się przekonania, że śmierć tego człowieka mimo wszystko przyniosłaby jej ulgę. Czuła podekscytowanie na myśl o uzyskaniu jakiejś formy zadośćuczynienia. Zniszczył życie dwojgu ludziom, na nic lepszego nie zasłużył. Szczególnie że policja zdawała się nie robić nic, żeby go złapać. A nawet jeśli go dopadnie, to czeka go rok w nowoczesnej celi z telewizorem i mnóstwem rozmaitych propozycji spędzenia wolnego czasu. Nie był tego wart.

Zasłużył na śmierć. Ona nie zasłużyła na to, co jej zrobił, a

ojciec nie zasługiwał na to, by czuć się tak jak teraz. Kiedy niemal uspokojona zaczęła się napawać satysfakcją z podjęcia decyzji, nagle zlodowaciała. To przecież czyste szaleństwo. Nie wolno zabijać ludzi. Jeśli w ogóle ktoś miałby to zrobić, to tylko ona.

\*\*\*

Minęła już wieczność, odkąd Billy T, pracował jako śledczy. Od ponad pięciu lat należał do Patrolu Zamętu w Wydziale Narkotykowym i najprawdopodobniej miał pozostać gliną w dzinsach, dopóki nie będzie na to za stary. Wciąż jednak o jego zdolnościach do prowadzenia przesłuchań krążyły legendy. Nie zawsze postępował zgodnie z regulaminem, ale liczba sprawców, którzy przy nim przyznali się do winy, imponowała najlepszym. Hanne Wilhelmsen się uparła. Billy T, dał się namówić. Przeleciało jej przez głowę, że może z jej strony to wymówka, żeby znów się z nim zobaczyć. Teraz, gdy z powrotem znalazła się w znajomym, bezpiecznym otoczeniu, poprzednia noc wydawała się nierzeczywista. Musiała z nim porozmawiać o bieżącej robocie, o sprawach policyjnych. Chciała się po prostu upewnić, czy nic się między nimi nie zmieniło i czy Billy T, będzie taki jak dawniej.

Był. Z hałasem szedł korytarzem - słyszała go już z daleka. Kiedy wysunęła głowę za drzwi, żeby go powitać, z daleka rzucił jakąś frywolną uwagę, nawet przez moment nie nawiązując do tego, co zaszło między nimi zaledwie kilka godzin wcześniej. Nie wyglądał też na szczególnie niewyspanego. Wszystko było jak dawniej. Przynajmniej prawie wszystko.

Na widok Catona Iversena Hanne aż drgnęła. Może i nie był aż tak bardzo podobny do człowieka z portretu pamięciowego, ale idealnie pasował do rysopisu Kristine Håverstad. Miał szerokie bary, jasne włosy i wyraźne zakola. Nie wyróżniał się wzrostem, ale muskularne ciało robiło wrażenie masywnego. Był też opalony, ale teraz właściwie wszyscy już zbrązowieli. Z wyjątkiem funkcjonariuszy z Komendy Okręgowej Policji w

Oslo.

Billy T, sam był w stanie wypełnić niemal cały pokój Hanne. We trójkę zrobiło się w nim wręcz ciasno. Billy T, stanął plecami do okna, pośladkami opierając się o klimatyzator. Na tle ostrego światła widać było tylko zarys jego potężnej, pozbawionej twarzy postaci. Hanne usiadła na swoim zwykłym miejscu. Cato Iversen okazywał wyraźne zdenerwowanie, ale w tym wciąż nie było nic dziwnego i nie mogło to o niczym świadczyć. Nieustannie przelykał ślinę, kręcił się na krześle i miał brzydki nawyk drapania się bez przerwy w wierzch lewej dłoni.

- Jak pan może wie, podczas przesłuchań świadków nie korzystamy z magnetofonu.

Nie wiedział.

- Ale teraz to zrobimy - ciągnęła Hanne i z lekkim uśmiechem wcisnęła jednocześnie dwa klawisze niedużego urządzenia stojącego na biurku. Potem jeszcze poprawiła mikrofon, kierując go mniej więcej na środek.

- Zaczniemy od danych osobowych - zdecydowała.

Iversen je podał. Odwzajemniła mu się pouczeniem o możliwości odmowy składania zeznań, uprzedziła też, że jeśli zdecyduje się coś powiedzieć, to powinien mówić prawdę.

- Czy mam prawo do adwokata?

Już w momencie, gdy o to spytał, pożałował, i próbował zasłonić słowa bladym uśmiechem, chrząkaniem i kręceniem głową. Potem znów zaczął się gorączkowo drapać w urojony ślad po ukąszeniu komara na lewej ręce.

- Adwokat, Billy T.? - Hanne zwróciła się do potężnego mężczyzny w oknie. - Adwokat? Czyżby nasz przyjaciel potrzebował adwokata?

Billy T, nic nie mówił, tylko się uśmiechał, ale Iversen tego nie widział. Dostrzegał jedynie zarys postaci wielkoluda na tle białoblękitnego nieba.

- Nie, nie. Nie potrzebuję adwokata. Tak tylko pytałem.

- Jest pan świadkiem, Iversen - zapewniła Hanne z przesadną łagodnością, próbując uspokoić mężczyznę. - Więc raczej

niepotrzebny panu adwokat.

- Ale o co w tym wszystkich chodzi?

- Zaraz się pan dowie. Już niedługo.

W dół Åkebergveien zjechał samochód na sygnale, zaraz za nim j eszcze j eden.

- Dużo roboty przy tej pogodzie - wyjaśniła Hanne. - Gdzie pan pracuje?

- W UDI. Urzędzie do spraw Cudzoziemców.

- I co pan tam robi?

- Jestem referentem. Zwykłym referentem.

- Aha. A co robi zwykły referent?

- Załatwia sprawy. - Najwyraźniej nie miał zamiaru być bezczelny, bo po krótkiej przerwie dodał: - Wpływają do mnie już sprawdzone przez policję wnioski o zezwolenie na pobyt. Jesteśmy pierwszą instancją podejmującą decyzję.

- Sprawy o azyl?

- Różnie. Łączenie rodzin, studia. Ja pracuję wyłącznie przy sprawach z Azji.

- Lubi pan swoje zajęcie?

- Czy lubię?

- Tak. Uważa pan, że to przyjemna praca?

- No cóż, czy przyjemna? - zastanowił się. - Praca jak każda inna. W zeszłym roku skończyłem prawo, ale nie każdy może wybierać. Ta robota jest w porządku, owszem.

- Nie przykro panu wyrzucać z kraju wszystkich tych nie-szczęśników?

Teraz Iversen był już szczerze zdumiony. Nie takiego nastawienia oczekiwał od policji.

- Czy przykro? To Storting decyduje. My tylko wykonujemy to, co on uchwali. Poza tym nie wszystkich się wyrzuca.

- Ale większość, prawda?

- No tak, pewnie większość.

- A co pan myśli o cudzoziemcach?

Iversen wyraźnie odzyskiwał panowanie nad sobą.

- Szczerze mówiąc - powiedział, lekko unosząc się na krześle -



muszę się choć trochę dowiedzieć, o co chodzi.

Policjanci popatrzyli na siebie i Billy T, lekko kiwnął głową. To Iversen też zobaczył.

- Pracujemy nad bardzo poważną sprawą - wyjaśniła Hanne. - Nad tymi sobotnimi masakrami, pewnie pan o nich czytał.

Owszem, czytał. Kiwnął głową i znów zaczął się drapać.

- W każdej z tych kałuż krwi znaleźliśmy numer. Numer RC. A w niedzielę odkryliśmy zwłoki. Ciało kobiety, prawdopodobnie Azjatki. I wie pan co? - W jej głosie pojawił się niemal zachwyt. Odszukała na biurku kartkę. - Dwa z tych numerów to osoby, którymi pan się zajmował.

Zdenerwowanie mężczyzny znów zaczęło rosnąć i teraz chyba już mogło o coś świadczyć.

- Przy sprawach z Azji pracuje niewiele osób - odparł szybko. - Więc nie ma w tym absolutnie nic dziwnego.

- Aha.

- Szkoda, że pani nie wie, ile spraw załatwiamy rocznie. Na każdego przypada kilkaset. A może nawet kilka tysięcy - dodał, starając się nadać argumentowi jeszcze większą wagę.

- Może więc będzie pan mógł mi pomóc, skoro ma pan takie doświadczenie? W jaki sposób właściwie załatwiacie te sprawy? Chodzi mi o rodzaj pracy biurowej. Czy to wszystko jest w komputerach?

- Tak, wszystkie dane są przechowywane elektronicznie, ale mamy też teczki z dokumentami. Przesłuchania, listy, takie rzeczy.

- I w nich są wszystkie informacje o każdym, kto się ubiega o azyl?

- No tak, a przynajmniej to, o czym powinniśmy wiedzieć.

- A informacje o tym, kto z kim przyjeżdża, sytuacja rodzinna, czy ma tu znajomych, dlaczego zdecydował się na przyjazd akurat do Norwegii, one też są w tych pańskich teczkach?

Mężczyzna znów niespokojnie się poruszył i zrobił taką minę, jakby się zastanawiał.

- Tak. Wszystko to, co zostanie powiedziane podczas prze-

słuchań na policji.

Hanne Wilhelmsen dobrze o tym wiedziała. Tego samego dnia przed południem poświęciła godzinę na przeczytanie zeznań tych czterech kobiet.

- Wiele osób przyjeżdża tutaj samotnie?

- Trochę takich jest. Na ogół podróżują z rodzinami, a jeszcze inni przyjeżdżają do bliskich, którzy już przebywają w Norwegii.

- Słyszałam, że niektóre osoby giną.

- Gina?

- Znikają z systemu i nikt nie wie, co się z nimi dzieje.

- Aha, w ten sposób giną. No tak, to się zdarza.

- I co wtedy robicie?

- Nic.

Billy T, podniósł wreszcie swoje potężne ciało z parapetu. Tylek mu zmarł od siedzenia przez dwadzieścia minut na zepsutym klimatyzatorze. Wolnym krokiem okrążył Hanne i stanął, jedną ręką opierając się o pokrytą emalią półkę na książki. Spojrzał na świadka z góry.

- Teraz przystąpimy do rzeczy, Iversen. Jak zwykle spędzasz weekendy?

Mężczyzna nie odpowiedział. Drapanie przybrało na intensywności.

- Niech pan przestanie się drapać - rzuciła Hanne zirytowana.

Cato Iversen był bliski rozpacz, ale starał się nie pokazać tego po sobie. Policjanci bacznie mu się przyglądali, lecz wciąż widzieli jedynie lekkie zdenerwowanie. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, dlatego postanowił mówić prawdę.

- Jeżdżę ciężarówką - odparł cicho.

Billy T, i Hanne wymienili uśmiechy.

- Jeździ pan ciężarówką? - powtórzyła Hanne. - Czy w sobotę dwudziestego dziewiątego maja też pan jeździł ciężarówką? A w niedzielę trzydziestego?

Niech to szlag! Mieli go. Do tej pory tylko mydlili mu oczy. Mimo niedawnego wybuchu Hanne Wilhelmsen nie

przestawał drapać dłoni. W końcu poczuł ból.

- Chcę rozmawiać z adwokatem! - zawołał. - Nie powiem nic więcej, dopóki nie porozmawiam z adwokatem!

- Ależ, drogi panie Iversen - powiedział Billy T, miękkim głosem i przykucnął przed nim. - Przecież pan nie jest o nic oskarżony.

- Ale jestem o coś podejrzewany. - Iversen miał już Izy w oczach. -1 mam prawo do skorzystania z pomocy adwokata!

Hanne pochyliła się nad biurkiem i wyłączyła magnetofon.

- Proszę posłuchać, Iversen. Niech to będzie dla pana jasne. Przesłuchujemy pana jako świadka. Nie jest pan ani podejrzany, ani oskarżony. Nie ma pan więc prawa do korzystania z pomocy obrońcy. Może pan natomiast w każdej chwili wyjść z tego pokoju. Jeśli mimo wszystko upiera się pan przy rozmowie

z adwokatem, a dopiero potem będzie chciał pan jeszcze porozmawiać z nami, to proszę bardzo.

- Sięgnęła po telefon i postawiła go przed nim. Obok rzuciła książkę telefoniczną, żółte strony. - Proszę - powtórzyła.

Prędko sprawdziła, czy na wierzchu nie leży nic, czego Iversen nie powinien oglądać, zabrała z biurka plik spraw, Billy'ego T. i wyszła. W drzwiach jeszcze się zatrzymała. - Wracamy za dziesięć minut.

\*\*\*

Trwało to trochę dłużej. Siedzieli przy szklankach porannego naparu Hanne. Lód się stopił, cukier opadł na dno prawie pustego już kociołka, a gorycz taniny sprawiła, że napój przestał już być tak orzeźwiający jak kilka godzin wcześniej.

- Resztę pociągniesz sama - powiedział Billy T. - Ja się prawie nie musiałem odzywać.

- Samym swoim wyglądem skłonisz niewinnego, żeby się przyznał - roześmiała się Hanne i opróżniła szklankę. - Poza tym nie wiem, czy on jest gotowy do zwierzeń.

- Z jakiegoś powodu się trzęsie, to pewne - orzekł Billy T.

- Ale ja mówię poważnie, muszę już lecieć. Jestem śmiertelnie

zmęczony. Ty na pewno też - dodał, próbując popatrzeć jej w oczy.

Hanne nie odpowiedziała, uniosła tylko pustą szklankę jak do toastu, kiedy Billy T, wychodził. Zamiast niego wpadł jak burza Erik Henriksen.

- Znalazłem ją! - wysapał. - Wybierała się tutaj. Dosłownie wpadłem na nią w drzwiach. Czego ty od niej chciałaś?

\*\*\*

Zorganizowanie okazania zajęło tylko półtorej godziny. W policji znalazło się zaskakująco wielu szerokich w barach jasnowłosych mężczyzn o rzadziejących czuprynach. Pięciu z nich stało teraz z Catonem Iversenem. Po drugiej stronie lustra fenickiego Kristine Håverstad gryzła paznokcie.

Przecież nie po to tu przysła. Prawie się zderzyła z piegowatym funkcjonariuszem, kiedy wciąż pełna ogromnych wahań wchodziła do budynku policji. Ciągłe jeszcze miała czas, żeby się wycofać, gdy ten rozpromienił się na jej widok i pociągnął za sobą. Na szczęście nic nie musiała mówić.

Sierżant Hanne Wilhelmsen wyglądała na bardziej zmęczoną niż przed kilkoma dniami. Jej oczy były jakby bledsze, usta bardziej napięte i miały w sobie więcej goryczy. Tydzień temu wydała się Kristine Håverstad zaskakująco piękna, teraz była bardziej zwyczajną nieumalowaną kobietą o ładnych rysach. Nie tryskała też entuzjazmem, chociaż okazywała życzliwość i otwartość.

Sześciu mężczyzn weszło jeden za drugim jak stadko dobrze odkarmionych gęsi. Kiedy pierwszy dotarł do końca pomieszczenia, wszyscy jednocześnie się odwrócili i spojrzeli w szybę. Kristine wiedziała, że jej nie widzą.

Nie było go tam. Wszyscy trochę go przypominali, ale żaden z nich nie okazał się tym, który ją skrzywdził. Poczula lży cisnące się do oczu. Gdyby tylko znalazł się wśród nich, nie zagrażałoby mu nic ze strony jej taty, a ona mogłaby podjąć próbę polatania swojego życia, zamiast donosić policji na rodzonego ojca. Życie ułożyłoby się tak bardzo inaczej, gdyby po prostu

stał tutaj, wśród tych mężczyzn. Ale go nie było.

- Może ten z numerem dwa - wyrwało jej się.

Co ona robi? Przecież to na pewno nie numer dwa. Jeśli jednak któregoś zatrzymają, to przynajmniej kupi sobie trochę czasu. Czasu potrzebnego na przemyślenie, na wyperswadowanie ojcu jego zamiarów. Zapewne tylko kilka dni, ale to i tak lepsze niż nic.

- Albo numer trzy?

Pytając popatrzyła na Hanne Wilhelmsen, która nie zareagowała - dalej siedziała nieruchoma jak sfinks i patrzyła przed siebie.

- Tak. - Kristine podjęła decyzję. - Numer dwa albo trzy. Ale do pewności mi daleko.

Sierżant Wilhelmsen podziękowała za pomoc i wyprowadziła dziewczynę. Była jednak tak rozczarowana, że zapomniała spytać, po co właściwie do nich przyszła. Trudno.

Kristine wsunęła torebkę na szczupłe ramię i wyszła z budynku policji, już wiedząc, że nigdy nie przełamie się, by donieść na ojca.

Numerem dwa w szeregu okazywanych mężczyzn był urzędnik Fredrik Andersen z Wydziału do spraw Wezwań i Doręczeń, a trzy - starszy posterunkowy Erik Langbråtan, miły facet z Dyżuru Kryminalnego. Cato Iversen, który stał jako szósty, doczekał się uścisku dłoni i niezbyt szczerych przeprosin. Mógł iść do domu.

Kiedy dotarł do Grønlandsleiret, znikając z oczu komuś, kto mógłby go obserwować z okien komendy, wszedł do piwiarni Lompa i zamówił od razu dwa duże piwa. Usiadł przy stoliku w głębi lokalu i drżącymi rękami zapalił papierosa.

W nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty maja wracał promem z Danii. Ciężarówką przemycił alkohol. Poprzysiągł sobie, że to się już nigdy więcej nie powtórzy.

\*\*\*

Zmarnowali prawie cały dzień na posuwanie się ślepym torem. To mogło przyprawić o rozpacz. Ale i tak najbardziej

dramatyczne wydarzenie tego dnia mieli jeszcze przed sobą. Komisarz Hans Olav Kaldbakken przyszedł do pokoju Hanne Wilhelmsen po swoją codzienną porcję sprawozdań. Wyglądał źle. Sztywno usiadł na krześle i zapalił papierosa. Już dwudziestego od rana, a dochodziło dopiero wpół do czwartej.

- Czy my do czegoś dojdziemy, Wilhelmsen? - spytał ochryple.  
- Mamy coś jeszcze oprócz tego... tego Iversena? Bo to chyba nie on?

- Raczej nie. - Hanne masowała skronie.

„Raczej” było jednym wielkim niedopowiedzeniem. Cato Iversen może i miał jakieś swoje ciemne sprawy, ale ich wyjaśnianiem będą musieli zająć się kiedy indziej. Hanne doskonale wiedziała, że Kristine Håverstad rozpoznałaby swojego prześladowcę. Nie bardzo jednak rozumiała, dlaczego młoda kobieta wskazała dwóch mężczyzn, którzy w oczywisty sposób nic złego jej nie zrobili. Może tak gorąco pragnęła naprowadzić ich na jakiś ślad? Ale to i tak dziwne. Będzie musiała się nad tym później zastanowić.

- Sobota się zbliża - przypomniał Kaldbakken ponuro. - Paskudna sobota.

Mówił dziwnym dialektem, a poza tym połykał końcówki słów, ale Hanne Wilhelmsen pracowała z szefem od wielu lat i zawsze wiedziała, o co mu chodzi.

- To prawda, Kaldbakken. Zbliża się.

- Wiesz? - Nachylił się do niej w niezwykłym przychylnym poufaleństwie. - Gwałty są dla mnie najstraszniejsze. Po prostu sobie z nimi nie radzę, a jestem policjantem już trzydzieści lat.

- Zamyślił się na chwilę. - Ściśle mówiąc, trzydzieści trzy. Zaczęłam pracować w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, co oczywiście nie robi jeszcze ze mnie starego człowieka. - Uśmiechnął się ponuro, głośno zakasłał. - Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. To były czasy! Wtedy dobrze było być policjantem. Nieźle też zarabialiśmy, więcej niż robotnicy w przemyśle, dużo więcej. Ludzie nas szanowali... Tak, tak, sześćdziesiąty rok. Gerhardsen wciąż był premierem, a ludzie ciągnęli w tę

samą stronę.

W pokoju już unosił się gęsty dym. Kaldbakken palił ręcznie skręcane papierosy i od czasu do czasu spluwał drobinkami tytoniu.

- Wtedy mieliśmy dwa albo trzy gwałty w roku. Od razu robiło się wielkie poruszenie i z reguły udawało nam się łapać tych drani. W policji pracowali głównie mężczyźni. I gwałty były dla nas najgorsze, dla wszystkich. Ale nie poddawaliśmy się, dopóki nie dopadliśmy tych łotrów.

Hanne Wilhelmsen nie doświadczyła podobnej sytuacji. Z komisarzem Kaldbakkenem pracowała od siedmiu lat i nigdy nie rozmawiała z nim o sprawach bardziej intymnych niż ból brzucha. Z jakiegoś powodu uznała tę rozmowę za zły znak.

Kaldbakken ciężko westchnął. Usłyszała rżenie w przeciążonych oskrzelach.

- Ale ogólnie w policji dobrze się pracuje - dodał, patrząc gdzieś przed siebie z rozmarzeniem. - Bo kiedy się kładziesz spać, to wiesz, że trzymasz z dobrymi chłopakami. I dziewczynami - dodał, uśmiechając się lekko. - To nadaje życiu sens. W każdym razie nadawało do tej pory. Po tej wiośnie naprawdę nie wiem, co będzie.

Hanne Wilhelmsen dobrze go rozumiała. To naprawdę straszna wiosna. Ale ona i tak była w lepszej sytuacji. Miała trzydzieści cztery lata. Ledwie zdążyła się urodzić, kiedy Kaldbakken wyprostowany jak struna, w świeżo odprasowanym mundurze patrolował o wiele spokojniejsze ulice Oslo. W przeciwieństwie do niego zostało jej jeszcze mnóstwo siły. Zadała sobie w duchu pytanie, ile szef może mieć lat. Wyglądał na dobrze po sześćdziesiątce, ale musiał być młodszy.

- Niewiele już z siebie mogę dać, Hanne - mruknął.

Przeraziła się, gdy zwrócił się do niej po imieniu. Do tej pory zawsze była dla niego tylko i wyłącznie Wilhelmsen.

- To bzdury, Kaldbakken - próbowała oponować, ale urwała, kiedy machnął ręką.

- Wiem, kiedy jest pora, żeby się poddać. Ja... - przerażająco

gwałtowny i długi atak kaszlu nie pozwolił mu dokończyć. W końcu Hanne wstała trochę niepewnie i położyła mu rękę na plecach.

- Mogę ci jakoś pomóc? Przynieść ci wody?

Kiedy odchylił się na krześle, z trudem łapiąc powietrze, przestraszyła się na poważnie. Miał szarą, mokrą od potu twarz. Trzymał się za bok, dysząc jak ryba, a potem z paskudnym rumorem zwałił się na podłogę. Hanne zrobiła krok ponad skulonym szefem, obróciła go, jednocześnie krzykiem wzywając pomocy.

Kiedy minęły dwie sekundy, a nikt nie odpowiedział, kopniakiem otworzyła drzwi i znów zaczęła krzyczeć:

- Dzwońcie po karetkę, do cholery! Po lekarza!

Potem zabrała się do reanimacji swojego starego, wyniszczzonego szefa metodą usta-usta. Dwa wdechy i masaż serca.

Znów dwa wdechy i znów masaż serca. Kiedy rozległ się trzask, zrozumiała, że musiała złamać mu żebra.

Erik Henriksen stanął w drzwiach zaskoczony i czerwieńszy niż zwykle.

- Masuj serce! - rozkazała, a sama skupiła się na wtłaczaniu powietrza w usta Kaldbakkena.

Miody chłopak naciskał i naciskał. Hanne Wilhelmsen dmuchała i dmuchała. Ale kiedy dziewięć minut później w drzwiach stanęła załoga karetki, pięćdziesięciosześcioletni komisarz Hans Olav Kaldbakken już nie żył.

\*\*\*

W nieprzytulnym pustym pokoju w pewnym pensjonacie w Lillehammer siedziała drobna Iranka z kamienicy Kristine Håverstad. Walczyła z rozpaczą. Była samotna, straszliwie daleko od domu i nie miała kogo prosić o radę. Miasto to wybrała przypadkowo. Leżało dość daleko od Oslo, ale podróż pociągiem niewiele kosztowała. Poza tym słyszała o pięknym skansenie Maihaugen.

Oczywiście powinna była porozmawiać z policją, ale przecież policji nie można ufać. Wiedziała o tym z drogo okupionego



doświadczenia. Intuicyjnie zaufała jednak tamtej młodej policjantce, z którą ledwie przez kilka chwil rozmawiała w zeszły poniedziałek. Ale skąd ona, słaba kobieta z Iranu, miała wiedzieć, komu można wierzyć?

Zaczęła przeglądać Koran. Czytała trochę tu, trochę tam, ale nie znajdowała żadnej pociechy ani rady. Po dwóch godzinach zapadła w sen, a kiedy się obudziła, uświadomiła sobie, że już od blisko dwóch dni nic nie jadła.

\*\*\*

Szef, tak jak się spodziewała, był wściekły. Przepraszała i obiecała, że przyniesie zwolnienie. Tylko skąd je miała wziąć? Może z pogotowia? Na oddziale dla ofiar gwałtów okazali jej życzliwość i wyrozumiałość, kiedy w zeszłą niedzielę przeszła tam najbardziej upokarzające badanie świata. Trudno, tym problemem zajmie się później. Rozgniewany przełożony mruknął pod nosem jeszcze kilka banałów o dzisiejszej młodzieży, ale nie dała się sprowokować, przecież nigdy wcześniej nie brała zwolnień.

- Kristine!

Jeden ze stałych pacjentów z radością złapał ją za rękę. Miał, co niepojęte, osiemdziesiąt jeden lat. Niepojęte, bo przez pięć pływał na statkach w czasie wojny, a przez następnych pięćdziesiąt był alkoholikiem. Trzymał się, jakby uparcie protestował przeciwko brakowi uznania należnego jemu i jego dawno już pomarłym towarzyszom.

- Kristine, moja kochana!

Po kwadransie zdołała mu się wyrwać. Pory, w jakiej przyszła, nie wybrała przypadkowo. Akurat kończył się dyzur i dzięki temu zdołała niepostrzeżenie wemknąć się do magazynu, w którym stała szafka z lekami. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zamknąć się na klucz, ale doszła do wniosku, że trudniej jej będzie się wytłumaczyć z zamkniętych niż z otwartych drzwi. Wprawdzie w ogóle nie powinna tu przebywać, ale w razie czego jakieś lepsze czy gorsze wyjaśnienie zdoła z siebie wykrzesać. Wyjęła kluczyki do apteczki. Trochę za

głośno zadzwoniły, ścisnęła je więc w dłoni i wstrzymała oddech. Co za bzdury! Przy hałasie, jaki panował na korytarzu, szanse, że ktoś ją usłyszy, były minimalne. A poza tym to, co zamierzała zrobić, wymagało jedynie chwili.

Opakowania nozinanu, środka nasennego, stały tuż przed nią w wielkich ilościach. Nagle się zawahała. Nie wiedziała, czy wybrać zastrzyki, czy tabletki. Zdecydowała się na te pierwsze. Strzykawek nie potrzebowała, miała je w domu. Błyskawicznie zamknęła szafkę i stanęła pod drzwiami. Przez trzydzieści sekund wstrzymywała oddech i w końcu z lekami w kieszeni spokojnie wyszła na korytarz. Natknęła się tam jedynie na dwóch pacjentów, i to tak pijanych, że nie wiedzieli nawet, jaki dzisiaj dzień.

Wychodząc, musiała jeszcze raz uspokoić szefa, że przyniesie zwolnienie, a wkrótce wróci do pracy. Już za kilka dni. Pozwolił jej odejść, ale nie powstrzymał się od kolejnej złośliwej uwagi. Udała, że nie słyszy.

Powiodło się. Chociaż przed sobą miała trudniejszy etap.

Nie odniosła wrażenia, że długo jej nie było. Ktoś kiwnął jej głową i uśmiechnął się znad książek, inni patrzyli na nią pustym wzrokiem i wracali do notatek. W końcu zobaczyła Terjego. Siedział w pokoju socjalnym razem z piątką innych studentów, których dobrze знаła. Ci przywitali ją cieplej, szczególnie Terje. Był od niej młodszy o cztery lata, studiował na pierwszym roku. Na początku semestru przyczepił się do niej jak kleszcz. Na sto przeróżnych sposobów wyznawał jej swoją wielką miłość, nie bacząc ani na różnicę wieku, ani na fakt, że był od niej o osiem centymetrów niższy. Szczerze mówiąc, zaloty tego miłego chłopaka sprawiały jej nawet przyjemność. „Uparty zawsze zwycięża”, oświadczał, kiedy poirytowana próbowała przemówić mu do rozumu.

Usiadła na wolnym krześle.

- O rany, jak ty wyglądasz! - skomentowała koleżanka z roku. - Naprawdę nieźle się musiałaś przechorować.

- Już mi lepiej - uśmiechnęła się Kristine. Koledzy nie wy-

glądali na przekonanych.

- Mam nawet ochotę uczyć to, że wreszcie stanęłam na nogi. Może zrobimy sobie jakąś rundkę po mieście? Na przykład jutro. Zorganizowalibyśmy taką namiastkę soboty. Ktoś się ze mną wybierze?

Wszyscy chcieli, a najbardziej Terje. I właśnie o to chodziło.

\*\*\*

To się miało stać w środę. Najlepszy dzień. Piątek to za duże ryzyko, facet mógł zaplanować weekend za miastem albo na przykład przyjęcie w domu. Poza tym ludzie w piątki późno kładli się spać, a on potrzebował spokoju. Mógłby poczekać do czwartku, ale nie miał siły. To musi być środa. Z tym dniem wiązała się jeszcze jedna istotna sprawa. Córcie powiedział, że wybiera czwartek, teraz nie będzie musiała tak długo czekać. W czwartek rano obudzi ją i powie, że już po wszystkim.

Szafka była przepisowo zamknięta. Zabezpieczenie właściwie przestało już być potrzebne, odkąd Kristine dorosła i nie ruszała jego rzeczy. Od czasów licealnych chyba nie wchodziła nawet do jego sypialni.

Trzy mundury żołnierza rezerwy wisiały równiutko jeden przy drugim. Z trzema gwiazdkami na pagonach. Miał stopień kapitana. Nawet ten zielony, połowy, był uprasowany. Pod nimi stały dwie pary butów. W szafie pachniało lekko pastą i kulkami na mole.

W głębi, za butami i mundurami, ukrył metalową skrzynkę. Przykucnął i wyciągnął ją, a potem położył na nocnym stoliku. Usiadł na łóżku i ją otworzył. Służbowy pistolet austriackiej produkcji. Glock. Dziewięćmilimetrowa amunicja. Miał jej dostateczną ilość. Tej przydziałowej nie mógł wziąć, ale zachował dwa pudełka naboju po ostatnich ćwiczeniach. Właściwie należało to uznać za kradzież, ale szefostwo przymykało oczy. Pudełka z amunicją tak łatwo dawały się schować pod siedzeniem samochodu.

Trochę niewprawnymi palcami rozłożył broń, nasmarował ją, przetarł szmatką i owinięty w ściereczkę pistolet zostawił na

łóżku. Wyjął z pudełka pięć nabojów, resztę schował do metalowej skrzynki, którą po chwili wsunął do szafki i zamknął na klucz.

Kilka sekund zastanawiał się, gdzie przechowa broń, w końcu zdecydował się po prostu umieścić ją pod łóżkiem. Pani od sprzątanía miała przyjść dopiero w piątek, a do tego czasu pistolet wróci do skrzynki.

Rozebrał się i poszedł do łazienki przylegającej do sypialni. Napełnienie wanny musiało chwilę potrwać, narzucił więc szlafrok i w kuchni zmieszał sobie mocnego drinka, bo popołudnie było jeszcze wczesne. Kiedy wrócił do łazienki, piana sięgała już brzegu wanny, a gdy wolno zanurzał się w gorącej wodzie, przelała się na podłogę.

Ledwie wczoraj dotarło do niego na poważnie, że to, co zamierzał zrobić, jest karalne. Łagodnie mówiąc. Ta myśl go zaklęła, ale tylko przez moment, bo zaraz ją od siebie odpędził. Teraz znów świadomość, że stanie się przestępcą, przemówiła głośnie.

Nawet przez chwilę nie brał pod uwagę tego, że mógłby przecież z zebranymi informacjami pójść na policję. Właściwie był zły, że policjanci najwyraźniej nie zrobili tego, co on. Nie przeprowadzili śledztwa. Przecież rzecz okazała się zdumiewająco prosta. Ustalenie tożsamości gwałciciela zajęło mu ledwie kilka dni. A co właściwie zrobiła policja? Nic. Podobno zabezpieczyła ślady, resztki spermy i przekazała je do analizy. Ale na co te analizy, skoro nie było z czym porównać wyników? Kiedy spytał o to panią sierżant, lekko wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała.

Z pewnością podjęliby jakieś działania, gdyby się do nich zwrócił, w to nie wątpił. Mężczyzna prawdopodobnie zostałby zatrzymany, poddano by go jakimś testom. Udowodniliby, że to on, i pewnie by go wsadzili. Na rok albo półtora. Minus jedna trzecia za dobre sprawowanie. A to oznaczało, że po niespełna roku za kratkami znów wyszedłby na wolność. Mniej niż rok za to, że zniszczył jego córkę! Zniszczył ją, upokorzył,

zbru- kal.

Nie, na policję nie ma co iść. Niech męczy się sama. A sądząc z tego, co pisały gazety, na brak roboty nie narzeka.

Oczywiście mógł próbować uniknąć kary, poszukać alibi, ale nie za bardzo wierzył w takie rzeczy. Poza tym po prostu go to nie interesowało.

Finn Håverstad nie zamierzał wykręcać się od zarzutu zamordowania człowieka, który zgwałcił jego córkę. Liczyło się tylko spokojne zrealizowanie celu. Potem spędzi kilka godzin z Kristine i sam zgłosi się na policję, powie, co zrobił. Nikt go za to nie potępi. Oczywiście poniesie karę wymierzoną przez sąd, ale nikt tak naprawdę go nie potępi. A zresztą nie obchodziło go, co sobie pomyślą inni. Zabójstwo uważał za bezwzględnie konieczne. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

\*\*\*

Mężczyzna, który wkrótce miał zginąć, zmienił zdanie. Wczoraj był przekonany, że znów to zrobi. Teraz myślał o ominięciu jednej soboty. Fatalnie się złożyło, że znaleźli zwłoki w tym opuszczonym ogrodzie. Miał przecież stuprocentową pewność, że od lat nikt tam nie zaglądał. Pewnie dlatego wykopał taki płytki dół. Ale też trochę za bardzo mu się spieszyło. Niech to szlag! Przyjemnie jednak było trafić na pierwsze strony gazet. Może właśnie to go wczoraj oślepiło. Teraz, po głębszym namyśle przyszło mu do głowy, że sytuacja staje się niebezpieczna.

Jak na ironię losu siedział w wannie ze szklanką tej samej whisky co dentysta Håverstad. Opróżnił ją jednym łykiem i przygotował sobie kolejnego drinka.

Tak, mógł ominąć jedną sobotę. Wydawało się to konieczne, chociaż nie bardzo mu było w smak, bo zaburzało jego schemat, a przecież głównie to go bawiło. I najbardziej drażniło policję. Szczególnie podobał mu się pomysł z krwią. Przyciągała uwagę. Gdyby nie krew, nie zaznałby rozgłosu. I w dodatku świńska krew, na muzulmankach!

Po odnalezieniu zwłok sprawa od razu zrobiła się poważ-

niejsza. Teraz musiał się liczyć z poświęceniem większych środków, a wcale nie o to mu chodziło. Cholera, niedobrze, że wygrzebali to ciało.

\*\*\*

Kobieta była okrągłutka i z natury głęboko podejrzliwa. Po czterdziestu latach prowadzenia pensjonatu nikt nie mógł jej oszukać. Zimą wprawdzie miała się odbyć w mieście olimpiada, ale to co innego.

- Tych cudzoziemców na pewno się pozbędziemy - mamrotała do siebie, rozsmarowując jak najbliżej brzegów grubych kromek chleba po pół grama masła. Im grubsze kromki kroila, tym szybciej goście się najadali i dzięki temu schodziło mniej sera i wędliny. Chleb jest tańszy od tego, co ma się znaleźć na nim, prosty rachunek. Z satysfakcją wyliczyła, że na samej kolacji mogła zaoszczędzić sześćdziesiąt albo nawet siedemdziesiąt koron. Po pewnym czasie uzbiera się z tego okrągła sumka.

- Tych cudzoziemców, którzy przyjadą na olimpiadę, na pewno się pozbędziemy. Gorzej z azylantami - mamrotała dalej, za słuchacza mając jedynie wielkiego pręgowanego kocura, który właśnie wskoczył na kuchenny blat. - Psik! Psik! Uciekaj!

Na jednej kromce zostały dwa kocie włosy. Gospodyni zdjęła je krótkimi grubymi palcami. W końcu podjęła decyzję.

Wytarła ręce w obszerny, raczej brudny fartuch i podniosła słuchawkę staroświeckiego czarnego telefonu z tarczą. Grube palce nie mieściły się w otworkach, w końcu jednak zdołała wykręcić numer policji. Kartkę z nim przykleiła tuż kolo aparatu, na wszelki wypadek.

- Halo, mówi Brottum z Gościńca Gudbrandsdalen. Chciałam zgłosić nielegalną imigrantkę.

Złożyła zawiadomienie cierplivej kobiecie, która zapewniła ją, że na pewno zbadają sprawę. Po dziesięciu minutach wyklinała wszystkich muzułmanów, którzy zalewają kraj, a szczególnie okolice Lillehammer, policjantce, już nie tak cierplivej jak na początku, udało się wreszcie zakończyć rozmowę.

- To znów pani Brottum - westchnęła do kolegi siedzącego obok niej w centrali operacyjnej Komendy Okręgowej Policji w Lillehammer i natychmiast wyrzuciła kartkę do śmieci.

W pobliżu komendy dwaj umundurowani funkcjonariusze zrobili sobie późną przerwę na obiad: po trzy hot dogi i duże frytki dla każdego. Siedzieli na betonowej ławce, zerkając na ładną zgrabną kobietę w niemodnym ubraniu, która wybrała miejsce bliżej ruchliwej ulicy. Jadła to samo co oni, ale nie w takich ilościach i nie w takim tempie.

- Założę się, że to nie Norweżka - oświadczył jeden z policjantów z ustami pełnymi jedzenia. - Tylko popatrz na ten strój.

- Ma za jasne włosy - orzekł drugi i wierzchem dłoni wytarł usta. - Zdecydowanie za jasne.

- Może być Turczynką - upierał się pierwszy. - Albo Jugosłowianką. One bywają blondynkami.

- To nie jest cudzoziemka.

Kolega jednak nie ustępował.

- Założymy się? - rzucił. - Stawiam trzy hot dogi i frytki.

Ten drugi zamyślił się i mrużąc oczy, jeszcze raz spojrzął na drobną postać. Zauważyła chyba, że się nią zainteresowali, bo podniosła się gwałtownie i wyrzuciwszy resztki jedzenia do kosza na śmieci, zaczęła się oddalać.

- Dobra - przyjął w końcu zakład.

Obaj wstali i ruszyli w jej stronę. Wyglądała na przerażoną.

- Cholera, chyba miałaś rację, Ulf- stwierdził ten, który wcześniej miał wątpliwości. - W każdym razie ona się nas boi.

- Halo?! - zawołał pierwszy już pewny zwycięstwa. - Proszę zaczekać!

Kobieta w dziwnym ubraniu zatrzymała się i popatrzyła z lękiem.

- Pani nie jest stąd, prawda? - Powiedział to przynajmniej życzliwie.

- Nie, ja nie stąd.

- A skąd pani jest?

- Ja z Iran. Azyl.
- Aha. Ma pani jakieś dokumenty przy sobie?
- Dokumenty nie tu. Tam, gdzie mieszkać.
- A gdzie to jest?

Oczywiście zapomniała nazwy. Poza tym i tak pewnie nie umiałaby jej wymówić, nawet gdyby nie była tak zdenerwowana. Pokazała tylko niezdecydowanie w górę ulicy.

- To tam - powiedziała.

- To tam - powtórzył policjant, patrząc na kolegę. - Chyba będzie musiała pani iść z nami. Sprawdzimy to.

Nie zauważyli, że ma łzy w oczach, nie zauważyli, że cała drży. Ale też zbyt szybko jej nie przypatrywali.

Kiedy drobna Iranka nie pojawiła się na kolacji w Gościńcu Gudbrandsdalen, pani Brottum uznała, że jej zgłoszenie potraktowano poważnie. Podśpiewując pod nosem z zadowolenia, dorzuciła jeszcze po plasterku ogórka na kanapki z pasztetem.

Iranka czekała w celi aresztu Komendy Okręgowej Policji w Lillehammer, aż policja sprawdzi, kim jest. Nie najlepiej się jednak złożyło, że przyprowadzono ją tu akurat wtedy, kiedy trwała zmiana dyżuru. Dwóm policjantom, którzy założyli się o jej pochodzenie, spieszyło się już do żon i dzieci, poprosili więc zmienników, by to oni napisali raport. Tamci dali słowo honoru, że to zrobią. Ale oczywiście zaraz całkiem o tym zapomnieli.

### **Środa, 9 czerwca**

Lalo jak z cebra, żeby nie powiedzieć: jak z beczki. Jakby cała woda, którą przyroda wstrzymywała przez dwa miesiące, chciała się wydostać na jeden raz. Strugi deszczu spadały na wysuszoną ziemię, która nie miała możliwości wchłonąć takich ilości wilgoci. Deszczówka płynęła więc do morza na skrót, za koryta wybierając sobie ulice. Åkebergveien wyglądała jak rzeka Aker po wiosennych roztopach. Woda przelewała się z plu-



skiem, a trzech policjanci z drogówki w wysokich kaloszach i pelerynach przeciwdeszczowych zastanawiali się, kiedy wzbierze na tyle, że zaczną porywać zaparkowane samochody. Na ulicach Oslo zapanował chaos.

Nawet rolnikom, którzy przez długi okres suszy ze zwykłym dla siebie pesymizmem wróżyli najgorsze zbiory, odkąd sięga ludzka pamięć, zaczęto przyznawać rację. Uprawy rzeczywiście były zagrożone. Nastąpiła prawdziwa katastrofa.

Cieszyły się jedynie dzieci. Po długotrwałych upałach nawet niespodziewana nawałnica nie mogła znacząco obniżyć temperatury. Słupek rtęci wciąż nie chciał spaść poniżej osiemnastu stopni. Dzieciaki, piszcząc z uciechy, w samych kąpielówkach wyskakiwały na dwór. Matki głośno protestowały, ale to nie pomagało. To był najcudowniejszy, największy i najcieplejszy deszcz, jaki pamiętano.

Aniołowie płaczą nad Kaldbakkenem, pomyślała Hanne, wyglądając przez okno. Czula się tak, jakby znalazła się w myjni samochodowej. Ulewa gwałtownie uderzała o szyby, zacierając wszelkie kontury i spowijając miasto szarą mgłą. Oparła czoło o chłodne szkło. Przy jej ustach zaraz pojawił się krążek pary.

Przez interkom wezwano ich wszystkich do sali konferencyjnej. Hanne spojrzała na zegarek. O ósmej miała się odbyć chwila wspomnień. Nienawidziła takich zgromadzeń, ale poszła.

Szef wydziału sprawiał wrażenie jeszcze bardziej ponurego niż zwykle. Wyjątkowo włożył garnitur. Spodnie miał mokre do pół łydki, co wyglądało żałośnie i średnio pasowało do okoliczności. W słabo wentylowanym pomieszczeniu czuło się wilgoć. Nikt tutaj nie był suchy, wszystkim dokuczało gorąco, a niektórym było szczerze przykro.

Kaldbakken nie należał do osób lubianych, na to był zbyt zamknięty w sobie, za bardzo milczący. Cierpki, jak mówili niektórzy. Ale zawsze był przyzwoitym, sprawiedliwym człowiekiem. To więcej, niż dawało się powiedzieć o większości

przełożonych w komendzie. Jeśli więc ten i ów uronił Izę podczas wypowiedzianej łamiącym się głosem przemowy szefa wydziału, nie robił tego wyłącznie na pokaz.

Hanne Wilhelmsen nie płakała, ale odczuwała głęboki smutek. Z Kaldbakkenem dobrze jej się współpracowało. Różnili się poglądami na większość spraw dziejących się poza tym wielkim budynkiem, lecz z reguły w pełni się zgadzali we wszystkim, co miało związek z policyjną pracą. Poza tym nie wiadomo, czy następny szef będzie lepszy. Nie wiedziała, kto zostanie nowym

komisarzem. W najgorszym razie przyjdzie ktoś z innego wydziału. Prawdopodobnie jednak minie kilka dni, zanim kogoś mianują i wpuszczą do przesiąkniętego papierosowym dymem gabinetu Kaldbakkena. Pozwolą mu spokojnie spocząć w grobie.

Szef wydziału skończył przemawiać. Zapadła nieprzyjemna, ciężka cisza. Zaszurały krzesła, ale nikt nie wstawał. Nie mieli pewności, czy seans się skończył, czy też może ta chwila milczenia była tylko jego częścią.

- No cóż, *the show must go on*. Przedstawienie musi trwać

- oświadczył szef, ratując wszystkich.

Pokój opustoszał w ciągu minuty.

Hanne Wilhelmsen wbiła sobie do głowy, że musi odszukać Irankę z parteru. Niepokoilo ją takie rozplnięcie się azylantki w powietrzu. W głębi ducha martwiła się, że kobieta z podciętym gardłem już leży gdzieś kilka stóp pod ziemią. Sobotni zabójca mógł przecież zmienić zwyczaje. Z całą pewnością powinni ją odnaleźć. Hanne była zła na siebie, że tak pobieżnie przesłuchiwała ją w tamten poniedziałek, ale wtedy nie wydawało jej się to ważne i miała tak cholernie dużo innej roboty.

Teraz przynajmniej wiedzieli już na pewno, że kobieta znaleziona w zarośniętym ogrodzie została zgwałcona. Na dwa sposoby, jeśli można tak powiedzieć. Hanne miała przed sobą wyniki badań patologa. Nie przeprowadzono jeszcze analizy

DNA, to akurat trwało strasznie długo, ale już wykazano obecność spermy w odbycie i w pochwie.

Muszą przede wszystkim odnaleźć Irankę. Erik Henriksen miał załatwić formalności związane z wszczęciem jej poszukiwań.

- W całej Norwegii południowej - przykazała mu Hanne. - A zresztą nie, w całym kraju.

Postanowiła poczekać kilka godzin. Mieszkanie cudzoziemki pozostawało pod obserwacją. Hanne zdecydowała, że jeszcze raz przesłuchają po kolei wszystkich sąsiadów. Na wszelki wypadek. Czterech funkcjonariuszy zamierzało na to poświęcić większość dnia. Sama Hanne miała więcej niż dość roboty w biurze.

A za oknem wciąż była tylko mokra szarość.

\*\*\*

Kristine Håverstad nie wiedziała, czy będzie w stanie odebrać życie śpiącemu człowiekowi. Ekscytowała ją wprawdzie myśl o uldze, jaką miał przynieść jej plan, lecz żałowała, że nie ma skuteczniejszej broni niż nóż. Najlepszy byłby pistolet, wtedy mogłaby go dłużej dręczyć. Zyskałaby nad nim przewagę, postawiła go w swojej sytuacji. Tak by było najbardziej sprawiedliwie. Błagałby wtedy Boga, by nie pozwolił mu umrzeć. A ona nie musiałaby się spieszyć. Może zażądałaby nawet, żeby się rozebrał, stanął przed nią kompletnie bezbronny i nagi, a ona w ubraniu celowałaby do niego z broni.

Ojciec miał pistolet. Wiedziała o tym. Ale kompletnie nie znała się na strzelaniu. Doskonale natomiast wiedziała, gdzie należy zadać cios nożem, by okazał się śmiertelny. Potrzebowała jednak czasu. Musiał zasnąć głęboko. Między trzecią a czwartą ludzie śpią najmocniej, dopadnie go więc w tych godzinach. Odbierze mu życie, mimo że będzie spał. Chociaż właściwie nie chciała, żeby tak to się odbyło.

\*\*\*

Kobieta z Iranu siedziała w areszcie w Lillehammer już czternastą godzinę. Dostała jedzenie, tak jak wszyscy

zatrzymani, ale nic więcej. Nie krzyczała jednak ani się nie odzywała. Uznała, że tak musi być.

W nocy nawet przez chwilę nie spała. Za dużo było tu światła. Poza tym paraliżował ją lęk, wcześniej już dwa razy siedziała w celi, co prawda nie tak czystej i bez jedzenia, ale niepewność i strach niczym się nie różniły.

Skuliła się w kącie, podciągnęła kolana pod brodę i znieruchomiała na kolejne godziny.

\*\*\*

- Przepadła bez śladu. Nikt nic nie słyszał ani nie widział. W domu nie ma jej chyba od poniedziałku. Trudno określić, bo sąsiedzi mówią, że nigdy za bardzo nie rzucała się w oczy. Z jej mieszkania nie dochodziły żadne hałasy, tak twierdzą ci z naprzeciwwka.

Erik Henriksen przypominał podtopionego lisa. Wokół jego stóp już utworzyła się kałuża, która stale się powiększała. Pochylił się i mocno potrząsnął głową.

- Hej, nie musisz moczyć i mnie! - zaprotestowała Hanne.

- Powinnaś wyjść na tę pogodę - odparł zachwycony. - To jest naprawdę niewiarygodne. Leje bez przerwy. W wielu miejscach woda sięga potąd. - Rozpromieniony uderzył się jak karateka w kolano i jeszcze szerzej się uśmiechnął. - Prawie nie daje się jeździć samochodem, silnik zalewa!

Nie musiał jej wcale o tym mówić. Hanne Wilhelmsen miała wrażenie, że woda już niedługo dotrze do jej okna na trzecim piętrze. Policjanci z drogówki na Åkebergveien poddali się godzinę temu. Zamknęli całą ulicę. Pracownicy wielkiego budynku przestali sobie żartować z oberwania chmury i zaczęli się niepokoić. Chaos panujący w mieście nie wywoływał już tylko irytacji. Na rozlewisku, które utworzyło się na Thorvald Meyers gate, woda zalała silnik karetki. Na szczęście doszło do tego blisko pogotowia i nic złego się nie stało, tylko pacjentka ze złamaną szyjką kości udowej przemokła do suchej nitki, bo sanitariusze musieli zanieść starszą panią na noszach, brodząc po kolana w wodzie. Ale mogło się zdarzyć coś gorszego. Nie

obawiano się tylko pożarów. Przerażała świadomość, że infrastruktura miasta powoli się załamuje. Dwa rejony telekomunikacyjne wysiadły, kiedy zalało stację trafo. W Szpitalu Ullevål generator pracował resztką sił.

- Co właściwie mówią meteorolodzy?

- Nie wiem - odparł Erik i nachylił się do okna. - Ale ja ci powiem, że ten deszcz jeszcze przez jakiś czas nie ustąpi.

Po jego wyjściu w pokoju Hanne zjawił się szef wydziału. Zrzucił marynarkę, ale wciąż nie czuł się najlepiej w garniturowych spodniach, kupionych kilka ładnych kilogramów temu. Podciągnął nogawki, zanim usiadł.

- Nie zdążymy przed sobotą, prawda?

Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie, dlatego Hanne się nie odezwała.

- I co teraz zrobimy? - Tym razem już domagał się odpowiedzi.

- Posiałam czterech ludzi do kamienicy Kristine. Jeszcze raz przesłuchują wszystkich sąsiadów. Tym razem dokładniej. - Zmieszana zapatrzyła się w mokrą plamę zostawioną przez Erika. - Głupia historia. Powinnam być dokładniejsza od samego początku.

Rzeczywiście powinna. Ale szef dobrze wiedział, dlaczego tak się stało. Potarł twarz i pociągnął nosem.

- Cholera, od tej zmiany pogody wszyscy się poprzeziębiamy. Jeszcze tylko brakuje nam epidemii grypy.

Westchnął ciężko i zobaczył, że Hanne wciąż nie może sobie darować pobieżnego potraktowania sprawy zeszytygodniowego gwałtu. Kiedy jeszcze - być może - mieli dość czasu, by zapobiec ostatniej sobotniej masakrze.

- Ależ, Hanne - odezwał się przyjaźnie, przysuwając się bliżej z krzesłem. - To był gwałt. Odrażający i straszny, ale niestety całkiem zwyczajny. Co mogłaś zrobić przy takim nawale roboty? Jeśli ta twoja teoria jest słuszna i ten sam człowiek jest również sprawcą sobotnich masakr - a wydaje mi się, że tak - to odkryliśmy związek dopiero teraz. Przed tygodniem nic o tym nie wiedzieliśmy - urwał, kilka razy nierówno odetchnął i

głośno kichnął. - Wiesz, ilu musiałoby nas tu być, żebyśmy mogliśmy się zająć każdym gwałtem tak, jak by tego wymagał? Hanne pokręciła głową.

- Ja też nie wiem. - Znów pociągnął nosem. - Ale takie jest życie. Mamy za mało ludzi. Gwałt to trudne przestępstwo. Nie możemy jednak poświęcać mu za dużo czasu. To przykre, ale prawdziwe.

Jego żal był szczery i Hanne o tym wiedziała. Ale szef wydziału nie zajmowałby tego stoika, na którym siedział, gdyby nie był elastyczny i pragmatyczny. Gwałt trudno udowodnić, a policja musiała mieć dowody. Po prostu.

- Robicie coś jeszcze oprócz rozmów z sąsiadami?

- Czytam raporty patologa. Co prawda niewiele z tego, co znalazł, może nam się przydać, ale dobrze mieć gotowe argumenty, gdybyśmy odkryli sprawcę. Gdybyśmy się ot, tak na niego natknęli - uśmiechnęła się zmęczona, -r- Poza tym ciągle szukamy tej Iraniki. Nie podoba mi się jej zniknięcie. Nie widzę powodu, dla którego miałyby przepaść. Albo się czegoś boi, a wtedy bardzo bym chciała wiedzieć czego lub kogo. Albo dołączyła do swoich sióstr z Azji i leży gdzieś w błocie.

Szef wydziału odpukał w stół.

- No, jeśli wciąż jest w kraju i żyje - na wszelki wypadek jeszcze raz stuknął w biurko - to na pewno się pojawi. Prędzej czy później.

- Módlmy się, żeby prędzej - odparła Hanne. - A tak w ogóle to wiesz coś o pogodzie? Naprawdę zaczyna się robić strasznie.

- Podobno deszcz ma pod wieczór trochę zelżeć, ale i tak będzie mocno padać. Tak uważają meteorolodzy. Ale... Bóg jeden wie. - Podniósł się ciężko. - Informuj mnie. Zostaję w pracy całe popołudnie.

- Ja też - powiedziała Hanne.

- Aha, i jeszcze coś... - W drzwiach się odwrócił. - Pogrzeb w poniedziałek. Przyjdiesz?

- Jeśli w poniedziałek Ziemia nadal będzie się obracać, to przyjdę.

\*\*\*

Woda oczywiście pokrzyżowała im plany. Umówili się, że zaczną od knajp na nabrzeżu Aker, a potem przerobią całą zwykłą trasę. To nie wchodziło w grę. Istniały naprawdę dobre powody, by wątpić, czy Aker Brygge w ogóle istnieje.

- Cholernie fajna pogoda - oznajmił Terje uradowany. - Idziemy się kąpać!

Propozycji nawet nie skomentowano. Ale chociaż deszcz popsuł im pierwotny pomysł, to rozentuzjazzmowani studenci nie zamierzali z tego powodu rezygnować z imprezy.

- Mam myśl - oświadczyła Kristine, wciąż zdaniem przyjaciół zabiedzona po przebytej grypie. - U mnie jest sporo alkoholu. Mieszkam teraz u ojca. Okropnie źle się czułam i lepiej mi było u niego. - Zastanowiła się przez chwilę i błyskawicznie zmieniła zdanie. - Ale może byśmy poszli do ciebie, Cathrine? Ja przyniosę wino i obrabuję zamrażarkę. A na ewentualną dogrywkę przeniesiemy się do mnie. Tata na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

To był naprawdę świetny pomysł. Jeszcze dwie godziny nauki i spotykają się u Cathrine.

\*\*\*

Dochodziła siódma i nie lało już tak mocno. Okno w pokoju Hanne Wilhelmsen przestało być szarą, pozbawioną konturów płaszczyzną. Widać było już przez nie dach garażu, w którym stały radiowozy, i nawet komis samochodowy po drugiej stronie ulicy. Deszcz tylko trochę zamazywał obraz, ale kłamstwem byłoby stwierdzenie, że pogoda jest ładna.

Przemoczeni na wylot funkcjonariusze jeden po drugim wracali po rozmowach z sąsiadami Kristine. Ostatni zjawił się student szkoły policyjnej, dla którego przesłuchania były nawet dość ciekawe. Siedzieli teraz w swoich pokojach i pisali rapor- ty.

- Żaden z was nie pójdzie do domu, dopóki wszyscy nie skończą - oświadczyła Hanne zdecydowanie, kiedy zaczęli się burzyć na nadgodziny bez wynagrodzenia.

- Cholerna karierowiczka! - mruknął któryś, kiedy dostatecznie się oddalili. - Myśli, że zostanie komisarzem?

Pisali i pisali. Dwóch z pełnymi nadziei uśmiechami przyniosło już gotowe produkty, ale zostali twardo odesłani. W końcu na biurku Hanne leżał plik dwudziestu czterech kartek formatu A4. Policjanci mogli iść do domu. Rozbiegli się jak uczniaki w ostatni dzień szkoły przed wakacjami.

Wciąż nie natknęli się na żaden ślad młodej Iranki. Hanne nie na żarty zaczęła się niepokoić. Było już jednak po dziewiątej, a ona czuła się śmiertelnie zmęczona. Powinna jeszcze przed wyjściem przeczytać starannie te raporty, przecież coś w nich mogło być.

- Raczej nie - powiedziała do siebie głośno po chwili zastanowienia.

Ale raporty zabrała ze sobą, na wszelki wypadek. Mogła je przejrzeć w domu. Przed wyjściem poprosiła jeszcze, żeby zadzwonili do niej z centrali operacyjnej, gdy tylko będzie coś wiadomo w sprawie cudzoziemki. A raczej jeśli ktokolwiek się zgłosi.

\*\*\*

Pogoda dodała imprezie smaku. Deszcz bębnił o szyby jak w prawdziwie jesienny wieczór, a w środku było gorąco i sucho. Napojów nie brakowało. Dwóch chłopaków usiłowało usmażyć zamrożoną na kość polędwicę.

- Ja chcę krwisty befsztyk! - zawołała Torill.

- Krwisty - mruknął chłopak przy patelni. - Dobrze będzie, jeśli w ogóle się rozmrozi.

Finn Håverstad nie okazał ani radości, ani zmartwienia, kiedy Kristine wróciła do domu i niespodziewanie oświadczyła, że idzie na spotkanie z przyjaciółmi, ale pozwolił jej wziąć całą skrzynkę wina. Właściwie prawie na siebie nie spojrzeli.

Gdy wyszła razem z towarzyszącym jej młodym człowiekiem, który kłaniał się nisko i szurał nogą, poczuł ulgę. Jeśli będzie miał szczęście, córka zabaluje całą noc. A na to się zapowiadało przy takich ilościach wina.



Myśli zajmowało mu co innego. Miał przecież swój plan. Na imprezie Kristine starała się nie pić, co było ogromnie trudne, bo Terje krążył wokół niej jak jastrząb. Ledwie umoczyła usta, zaraz jej dolewał. W końcu się przesunęła i usiadła tuż przy wielkiej juce. Terje oczywiście przyszedł za nią, ale teraz jego bliskość już jej nie przeszkadzała. Przeciwnie.

Impreza toczyła się tak, jak zwykle się toczą studenckie popijawy. Wznosili toasty i stukali się kieliszkami, jedli filety z połędwicy, spalone z zewnątrz, a zmrożone w środku, opychali się pieczonymi ziemniakami, a jeszcze później zrobili grzańca. Bali się egzaminów i cieszyli wakacjami. Snuli plany na najbliższą przyszłość, na podróż po Europie pociągiem i na tę dalszą, z doktoratami i chirurgią mózgu.

Kiedy zegar na wieży kościelnej ledwo widocznej po drugiej stronie ulicy wybił dwanaście uderzeń, wszyscy byli już naprawdę nieźle pijani. Z wyjątkiem Kristine Håverstad. Udało jej się przez cały wieczór nie wypić w sumie więcej niż kieliszek, natomiast liście juki wyraźnie zaczynały się zwieszać.

\*\*\*

Od zatrzymania minęło dokładnie szesnaście godzin, a z Iranką wciąż nikt nie porozmawiał. Ona zaś nawet piśnięciem nie zaprotestowała przeciwko takiemu traktowaniu. Śmiertelnie przerażona i zmęczona dalej siedziała w kącie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Jedzenie stało na drugim końcu celi nietknięte. Kobieta była pewna, że umrze. Z zamkniętymi oczami dziękowała Allahowi za każdą minutę, w której nikt po nią nie przychodził.

Szefem dyżuru był tej nocy przejęty swoją pracą trzydziestodwulatek z Gausdal. Miał przed sobą jasną przyszłość w policji i prokuraturze. Studiował też prawo i udawało mu się zaliczać wszystko w normalnym trybie mimo żony, dwojga dzieci i dopiero co skończonej budowy domu. Nie należał do ludzi, którzy śpią na dyżurze.

Ale pokusa go nie opuszczała. Ziewnął. Ta szalona pogoda

przysporzyła policjantom mnóstwa pracy, która właściwie nie należała do ich obowiązków. Ale kiedy wszyscy inni zawodzą, ludzie dzwonią na policję. Wysyłał więc swoje oddziały do podtopionych piwnic i do kierowców, którzy utknęli w wodzie sięgającej klamki w drzwiczkach samochodu. Kilka godzin temu deszcz trochę zelżał i miasto jakby zaczęło się uspokajać. Spać jednak nie mógł.

Mundur zaczynał go już cisnąć. Żona mówiła, że to dodatek do pensji za dobre samopoczucie. Chyba miała rację. Naprawdę świetnie mu się żyło. Praca, którą lubił, wspaniała rodzina, sytuacja finansowa opanowana, mili teściowie. Chłopakowi z Gausdal nie mogło lepiej się ułożyć. Uśmiechnął się do siebie. Potem poszedł zajrzeć do aresztu.

- O, znów tu jesteś, Reidar - przywitał stałego bywalca, który miał cztery promile alkoholu we krwi, za to nie miał ani jednego zęba.

Aresztant dźwignął się z trudem i zatoczył z radości na widok starego znajomego.

- To ty, Frogner? Naprawdę ty? - Znów się zachwiał, a Frogner się roześmiał.

- Chyba powinienes się położyć. Jutro wszystko będzie wyglądało lepiej, przekonasz się.

Znał ich prawie wszystkich, ale nie każdego dawało się dobudzić. Wchodził wtedy do celi, potrząsał nimi i zmuszał do otwarcia przynajmniej jednego oka, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyją. Żyli. Kiedy jednak dotarł do ostatniej celi, stanął jak wryty-

W głębi siedziała skulona kobieta. Z całą pewnością nie spała, chociaż oczy miała zamknięte. Zaciskała je mocno, a on już od krat widział, że drżą jej powieki. Delikatnie odsunął zasuwę i otworzył ciężkie metalowe drzwi. Kobieta nie zareagowała w sposób widoczny, tylko jeszcze mocniej zacisnęła powieki.

Knut Frogner wychował się na wsi. Nieraz widywał wystraszone zwierzęta, poza tym miał dwoje dzieci i zdrowy chłopski rozum. Zatrzymał się przy wejściu.

- Dzień dobry - powiedział cicho.

Wciąż żadnej reakcji. Przykucnął, żeby wyglądać na mniejszego.

- Nie bój się.

Ze strachem otworzyła oczy. Ciemnoniebieskie.

- Kim jesteś?

Może nie mówiła po norwesku? Mimo koloru oczu miała w sobie coś cudzoziemskiego.

- *Who are you?* - powtórzył szkolną angielszczyznę z Gausdal.

To nie było proste. Kobieta w ogóle nie odpowiedziała i znów zamknęła oczy. Małymi kroczkami podszedł do niej i znów przykucnął. Położył jej rękę na kolanie, aż drgnęła, ale przynajmniej otworzyła oczy.

- Kim jesteś? - spytał jeszcze raz.

W pliku raportów, które już zdążył przeczytać, nie napisano nic o żadnej zatrzymanej cudzoziemce. W ogóle nie było ani słowa o jakiegokolwiek kobiecie. Policjanta ogarnęło nieprzyjemne uczucie. Od jak dawna właściwie ta biedaczka siedzi tu zamknięta?

Rozumiał przynajmniej jedno: próby podjęcia rozmowy z nią w tym miejscu nic nie przyniosą. Podniósł ją ostrożnie, ale zdecydowanie. Najwyraźniej siedziała w tej samej pozycji od dłuższego czasu, bo przez twarz przebiegi jej bolesny skurcz, gdy sztywno stawała na nogi. Nie czuć od niej było alkoholu. To nie mogła być klientka izby wytrzeźwień. Ale sądząc po ubraniu, pochodziła gdzieś z Dalekistanu.

Ujął ją za rękę i powoli wyprowadził z aresztu. Po dotarciu do dyżurki przegonił stamtąd trzech zmęczonych funkcjonariuszy i wyłączył wideo, które oglądali. Usadził kobietę na niewygodnej kanapie.

- Muszę się dowiedzieć, jak się nazywasz - powiedział, starając się wyglądać na tyle sympatycznie, na ile to możliwe w wypadku człowieka w mundurze.

Wymamrotała jakieś nazwisko, ale tak cicho, że nic nie zrozumiał.

- Słucham? - spytał szybko, przykładając dłoń do ucha.  
To powinien być dostatecznie międzynarodowy gest.  
Powtórzyła nazwisko, tym razem trochę wyraźniej. Ale w niczym to nie pomogło, Frogner i tak nie zrozumiał. Gorączkowo zaczął się rozglądać za czymś do pisania. Przy brzegu stołu leżała na papierze śniadaniowym niedojedzona kanapka z brązowym kozim serem. Sięgnął po papier, nie bacząc, że kanapka spadła na ziemię. Potem uderzył się w kieszonkę na piersi i na szczęście znalazł długopis. Położył go przed kobietą. Z wahaniem wyciągnęła rękę i w końcu napisała nazwisko, a przynajmniej coś, co mogło je przypominać.

- Czy ty w ogóle mówisz po norwesku?  
Nieco ośmielona kiwnęła głową.

- Od jak dawna tu jesteś?  
- Nie wiem.

To były pierwsze słowa, jakie wymówiła od blisko półtorej doby. Policjant zaklął pod nosem, a następnie poruszył niebo i ziemię, żeby się dowiedzieć, kim właściwie jest ta kobieta.

\*\*\*

Finn Håverstad się nie spieszył.  
Nagła zmiana pogody, która początkowo wydawała mu się nieoczekiwaną przeszkodą, ostatecznie okazała się błogosławieństwem. Wszyscy siedzieli w domach, gwałciciel też. Kiedy Håverstad przyjechał na miejsce około jedenastej, w szeregowcu w Bærum dostrzegł i światło, i ruch. Poczul przyływ ulgi, a zarazem otępiającego strachu. Chyba w głębi serca miał nadzieję, że nie zastanie tego człowieka albo zobaczy dom pełen gości. Takich, którzy będą nocować. Musiałby wtedy odłożyć swoje plany. Na jakiś czas.

Ulga jednak przeważała.

Deszcz wciąż padał gęsto i równo, ale nie przypominał już potopu sprzed kilku godzin. Kusilo go, by nie wysiadać z auta, lecz bał się, że zostanie zauważony. Poza tym doświadczenia ostatnich dni pokazały mu, że niedobrze jest, gdy samochód zaparkuje się zbyt blisko miejsca zdarzenia. Wprawdzie ciągle

nie zamierzał ukrywać swojej zbrodni, ale chciał mieć trochę czasu, by się po tym wszystkim uspokoić. Chodziło mu o kilka godzin, dzień albo dwa, może nawet tydzień. Sam chciał zdecydować o tym, kiedy powinien się przyznać.

Dlatego tylko przez kilka minut postął z włączonym silnikiem. Akurat tyle, by się upewnić, że właściciel jest w domu.

Potem znów ruszył, minął dwa progi spowalniające i skręcił za róg. Po lewej stronie ciągnął się niemal stumetrowej długości czteropiętrowy budynek z tarasowo ułożonymi mieszkaniami. Na olbrzymim parkingu stały samochody żon, które nie mieściły się w podziemnym garażu. Wjechał swoim bmw między starą hondę a nowiusieńkiego opla corsę. Corsa wyglądała tak, jakby ucieszyła się z towarzystwa.

Glock był na swoim miejscu - wsunięty za pasek spodni. Ale Håverstad włożył go tam bardziej z braku lepszego pomysłu niż dlatego, by uważał takie rozwiązanie za najzręczniejsze. Było mu niewygodnie, lecz pistolet przynajmniej nie zamókł.

Piechotą pokonał dwieście metrów z powrotem. Zatrzymał się przy wylocie ulicy, przy której mieszkał gwałciciel. Na tyłach szeregowca dostrzegł coś w rodzaju placu zabaw dla dzieci i kilka ławek. Nie były widoczne od frontu, bo szeregowiec tworzyło dziesięć przylegających do siebie domów. Zaraz za placem zabaw, dwadzieścia albo trzydzieści metrów od tylnej ściany budynku wznosiła się stroma skała, która zapewne nieprzyjemnie zaciemniała podwórze nawet w pogodniejsze dni. Finn Håverstad przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zmienić planu i przedostać się do mieszkania gwałciciela raczej od tej strony, znacznie bardziej osłoniętej, niewidocznej ani z ulicy, ani z okien stojących dalej domków jednorodzinnych. Jednak obcy człowiek na ulicy wzbudziłby mniejsze zainteresowanie, jeśli ktoś już by go zauważył.

Postanowił więc trzymać się pierwotnego planu. Włożył kaptur przeciwdeszczowego płaszcza i spróbował spokojnym krokiem dojść do piątego domu w szeregu. Na moment się przed nim zatrzymał. Było już wpół do pierwszej, nigdzie

żywego ducha. W większości okien pogasły światła. Rozejrzał się i wskoczył między krzewy, w miejscu, w którym stykały się trzy odcinki żywoplotu, zaledwie osiem metrów od domu gwałciciela. Tam czekał.

\*\*\*

Terje nie dał się prosić dwa razy. Pewnie sam by to zaproponował, gdyby go nie uprzedziła. Zachwycony, chociaż pijany jak bela, chwiejnie dotarł do taksówki, którą Kristine w końcu po czterdziestu minutach irytującego oczekiwania na połączenie udało się wezwać. Miał jechać z nią do domu. W środku nocy. Co oczywiście mogło oznaczać tylko jedno. Nadzieja nie pozwalała mu zasnąć prawie przez całą drogę. Ale tylko prawie. Bo kiedy skręcili na podjazd przed rodzinnym domem Kristine Håverstad na Volvat, nieźle się namęczyła, żeby go ocucić. W końcu poprosiła taksówkarza o pomoc we wtaszczeniu go do przedpokoju. Kierowca miał minę kwaśną jak ocet. Musiał wysiąść z samochodu w tę paskudną pogodę, a na dodatek podwórze przed domem było jedną wielką kałużą. Przeklinając pod nosem, dosłownie rzucił chłopaka na podłogę zaraz za progiem.

- Dziś w nocy niewiele będzie z niego pożytku - stwierdził ze złością, ale trochę się rozchmurzył, kiedy Kristine dała mu pięćdziesiąt koron więcej, niż wskazywał taksometr. - No to powodzenia - mruknął, uśmiechając się krzywo.

Kristine wcale nie zależało na tym, by Terje aż tak się upił. Prawie pięć minut zajęło jej zaciągnięcie go do sypialni, chociaż miała do pokonania zaledwie osiem metrów. Cała trudność polegała na tym, by nie zbudzić ojca.

Łóżko było wąskie, ale już wcześniej gościła w nim chłopaków. Terje zaciekle walczył ze snem, to przecież miała być najwspanialsza chwila w jego życiu. Gdy jednak Kristine ściągnęła z niego ubranie i ułożyła go w miękkiej pościeli, wszelkie nadzieje zgasły. Zaczął chrapać. Nie protestował, kiedy zerwała z niego kołdrę i obróciła go na brzuch, tak by zgrabny tyłek ułożył się odpowiednio do zastrzyku. Przygotowana wcześniej

strzykawka leżała w zasięgu ręki pod łóżkiem. Ponieważ Terje był bardziej pijany, niż zakładała, powoli upuściła kilka miligramów. Dziewięćdziesiąt wystarczy. Dziewięćdziesiąt miligramów nozinanu. W Błękitnym Krzyżu aplikowali nawet trzysta, żeby najagresywniejszym pijakom, którzy chlali od kilku dni i nie wiedzieli już, jak się nazywają, zapewnić kilka godzin tak potrzebnego snu. Ale Terje nie był alkoholikiem, choć w tej chwili musiał mieć dobrze ponad dwa promile etanolu we krwi. Poza tym był tak nieprzytomny, że przez moment się zastanowiła, czy w ogóle konieczne jest faszzerowanie go nozinanem. Pewnie i bez niego przespałby całą noc.

Ale wątpliwości nie trwały długo. Zdecydowanie wbiła igłę w lewy pośladek. Chłopak nawet nie drgnął. Powoli wtłoczyła zawartość strzykawki w mięsień. Potem wyciągnęła igłę, a do miejsca wkłucia przycisnęła wacik. Odczekała dłuższą chwilę. Zabieg się powiódł. Kiedy jutro przed południem Terje odzyska świadomość i zobaczy ją kolo siebie, głowę będzie rozsadał mu kac. Nie zaprotestuje, gdy Kristine podziękuje mu za cudowną noc. Miody napalony chłopak z doświadczeniem skromniejszym, niż chciał się do tego przyznać, trochę się zdziwi, trochę zastanowi, a potem ułoży sobie w głowie znakomicie stymulującą ego historię o tym, jak było wspaniale.

Kristine Håverstad zaaranżowała swoje żalosne alibi. Lekko zdrzała, wkładając przemoczoną kurtkę. Jej samochód, mokry

i urażony, stał na końcu podwórza, dostatecznie daleko od domu, by odgłos włączanego silnika na pewno nikogo nie obudził. Tymczasem w odwecie za to, że dzień wcześniej nie chciało jej się wstawić go do garażu, postanowił, że nie zapali.

Cholera, nie mogła go uruchomić!

\*\*\*

Hanne Wilhelmsen usiłowała zasnąć. Okazało się to jednak trudne. Wprawdzie ulewa straciła trochę na gwałtowności, ale deszcz wciąż siekł o szyby sypialni, a za każdym razem, gdy

wiatr mocniej dmuchał, rozlegało się zawodzenie w kominie. Poza tym myśli nie dawały jej spokoju.

Ogarnęło ją poczucie beznadziejności, a zmęczenie nie pozwalało się skoncentrować. Raporty, na które ledwie rzuciła okiem, leżały na nocnym stoliku i nie dawały spać. Co dwie minuty przekreślała się w nadziei, że wreszcie znajdzie błogosławioną pozycję, w której mięśnie się odprężą, a mózg zwolni. Przy każdym jej ruchu Cecilie mruzczała coś niezadowolona.

Wreszcie Hanne się poddała. Niechże przynajmniej jedna z nich się wyśpi. Ostrożnie i niemal bezszelestnie podniosła się z łóżka, z wieszaka przy drzwiach zdjęła różowy szlafrok i poszła do salonu. Skuliła się w fotelu i zabrała do raportów.

Trzej policjanci wypowiadali się stosunkowo zwięźle i widać było, że zależy im na precyzji, ale często miało to odwrotny skutek i niepomiernie irytowało Hanne. Natomiast student najwyraźniej miał większe ambicje literackie. Pławił się w metaforach i długich zdaniach, pisał raz o jednym, raz o drugim, zataczał koła i wracał do wątku. Hanne się uśmiechnęła. Naprawdę umiał pisać i z wyjątkiem kilku drobiazgów nawet ortografii nie można było nic zarzucić, chociaż jego elaborat nie bardzo przypominał raport policyjny. Ale miał też inny talent. Od rodziny mieszkającej nad Kristine Håverstad wyciągnął, że w kamienicy naprzeciwko stale ktoś siedzi przy oknie, jakby spał. Student rozczarowany brakiem innych wartościowych informacji postanowił przejść się na drugą stronę ulicy. Odwiedził jakiegoś świra, który najwyraźniej bacznie obserwował wszystko, co działo się na tej niewielkiej uliczce. Mężczyzna w nieokreślonym wieku zachowywał się wrogo, lecz jednocześnie nie krył dumy ze swoich archiwów pełnych notatek o rozmaitych sprawach. Poza tym zdradził, że całkiem niedawno odwiedził go człowiek o nazwisku Håverstad.

Hanne była już przytomniejsza. Zrobiła kilka okrężnych ruchów głową, licząc, że w ten sposób więcej krwi dopłynie do przemęczonego mózgu. Postanowiła zaparzyć kawę. Tej nocy i tak mogła sobie darować wszelki sen i odpoczynek. Ale naj-



pierw chciała doczytać stronę do końca. Po tym nie potrzebowała już kofeiny. Zupełnie otrzeźwiała.

I wtedy zadzwonił telefon. Jej telefon. Dopadła go w trzech skokach z nadzieją, że zdąży odebrać, zanim Cecilie się obudzi.

- Słucham, Wilhelmsen - powiedziała cicho, usiłując rozciągnąć sznur od słuchawki tak, by sięgał do salonu. W efekcie telefon z hukiem zwałił się na podłogę. - Halo? - spróbowała jeszcze raz, ale prawie szeptem.

- Mówi Villarsen z centrali operacyjnej. Właśnie dostaliśmy meldunek z Lillehammer. Znaleźli tę Irankę, której poszukiwaliśmy.

- Sprowadźcie ją tutaj - nakazała Hanne krótko. - Natychmiast.

- Jutro rano mają transport do Oslo, wezmą i ją.

- Nie - zaprotestowała. - Ona musi się tu znaleźć jak najszybciej! Natychmiast! Zarekwirujcie jakiś sprzęt, nawet helikopter, jeśli to będzie konieczne. Wszystko jedno co. Za dziesięć minut będę w komendzie.

- Poważnie mówisz o tym helikopterze?

- W życiu nie mówiłam poważniej. Pozdrów prokuratora i powiedz, że to sprawa życia i śmierci. Możesz pozdrowić też panią komendant, jeśli masz ochotę. Muszę natychmiast porozmawiać z tą kobietą.

\*\*\*

W wielkim zmęczonym budynku na Grønlandsleiret 44 wyjątkowo coś szło jak po maśle. Już dwadzieścia minut po rozmowie centrali operacyjnej z sierżant Hanne Wilhelmsen irańska azylantka siedziała w helikopterze lecącym z Lillehammer do Oslo. Hanne przez chwilę się bała, że pogoda uniemożliwi transport lotniczy, ale prawdę mówiąc, nie za bardzo się na tym znała. O to, jak bardzo ta akcja może się okazać trudna do udźwignięcia przez i tak już napięty budżet, mogli się kłócić kiedy indziej.

Czas oczekiwania należało jednak jakoś wykorzystać. Iranka mogła się stawić w komendzie najwcześniej za trzy kwadransy. Wcześniej muszą się skontaktować z dziwakiem z kamienicy

naprzeciwno, z tym od numerów samochodów. Niechętnie, acz nie bez dumy, pokazał nieprzyozdobionemu żadnymi dystynkcjami studentowi siedem rejestracji, które spisał dwudziestego dziewiątego maja. Szkoda, że niedoświadczony chłopak tylko przyjął informację o numerach, ale niestety ich nie zanotował. Wprawdzie było już po pierwszej, lecz Hanne postanowiła przyduścić E, żeby przysłużył się czymś społeczeństwu. Okazało się, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Siedziała w centrali operacyjnej, w środkowym pomieszczeniu komendy. Dookoła trwała cicha aktywność. Regularnie napływały meldunki z radiowozów patrolujących nocą ulice, zgłoszenia nadawały Fox i Bravo, Delta i Charlie, w zależności od tego, kim byli i co robili. Odwrotną drogę pokonywały informacje i rozkazy wydawane przez funkcjonariuszy w mundurach, którzy od czasu do czasu łączyli się przez wewnętrzny telefon z podsy-  
piającym prokuratorem, by uzgodnić zatrzymanie albo wyważenie drzwi. Hanne Wilhelmsen siedziała w drugim rzędzie ławek opadających amfiteatralnie ku centrum pomieszczenia. Na ogromnej mapie Oslo umieszczonej na przeciwległej ścianie prędko odnalazła adres Kristine Håverstad. Wpatrywała się w niego przez kilka minut. Zdjęta lękiem czekała na odpowiedź patrolu, który podjął się zlecenia. W napięciu złamała trzy ołówki, które przecież nie zrobiły nic złego.

- Fox trzy-zero wzywa zero-jeden.
- Zero-jeden do Fox trzy-zero. Co się dzieje?
- Nie wpuszcza nas.
- Nie chce wam otworzyć?
- Albo go nie ma w domu, albo nie chce nas wpuścić. Raczej to ostatnie. Wywalamy drzwi?

Istniały jednak granice. Sprawdzenie informacji uzyskanych przez Finna Håverstada od tego świra było wprawdzie bardzo ważne, ale i tak nie mieli podstaw, by się do niego włąmywać. Przez moment miała ochotę to zrobić, godząc się na wiadro pomyj, które zostałyby później na nią wylane, za nic jednak nie

znalazłaby prokuratora, który zezwoliłby na tak oczywiste łamanie prawa.

- Nie - westchnęła z rezygnacją. - Ale jeszcze próbujcie. Nie dajcie mu spokoju. Dzwoncie w nieskończoność. Zero-jeden bez odbioru.

\*\*\*

Samochód zmienił zdanie. Po uporczywym opieraniu się wysiłkom Kristine Håverstad nagle niewytłumaczalnie zapalił. Dojazd do celu zajął jej mniej niż pół godziny.

Nie chciała ryzykować, że ktoś ją zobaczy. Już dwa dni temu zdecydowała, że to się musi stać między drugą a trzecią w nocy. Miała jeszcze trochę czasu. Może głupio postąpiła, wyjeżdżając z domu tak wcześnie, ale znalazła się już na tyle blisko, że gdyby samochód kolejny raz zapragnął ją ukarać, mogła po prostu dojść piechotą. Dobiegnięcie do budynku, w którym mieszkał jej oprawca, nie zabrałoby jej więcej niż dwie, trzy minuty.

Deszcz dobrze jej zrobił. Drobne strumyczki wody ściekały po karku, wiły się pod kurtką i swetrem. Normalnie by się przed tym broniała, ale chłód sprawiał jej przyjemność. Była nieco odrętwiała, lecz miała w sobie jakiś nieznaną jej spokój, poczucie kontroli nad wszystkim. Serce uderzało mocno i równo, ale nie za szybko.

Przed nią rozpościerał się zagajnik przecięty szeroką wydeptaną ścieżką. Mniej więcej w połowie na polanie stała drewniana ławka. Kristine usiadła. Niebo nad nią huczało, wściekle plując błyskawicami. Po grzmocie nastąpił ostry trzask i w niebezpiecznie krótkim czasie cały las na chwilę spowija przerażająca niebieskawa poświata. Deszcz był błogosławieństwem, bo zapędził wszystkich świadków pod dach, lecz burza, która musiała krążyć tuż nad jej głową, teraz ich budziła. Cóż, na pogodę nie ma mocnych. Trzeba to przetrwać. Kristine otrząsnęła się z lęku, jaki owładnął nią po ostatniej błyskawicy, i znów poczuła, że odzyskuje równowagę. Była gotowa zrobić to, co zaplanowała.

\*\*\*

Helikopter unosił się niczym groźnie grzmiący bóg błyskawic zaledwie piętnaście metrów nad zamienionym w bagno trawnikiem przy hali łyżwiarskiej Jordal Amfi. Kołysał się ciężko z boku na bok niczym wahadełko przyłączone do niskiej pokrywy chmur niewidzialnym kablem. Powoli zbliżał się do ziemi.

Policjant w mundurze otworzył drzwi i wyskoczył, jeszcze zanim maszyna stanęła twardo na murawie, a śmigła wciąż groźnie klaskały nad jego głową. Zgięty wpełzł przez moment czekał na drobną postać w czerwonym przeciwdeszczowym płaszczu, która stanęła w wyjściu za nim, po czym zniecierpliwiony szybko ją pociągnął i trzymając za rękę, pobiegł razem z nią wśród gwałtownych porywów wiatru przez błotnisty trawnik.

Hanne Wilhelmsen miała szalenie mało czasu, mimo wszystko zaczęła na pilota. Wysiadł wreszcie, blady, ze ściągniętą twarzą.

- Nie powinienem być się tego podejmować - oświadczył.

Hanne miała świadomość, że zgotowała mu niezbyt przyjemną wycieczkę.

- Uderzyła w nas błyskawica - mruknął, siedząc już z przodu na siedzeniu pasażera w oznakowanym radiowozie, który czekał z włączonym silnikiem.

Hanne i Iranka w milczeniu zajęły miejsca z tyłu. Nie musiały zresztą nic mówić. Po dziewięćdziesięciu sekundach samochód wjechał na tylne podwórze Grønlandsleiret 44, gdzie specjalnie otwarto dla nich bramę, o co Hanne wcześniej zadbała.

Dalej pilot i policjant musieli sobie radzić sami. Azylantkę Hanne zabrała do swojego pokoju. Czowała się jak biathlonista zmierzający ku strzelnicy. Miała ochotę gnać przed siebie, ale wiedziała, że musi zachować spokój, żeby trafić do celu. Odruchowo ujęła kobietę za rękę i poprowadziła przez kolejne piętra jak małe dziecko. Dłoń Iranki była lodowata, kompletnie wyzuta z sil.

Ona musi mówić, powtarzała sobie policjantka w duchu. Po prostu musi mówić. Oczywiście możliwe, że Finn Håverstad spokojnie śpi w swoim domu na Volvat, ale dostał przecież do ręki siedem numerów samochodów, na których podstawie mógł dalej tropić gwałciiciela. To się stało już dwa dni temu, miał więc wystarczająco dużo czasu. Iranka musi zacząć mówić.

Młoda kobieta stanęła na środku pokoju, najwyraźniej nie zamierzając ani zdjąć płaszcza, ani usiąść. Hanne poprosiła ją o to, ale nie doczekała się reakcji. Zbliżyła się więc do niej ostrożnie, usiłując nawiązać kontakt.

Była o dwadzieścia pięć centymetrów wyższa od Iranki, a poza tym o dziesięć lat starsza. W dodatku była Norweżką, no i strasznie jej się spieszyło. Nie zastanawiając się nad tym, czy jej gest nie zostanie przypadkiem uznany za upokarzający, wyciągnęła rękę i ujęła Irankę pod brodę, bez wrogości, ale zdecydowanie, zmuszając ją do podniesienia wzroku.

- Posłuchaj - zaczęła cicho, ale z taką dobitnością, że tamta na pewno ją wyczula, mimo iż Hanne zwracała się w obcym dla niej języku. - Wiem, że się czegoś boisz. Wiem, że on cię dręczył. Bogowie jedni wiedzą, co ci zrobił. Ale mogę ci zagwarantować jedno: zostanie za to ukarany.

Iranka nawet nie próbowała się wyrwać. Po prostu stała z uniesioną głową i zamglonym spojrzeniem, z którego nie dawało się nic wyczytać. Ręce bezwładnie zwisały wzdłuż ciała, a z mokrego płaszcza miarowo ściekały krople.

- Na pewno jesteś śmiertelnie zmęczona. Ja też. - Hanne nie puszczała twarzy azylantki. - Mogę cię zapewnić jeszcze o jednym. Nic nie szkodzi, jeśli...

W końcu opuściła rękę. Potarła oczy, bo czuła, że jest bliska płaczu. Była wykończona, przekonana, że i tak się spóźni. A przede wszystkim musiała teraz dodać coś, czego do tej pory nie wypowiedziała na głos. Coś, co wisiało nad nimi wszystkimi, odkąd odkryli związek między ofiarami a namalowanymi krwią numerami RC. Nikt jednak nie nazwał jeszcze rzeczy po

imieniu.

- Nie bój się. Nawet jeśli ten człowiek jest... policjantem, przysięgam, nie masz powodu do lęku.

Dochodził środek nocy, a Iranka nie miała nikogo oprócz Hanne Wilhelmsen. Ledwie trzymała się na nogach, była głodna. Strach dręczył ją już bardzo długo i w końcu zmusił do dokonania wyboru. Trochę się ożywiła. Popatrzyła na płaszcz i kałużę na podłodze. Potem szybko omiotła wzrokiem pokój, zdziwiona, jakby do tej pory nie wiedziała, gdzie jest. W końcu zdjęła mokre okrycie i przycupnęła na brzeżku krzesła.

- Powiedział, że ja z nim spać. Inaczej nie zostać w Norwegii-

- Kto? - spytała Hanne Wilhelmsen cicho.

- To bardzo trudne. Ja nie znać nikogo...

- Kto to jest? - powtórzyła policjantka.

Zadzwonił telefon. Hanne z wściekłością szarpnęła za słuchawkę i warknęła:

- Halo.

- Tu Erik.

Wcześniej posterunkowy nie odmówił, kiedy poprosiła, żeby przyszedł do pracy. Noc z Hanne Wilhelmsen była nocą z Hanne Wilhelmsen bez względu na to, co się robiło i gdzie.

- Dwie rzeczy. Mamy numery tych samochodów. Facet w końcu otworzył. A druga rzecz: w domu Finna Håverstada nikogo nie ma. W każdym razie nikt nie otwiera, chociaż chłopaki dzwonią i dzwonią.

Hanne wiedziała, że tak będzie. Dentysta mógł oczywiście usłuchać jej rady i zabrać córkę na wakacje, ale miała pewność, że tak się nie stało.

- Znajdźcie nazwiska właścicieli tych samochodów. Natychmiast. I porównajcie je... - urwała. Zapatrzyła się w dużą kroplę zsuwającą się po szybie. Kiedy kropla dotarła do połowy drogi, dokończyła: - Sprawdźcie te nazwiska z listą naszych pracowników. Zaczniście do Wydziału do spraw Cudzoziemców.

Erik Henriksen nawet się nie zdziwił. Po prostu odłożył słu-

chawkę tak jak Hanne, która w końcu odwróciła się do swojego świadka i zobaczyła, że drobna kobieta płacze. Bezdźwięcznie, ale rozpaczliwie. Nie potrafiła jej pocieszyć. Oczywiście mogła powiedzieć, ile miała szczęścia, będąc poza domem w sobotę dwudziestego dziewiątego maja, i że gdyby się stamtąd nie ruszyła, leżałaby teraz gdzieś w okolicach Oslo kilka stóp pod ziemią z poderżniętym gardłem. Uznała jednak, że to marna pociecha.

- Obiecuję ci jeszcze coś. Przysięgam, że będziesz mogła tu zostać. Dopilnuję tego, nawet jeśli mi nie powiesz, kim jest ten mężczyzna. Ale bardzo byś mi pomogła, gdybyś...

- On nazywa się Frydenberg. Inne imię nie wiem.

Hanne Wilhelmsen już była za drzwiami.

\*\*\*

Najwyższa pora zacząć. Czuł się lekko, był podekscytowany, niemal radosny. Światła w oknach piątego domku zgasły ponad półtorej godziny temu. Burza przesunęła się na wschód i prawdopodobnie przed świtem dotrze do Szwecji.

Przy drzwiach wejściowych przystanął, nasłuchując - niepotrzebnie, ale wolał się upewnić. Potem z kieszeni peleryny wyjął lom. Był mokry, lecz gumowa rękojeść dobrze leżała w rękę. Wyłamanie zamka zajęło mu zaledwie kilka sekund. To zdumiewająco proste, pomyślał i na próbę dotknął drzwi. Ustąpiły.

Wszedł do środka.

\*\*\*

Wzrokiem przebiegła kartkę, którą podał jej Erik. Jest. Olaf Frydenberg. Właściciel volkswagena passata o numerze rejestracyjnym zaobserwowanym przez dziwaka na uliczce, na której, jak się wydawało, przed wiekami zgwałcono Kristine Håverstad. Starszy posterunkowy z Komendy Okręgowej Policji w Oslo w Wydziale do spraw Cudzoziemców pracował od czterech miesięcy. Wcześniej był związany z komendą dla rejonu Asker i Bærum. Miejsce zamieszkania: Bærum.

- *Shit* - przekląła Hanne Wilhelmsen. - *Shit, shit*, Bærum. -

Przez chwilę wpatrywała się w Erika Henriksena ze złością. - Dzwon do Asker i Bærum, prześlij im ten adres. Przekaż, że mają mieć zbrojne wsparcie. I powiedz, że my też jedziemy. Tylko, na miłość boską, nie zapomnij poprosić o akceptację. Zawsze powstawał bałagan, kiedy policjanci z różnych komend wkraczali na cudze podwórko, ale z tego podwórka nawet dziesięć dzikich koni nie odciągnęłoby dzisiaj Hanne Wilhelmsen.

Na dole stał oszołomiony młodzieńcy prokurator, który na dodatek pierwszy raz został w nocy sam. Na szczęście w sposób spokojny i niezauważalny pokierował nim opanowany szef dyżuru, który miał za sobą szkołę policyjną i dwadzieścia lat doświadczenia. Hanne natychmiast dostała radiowóz i umundurowanego funkcjonariusza do towarzystwa. Szef dyżuru po cichu jeszcze ją zapewnił, że zanim dojadą do celu, zdąży załatwić zezwolenie na użycie broni.

- Syreny? - upewnił się sierżant Audun Salomonsen. Bez pytania zajął miejsce kierowcy. Hanne to odpowiadała.

- Tak - odparła bez zastanowienia. - Przynajmniej na razie.

\*\*\*

Na poziomie wejścia znajdowały się dwie sypialnie, łazienka i pomieszczenie wyglądające na schowek. Sosnowe schody prowadziły na piętro, gdzie, jak wiedział, mieściły się salon i kuchnia.

Z jakiegoś powodu zdjął buty. A ponieważ zaraz pomyślał, że to gest przesadnej troski, już chciał włożyć je z powrotem, ale tak w nich chlupało, że zrezygnował. Niech stoją.

Miał problem z zamknięciem drzwi wejściowych. Kiedy wyważał zamek, zniszczył futrynę i drzwi już do niej nie przylegały. Ostrożnie i jak najciszej je zaklinał, ale na tym wietrze mogły długo nie wytrzymać.

Drzwi do obu sypialni były zamknięte, a właściwy wybór bez wątpienia miał znaczenie. Mężczyzna mógł mieć lekki sen.

Finn Håverstad na podstawie wyglądu domu z zewnątrz wydedukował, która z sypialni musi być większa, i nacisnął



klamkę, wybrał prawidłowo.

Duże małżeńskie łóżko z jednej strony nie było posiane, a porządnie złożona na troje kołdra wyglądała jak olbrzymia poduszka. Po drugiej stronie, bliżej drzwi, leżał człowiek. Nie można było stwierdzić, kto to jest, bo spod kołdry naciągniętej na głowę wystawało jedynie kilka kosmyków włosów. Jasnych włosów.

Finn Håverstad spokojnie zamknął drzwi za sobą, wyciągnął pistolet zza paska, ujął go mocno w dłonie i podszedł do śpiącego człowieka.

Przesadnie spowolnionym ruchem skierował w głowę mężczyzny lufę, a potem uderzył nią gwałtownie w coś twardego, najpewniej skroń. To odniosło skutek. Mężczyzna się zbudził i próbował wstać.

- Leż spokojnie - warknął Håverstad.

Czy była to reakcja na komendę, czy raczej mężczyzna dostrzegł broń i ten widok kazał mu się położyć, nie wiadomo. W każdym razie natychmiast oprzytomniał.

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - próbował udawać wściekłość, ale strach dosłownie bił z jego twarzy. Oczy błędziły, a nozdrza rozszerzały się w rytm nerwowych oddechów.

- Leż spokojnie i słuchaj, co będę mówił - oświadczył Håverstad z opanowaniem, które jego samego zdziwiło. - Nie zrobię ci krzywdy. W każdym razie poważnej. Po prostu sobie porozmawiamy. Ale przysięgam na życie córki: jeśli bodaj podniesiesz głos, strzełę.

Leżący wpatrywał się w broń, a potem spojrzął na swego prześladowcę. Twarz miała w sobie coś znajomego, lecz jednocześnie był pewien, że nigdy wcześniej nie spotkał tego człowieka. Zastanowiło go jednak coś w jego oczach.

- Czego ty, do cholery, ode mnie chcesz? - spróbował jeszcze raz.

- Chcę z tobą porozmawiać. Wstawaj. I ręce do góry. Cały czas. Mężczyzna znów spróbował się podnieść. To nie było łatwe. Z niskiego łóżka trudno się wstaje bez pomocy rąk, a przecież

miał je trzymać w górze. Wreszcie się dźwignął.

Finn Håverstad był o dziesięć centymetrów wyższy od swojej ofiary. To mu zapewniło przewagę, jakiej potrzebował. Teraz, gdy gwałciciel stał, wydawał się mniej bezradny niż w łóżku. Miał na sobie piżamę z bawełny, bez rozporka i guzików. Bluza z wycięciem w szpic wyglądała niemal jak dres, sprana i nieco przyciasna. Ale na widok mięśni prężących się pod cienką dzianiną dentysta zrobił krok w tył.

Ten moment niepewności wystarczył. Gwałciciel rzucił się na Håverstada i obaj runęli na ścianę, od której dzielił ich zaledwie metr. To rozstrzygnęło o wyniku walki. Håverstad otrzymał wsparcie, jakiego potrzebował, a tamten stracił równowagę i upadł na kolano. Błyskawicznie spróbował się podnieść, ale

i tak za późno. Rękojeść pistoletu uderzyła go nad uchem, osunął się na podłogę. Mimo intensywnego bólu nie zemdłał. Håverstad wykorzystał okazję i pchnął klęczącego na gruby materac. Mężczyzna nie przestawał z jękiem rozcierać głowy. Håverstad stanął w rozkroku nad jego nogami, cały czas celując do niego z pistoletu. Potem sięgnął po poduszkę i zanim tamten się zorientował, przygiął mu rękę do materaca, nakrył ją poduszką, a potem wbił lufę pistoletu w puch i strzelił.

Strzał zabrzmiał jak puknięcie. Obaj się zdumieli: Håverstad tym, co zrobił, i cichością strzału; gwałciciel tym, że ból kazał na siebie tak długo czekać. W końcu jednak się pojawił. Mężczyzna już otworzył usta do krzyku, kiedy widok lufy przy twarzy kazał mu zacisnąć zęby. Z jękiem przycisnął rękę do piersi. Lala się z niej krew.

- Teraz chyba już rozumiesz, o co mi chodzi - szepnął Håverstad.

- Jestem policjantem - wydusił tamten.

Policjantem? Czyżby ta potworna maszyna do niszczenia ludzi pracowała w policji? Håverstad przez chwilę zastanawiał się, co zrobić z tą informacją. W końcu po prostu ją zignorował. To

przecież nie miało najmniejszego znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. Czul się silniejszy niż kiedykolwiek.

- Wstawaj! - rozkazał na nowo.

Tym razem policjant nie próbował mu się sprzeciwić. Jęczał tylko po cichu, ale usłuchał polecenia i wszedł na piętro. Håverstad pamiętał, że musi iść kilka metrów za nim na wypadek, gdyby tamten zechciał zaatakować go tyłem.

Salon był pogrążony w ciemności, zasłony zaciągnięte. Jedyne w kuchni paliło się światełko nad kuchenką, które umożliwiło dostrzeżenie czegokolwiek. Håverstad kazał policjantowi zostać przy schodach, sam natomiast zapalił kinkiet. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Potem gestem zmusił tamtego, by podszedł do plecionego fotela. Policjant w pierwszej chwili pomyślał, że ma usiąść, ale głos Håverstada go powstrzymał.

- Stań plecami do oparcia.

Policjant z trudem trzymał się na nogach. Z ręki wciąż płynęła krew. Pobladł, a Håverstad nawet w słabym świetle widział pot na jego wysokim czole i lęk malujący się na twarzy. Sprawilo mu to niewypowiedzianą przyjemność.

- Wykrwawię się na śmierć - jęknął ranny.

- Nie wykrwawisz się.

Ogromnie trudno było skrepować mu kończyny, posługując się tylko jedną ręką. Momentami musiał pomagać sobie drugą, ale nawet wówczas nie wypuszczał pistoletu. Cały czas celował w policjanta. Na szczęście przewidział ten problem i zabrał ze sobą cztery odpowiednio przycięte kawałki sznura. Wreszcie mężczyzna był unieruchomiony. Nogi w lekkim rozkroku zostały przywiązane do nóg fotela, a wygięte do tyłu ręce - do tej części podłokietnika, która przechodziła już w oparcie. Mebel nie był zbyt ciężki i policjant z trudem utrzymywał równowagę. Cały czas wydawało się, że zaraz runie w przód. Håverstad, niewiele myśląc, złapał wielki telewizor z przeszklonej szafki na kółkach i zrywając kable, postawił sprzęt na siedzeniu fotela.

Potem poszedł do kuchni i otworzył szufladę. Niewłaściwą.

Dopiero w trzeciej znalazł to, czego szukał. Zwyczajny duży nóż. Fińskiej produkcji. Kciukiem sprawdził ostrze i wrócił do salonu.

Gwałcieciel wyraźnie tracił siły i wyglądał jak pajacyk, o którym zapomniano. Pęta nie pozwalały mu całkiem opaść na ziemię, tkwił więc w absurdalnej, niemal komicznej pozie, na rozstawionych nogach, z mocno ugiętymi kolanami i ramionami bezradnie wygiętymi do tyłu. Finn Håverstad przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Pamiętasz, co robiłeś dwudziestego dziewiątego maja? Facet najwyraźniej nie miał pojęcia.

- Wieczorem, w sobotę, półtora tygodnia temu.

Teraz policjant już wiedział, co znajomego było w tym człowieku. Oczy. To ta dziewczyna z Homansbyen.

Do tej pory się bał. Obawiał się o zranioną rękę. Lękał się tego szaleńca, który w torturowaniu go najwyraźniej znajdował perwersyjną przyjemność. Ale nie wierzył, że umrze. O tym pomyślał dopiero teraz.

- Uspokój się - powiedział Håverstad. - Jeszcze ciągle cię nie zabiję. Porozmawiamy sobie.

Wstał i złapał tamtego za bluzę. Wsunął pod nią nóż, szarpnął i bluza nagle zmieniła się w rozpinany blezer. Potem odciągnął gumę od spodni i powtórzył ten sam ruch. Spodnie opadły, zatrzymując się na udach. Ale wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie, było nagie i bezbronne. Håverstad wrócił na krzesło.

- Tak, teraz sobie porozmawiamy - oświadczył, trzymając w jednej ręce austriacki pistolet, a w drugiej wielki fiński kuchenny nóż.

\*\*\*

Początkowo zamierzała odczekać jeszcze pół godziny, ale w końcu wstała i ruszyła ku miejscu przeznaczenia. Czekanie okazało się koszmarem.

Dojście trwało krócej, niż przewidziała. Wystarczyło nieco ponad dziesięć minut marszu i znalazła się na ulicy, przy której

stal dom gwałciciela. W oknach było ciemno. Zwolniła. Przeszedł ją dreszcz i skierowała się w stronę wejścia.

\*\*\*

- Wyłącz syrenę.

Znaleźli się już daleko poza swoim rejonem. Sierżant Salomonsen był dobrym kierowcą. Nawet teraz, na małych uliczkach ze skrzyżowaniami co dwadzieścia metrów jechał szybko i płynnie. Nie szarpał i nie gazował. Hanne przedstawiła mu sytuację. Przez radio otrzymali zgodę na użycie broni. Policjantka popatrzyła na cyferki świecące na desce rozdzielczej. Dochodziła druga.

- Ale nie zwalnij - dodała.

\*\*\*

- Masz pojęcie, co ty właściwie zrobiłeś?

Policjant, który siedział związany we własnym salonie, pewne pojęcie miał. Popenił idiotyczny błąd. To się nie powinno zdarzyć. Przeliczył się. I to do tego stopnia... Teraz mógł się jedynie pocieszać, że nikt nigdy nie mścił się w taki sposób.

- Nie w Norwegii - powiedział do siebie. - Nie tu u nas, w Norwegii.

- Zniszczyłeś moją córkę - syknął Håverstad i wychylił się na krzesło. - Zniszczyłeś i zbrukałeś moją córeczkę!

Czubek noża dotknął organów płciowych gwałciciela, który jęknął ze strachu.

- Teraz się boisz - szepnął Håverstad i jeszcze raz przysunął nóż do podbrzusza mężczyzny. - Może teraz boisz się tak, jak się bała moja córka. Ale ciebie to nie obchodziło.

Gwałciciel nie był w stanie dłużej wytrzymać. Nabral powietrza i wydal z siebie dziki ryk, który mógłby obudzić umarłego.

Håverstad skoczył do przodu i zatoczywszy łuk nożem, który nabral prędkości i siły, wbił go w oprawcę córki. Czubek trafił w krocze mężczyzny, przeszedł przez jądra, mięśnie pachwiny i zagłębił się w brzuchu, przebijając tętnicę.

Krzyk urwał się równie nagle, jak się zaczął. Jakby ktoś uciął dźwięk i zapadła przerażająca cisza. Gwałciciel całkiem już się

osunął. Widać było, że mimo telewizora zaraz przeważy fotel. Ktoś wbiegał po schodach. Finn Håverstad odwrócił się spokojnie, tylko trochę zdziwiony, że sąsiedzi zjawili się tak szybko. Ale zaraz zobaczył, kto to jest.

Nie odezwali się do siebie. Kristine nagle rzuciła się ku niemu, jakby chciała się znaleźć w jego objęciach. Wyciągnął ręce do córki, ale ona powaliła go na podłogę i zadrapała w ramię, usiłując dosięgnąć pistoletu. Broń upadła na podłogę, Kristine złapała ją, zanim ojciec zdołał się podnieść.

Był od niej wyższy i silniejszy, mimo to nie zdołał zapobiec strzałowi. Akurat złapał ją za rękę, zdecydowanie, ale nie za mocno, bo przecież nie chciał wyrządzić jej krzywdy. Huk przeraził oboje. Oszołomiona dziewczyna wypuściła pistolet, a ojciec puścił ją. Przez kilka sekund stali wpatrzeni w siebie, nim Kristine w końcu złapała za rękojeść noża sterczącego z krocza gwałciciela, przypominającą twardy jak kamień zapasowy penis. Kiedy wyciągnęła nóż, krew trysnęła strumieniem.

\*\*\*

Hanne Wilhelmsen i Audun Salomonsen dziwili się, że koledzy z komendy dla Asker i Bærum jeszcze się nie zjawili. Cichą ulicę skrywał mrok. Nigdzie nie było widać spodziewanych niebieskich błysków. Zatrzymali się przed szeregowcem. Dopiero kiedy biegli do wejścia, usłyszeli zbliżającą się policyjną syrenę.

Drzwi były wyłamane, otwarte na oścież. Przybyli za późno. Kiedy sierżant policji Hanne Wilhelmsen wbiegła na górę po schodach, zastała widok, który już zawsze miał ją prześladować.

Przywiązany do krzesła, z rękami wygiętymi do tyłu i rozstawionymi szeroko nogami wisiał jej policyjny kolega Olaf Frydenberg, który teraz przypominał żabę. Był niemal nagi. Z podbrzusza ciekła mu krew, między jego nogami utworzyła się już kałuża. Hanne nie musiała sprawdzać, by wiedzieć, że nie żyje.

Mimo wszystko ujęła pistolet w obie ręce i wskazując na kąt salonu, kazała dwóm osobom odsunąć się od ofiary. Natychmiast tam przeszli ze spuszczoneymi głowami jak posłuszne dzieci.

Nie wyczula pulsu. Uchyliła powiekę. Spojrzało na nią zastygłe oko. Natychmiast zaczęła rozluźniać więzy kępujące ręce i nogi Frydenberga.

- Próbuujemy reanimacji - rzuciła towarzyszącemu koledze.

- Przynieś sprzęt pierwszej pomocy.

- Ja to zrobiłem! - krzyknął nagle Finn Håverstad z kąta.

- To ja! Ojciec kłamie! - W głosie Kristine brzmiała rozpacz.

- To moja wina!

Hanne Wilhelmsen na moment się odwróciła. Patrząc na nich, nie czuła gniewu ani nawet rezygnacji, tylko głęboki jak otchłań, wszechogarniający smutek. Pamiętała, że taki sam wyraz mieli na twarzach, kiedy pierwszy raz siedzieli w jej pokoju. Bezradność i żal, które również teraz bardziej rzucały się w oczy u potężnego mężczyzny niż u córki.

Kristine Håverstad wciąż trzymała nóż, jej ojciec miał w rękę pistolet.

- Odłóżcie broń - odezwała się Hanne niemal życzliwie. - Tam - wskazała szklany stolik pod oknem. Po czym razem z Salomonsenem przystąpiła do kompletnie bezsensownej reanimacji.

Czwartek, 10 czerwca

Pogoda przypomniwała sobie o kalendarzu. Nareszcie. Odpowiednia do pory roku lekka pokrywa chmur sunęła po niebie nad Oslo, a temperatura utrzymywała się na przyzwoitych piętnastu czerwcowych stopniach. Wszystko było takie, jak powinno być. Mieszkańcy miasta cieszyli się, że szkody wyrządzone przez nawałnicę okazały się mniejsze, niż przypuszczali.

W kantynie na Grønlandsleiret AA siedziała Hanne Wilhelmsen. Była bledsza niż inni. W ciągu czterech dni nie

przespała dwóch nocy. Wkrótce miała iść do domu. Szef wydziału kazał jej się nie pokazywać w pracy aż do poniedziałku. Co najmniej. Poza tym należało, by zgłosiła swoją kandydaturę na stanowisko komisarza, czego absolutnie nie zamierzała robić. A już z całą pewnością nie dzisiaj. Chciała do domu.

Håkon Sand przeciwnie, sprawiał wrażenie niezmiernie zadowolonego. Siedział zamyślony, ale się uśmiechał. Spoważniał jednak, kiedy dotarło do niego, że Hanne jest bliższa fizycznego załamania niż kiedykolwiek.

Kantyna mieściła się na siódmym piętrze budynku policji i roztaczał się z niej wspaniały widok. W oddali na Oslofjorden prom z Danii sunął w stronę brzegu, wyładowany emerytami z bagażami pękającymi od duńskiej kiełbasy i taniej szynki. Trawnik w dole nie był już pełen ludzi. Zaledwie kilku korzystających z niego optymistów z nadzieją patrzyło w niebo i czekało na powrót słońca.

- Kiedyś musiał być ten pierwszy raz - westchnęła Hanne, przecierając oczy. - Przecież my tak niedomagamy, że to pozostawało jedynie kwestią czasu. Ktoś w końcu wziął sprawy w swoje ręce. Ale najgorsze, że... - urwała i pokręciła głową.

- Najgorsze, że ich rozumiem.

Håkon przyjrzał jej się uważnie. Włosy miała nieumyte, a oczy wciąż niebieskie, ale czarne obwódki wokół tęczy wydały się grubsze, jakby zbliżyły się ku źrenicom. Twarz napuchła, a dolna warga pękła i cieniutka kreska zakrzepłej krwi dzieliła ją na pół.

Mrużyła oczy, patrząc na czerwcowe światło i śledząc wzrokiem ruch promu. Na tyle pytań nie znajdowała odpowiedzi. Gdyby tylko przyjechała do domu w Bærum kilka minut wcześniej... Pięć minut, nie więcej.

- Skąd on na przykład brał całą tę krew?

Håkon Sand obojętnie wrzucił ramionami.

- Mnie interesuje co innego. - Popatrzył na Hanne z chytrą miną w nadziei, że koleżanka spyta, o co mu chodzi.

Ale ona siedziała zatopiona we własnych myślach, a prom miał



teraz jakiś problem z niedużym kutrem towarowym, który wyraźnie dopominał się o pierwszeństwo. Nawet nie usłyszała, co Håkon powiedział.

- Prawdopodobnie się od tego wywiną - podjął trochę za głośno i nie bez złości wywołanej brakiem zainteresowania Hanne. - Przypuszczalnie nie będziemy mogli ich oskarżyć.

To podziałało. Hanne zostawiła prom własnemu losowi i spojrzała na Håkona. W oczach miała niedowierzanie.

- Co ty powiedziałaś? Wywiną się?

Kristine Håverstad i jej ojciec siedzieli w areszcie. Zabili człowieka. Nie próbowali się wykręcać. Poza tym zostali przyłapani niemal na gorącym uczynku.

- To niemożliwe. - Głośno ziewnęła.

Ale Håkon Sand, który ostatniej nocy przespał osiem godzin we własnym łóżku i dlatego miał czas i siłę, by wnikliwie przyrzec się sprawie, a nawet omówił ją rano z innymi prawnikami, tryskał energią.

- Oboje twierdzą, że to zrobili. - Wypił łyk nieodobrej kawy z kantyny. - Oboje biorą winę na siebie. Osobno. Twardo zaprzeczają, by działali wspólnie. Z dotychczasowych ustaleń wynika, że przynajmniej to ostatnie jest prawdą.

Przyjechali osobno, każde swoim samochodem, zaparkowali w różnych miejscach. Poza tym Kristine usiłowała zapewnić sobie alibi.

Uśmiechnął się na myśl o chłopaku sprowadzonym w takim stanie, w jakim Håkon miał nadzieję nigdy się nie znaleźć. W ciągu pierwszych trzydziestu minut przesłuchania student dwa razy wymiotował.

- To przecież nie może być problemem, Håkon. Nie ma wątpliwości, że jedno z nich to zrobiło. To drugie można więc oskarżyć o współudział.

- Nie, nie można. Oboje opowiadają historie znajdujące potwierdzenie w znanych nam faktach. Każde twierdzi, że właśnie ono zabiło tego faceta, a to drugie pojawiło się moment później. Na podstawie wstępnych wyjaśnień można

założyć, że odciski palców obydwójga znajdą się i na nożu, i na pistolecie. Oboje mieli motyw i sposobność. Oboje mają na prawych

rękach ślady po oddaniu strzału. Kto strzelił w sufit, a kto temu człowiekowi w dłoń - tu wersje są kompletnie rozbieżne. A w takiej sytuacji, moja droga pani komisarz *in spe...* - Uśmiechnął się, a Hanne nie miała siły go zbesztać. - W takiej sytuacji mamy klasyczny problem prawny. Żeby skazać, należy ponad wszelką wątpliwość udowodnić sprawcy winę. Pięćdziesiąt procent nie wystarczy! To genialne. - Rozłożył ręce i zaczął się głośno śmiać. Zorientował się, że zwraca na siebie uwagę ludzi, ale nic sobie z tego nie robił. Wstał i przysunął krzesło do stołu. Położył rękę na oparciu. - Za wcześniej, żeby wyciągać jakieś ostateczne wnioski. Wiele punktów trzeba jeszcze sprawdzić, lecz jeśli się nie mylę, to ta dama z brązu, która stoi u mnie na biurku, pęka teraz ze śmiechu. - Aha. I jeszcze jedno. - Teraz lekko zakłopotany spuścił wzrok. Hanne zauważyła, że się zaczerwienił. - To nasze jutrzejsze spotkanie...

Całkiem o nim zapomniała.

- Niestety, muszę je odwołać.

Cóż, dzień był pełen pozytywnych niespodzianek.

- W porządku - odparła zadziwiająco szybko. - Przełożymy je, dobrze?

Håkon kiwnął głową, ale jeszcze nie odchodził.

- Będę ojcem - oświadczył w końcu. Teraz czerwone miał już nawet uszy. - Na Boże Narodzenie zostanę ojcem! Mamy to z Karen świętować w weekend. Wyjeżdżamy. Przykro mi...

- Ależ nic nie szkodzi, Håkon. Na sto procent. Gratuluję! - Objęła go i mocno uściskała.

Co za dzień!

\*\*\*

Kiedy zeszła do swojego pokoju, bez wahania sięgnęła po słuchawkę. Nie zastanawiając się, wybrała numer wewnętrzny.

- Jesteś jutro zajęty, Billy T.?

- Biorę chłopaków na ten weekend, mam ich odebrać koło piątej.

- A może byś przyszedł z nimi na kolację do mnie i...

Istniały pewne granice. Nie przemogła się, by wymówić imię Cecilie. Ale Billy T, ją ocalił.

- Oni mają trzy, trzy, cztery i pięć lat - ostrzegł.

- To bez znaczenia. Przyjdźcie o szóstej.

Potem zadzwoniła do Cecilie do pracy i uprzedziła, że konieczna jest zmiana menu. Musi być spaghetti. I mnóstwo kolorowej oranżady.

Uczucie, które ją ogarnęło, kiedy odkładała słuchawkę, wstrząsnęło nią głębiej niż wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch dramatycznych dni.

Poczuła radość.

### Spis treści

Poniedziałek, 10 maja	14
Niedziela, 16 maja	21
Wtorek, 18 maja	24
Sobota, 22 maja	27
Sobota, 29 maja	31
Poniedziałek, 31 maja	37
Sobota, 5 czerwca	108
Niedziela, 6 czerwca	117
Poniedziałek, 7 czerwca	126
Wtorek, 8 czerwca	164
Środa, 9 czerwca	196
Czwartek, 10 czerwca	234



# ANNE HOLT

## BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY PRAGNĄ...

---

Sierżant Hanne Wilhelmsen nie sądziła, że można znienawidzić wiosnę. Oslo pogrążyło się w nienaturalnych jak na tę porę roku upałach, którym towarzyszy zaskakująco duży wzrost przestępczości – liczba poważnych zbrodni, gwałtów i aktów agresji przekracza możliwości operacyjne policji. Do tego dochodzą tajemnicze sobotnie masakry...

Hanne Wilhelmsen robi, co może, aby rozwiązać zagadkę krwawych łaźni, nie jest więc zachwycona decyzją przełożonych o przydzieleniu jej dochodzenia w sprawie gwałtu na młodej kobiecie. Jeszcze nie wie, że za jej pośpiech i brak konsekwencji ktoś zapłaci życiem. Gdy odkrywa związek między makabrycznymi zbrodniami i brutalnym gwałtem, rozpoczyna wyścig z czasem. Musi przeszkodzić komuś, kto pragnie sprawiedliwości za wszelką cenę...

Patronat medialny



[students.pl](http://students.pl)



[nakanapie.pl](http://nakanapie.pl)

Zbrodnia  
w Bibliotece

Cena 32 zł (w tym 5% VAT)

ISBN 978-83-7648-732-8



9 788376 487328

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Ali-Baba*